

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik nr 3 (11) 2015

Egzemplarz bezpłatny
ISSN 2353-1304



FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

FUNDACJA

KGHM

POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik wydawany przez Fundację KGHM Polska Miedź
w ramach Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR)
KGHM Polska Miedź S.A.
ISSN 2353-1304

Redaktor Naczelny

Krzysztof Kulacz

Redakcja

Maria Kuncaitis, Krystyna Nikończuk, Zbigniew Szarmach, Jadwiga Wardach

Wydawca

Fundacja KGHM Polska Miedź
ul. Skłodowskiej-Curie 48, 59-301 Lubin
tel. 76 747 81 23
e-mail: krzysztof.kulacz@kg hm.com
www.fundajakghm.pl

Druk

Miedziowe Centrum Kształcenia Kadr Sp. z o.o. w Lubinie
Poligrafia: 59-300 Lubin ul. Budziszyńska 6A

Nakład 3500 egzemplarzy

Fotografie ze zbiorów redakcyjnych i archiwalnych
W tekstach nadesłanych i przeznaczonych do druku Redakcja zastrzega sobie
prawo zmian i skrótów.

Okładka: Głogów, marzec 1980 r., Edward Przybysławski wśród piękniejszej
części zakładowej orkiestry ZG Polkowice.

Słowo wstępne	7
Miałem w domu kopalnię! – Czesław Pędziwiatr	9
Niech czują, że pracują w dobrej firmie – Jan Pawlak	13
Nigdy więcej lipnej taśmy na dole! – Ryszard Skarżyński	20
Wszyscy wiedzieli, co mają robić – Roman Gaworski	29
Chcieliśmy uchronić „Konrad” przed zatopieniem – Leon Mamczur	36
Mówili mi: „Ciebie zabije stres” – Waldemar Jakubowski	44
Dopiski groziły konsekwencjami – Urszula Urbaniak	52
Dozują szuflą Maślanki – Jan Maślanka	57
Pierwszy Lis Major Lubina – Marian Bochenek	63
Cześć, specjalisto od lin! – Jerzy Stępień	69
Żona zachęciła: „Idź i ty do kopalni...” – Edward Przybysławski	77
Nieraz słyszałem: „Ja, albo kopalnia!” – Stanisław Jarzębski	82
Wiecowaliśmy po pierwszej zmianie – Stanisław Olechowski	87
Słownik terminów	94

Wstęp

Historia Polskiej Miedzi jest utrwalana w wielu formach, także w ludzkich życiorysach. Możemy zatem ją odczytywać na rozmaite sposoby. Zgłębiając poszczególne wątki, łączymy je tworząc opowieść o Polskiej Miedzi. Wiele tych wątków już odkryliśmy i opisaliśmy w wydanych kwartalnikach. Czas więc na kolejne losy ludzi z Zagłębia Miedziowego, które przekazujemy Państwu z wielką radością i satysfakcją.

Troska o pielęgnowanie tradycji jest jednym z ważnych elementów realizowanej przez KGHM polityki społecznego zaangażowania. Utrzymywanie relacji z byłymi Pracownikami Polskiej Miedzi rozumiemy też jako jeden z aspektów kultury wartości pracy i etyki w naszej firmie.

KGHM liczy 55 lat działalności. Przez pierwsze lata budowy firmy, kolejne dynamicznego jej rozkwitu, a także późniejsze stabilnego rozwoju, tworzyła się wielowątkowa historia jednego z najważniejszych podmiotów gospodarczych w Polsce. Wartość KGHM opiera się nie tylko na surowcach, technologiach, rachunkach ekonomicznych, ale także na pracy zespołów ludzi i ich doświadczeniu. Opisani przez nas bohaterowie, zdobywając wiedzę i nabierając bezcennych kompetencji w zakresie geologii, górnictwa, hutnictwa, przetwórstwa, handlu, badań i rozwoju, potrafilি w sposób optymalny osiągać zamierzone cele i z optymizmem patrzeć w przyszłość. Pracując dla KGHM wspólnie dali mu najcenniejszy zasób jakim jest dzisiaj wiedza. Budowali markę KGHM, ale jednocześnie tworzyli silne więzi pomiędzy sobą, które stanowią dzisiaj o jej tożsamości. Pochodzą z różnorodnych środowisk, ściągali tu z całego kraju, a nawet zza granicy; niektórzy mają za sobą dramatyczny bagaż doświadczeń wojennych. Są wśród nich pracownicy KGHM, a także ludzie spoza firmy, w różny sposób związani z Miedzią. Dla większości z nich Zagłębie Miedziowe jest spełnieniem życiowych oczekiwań. Chętnie opowiadają o okolicznościach podejmowania pracy na Miedzi i o związanych z nią trudach, o swoich sukcesach i porażkach. Nie unikają wspomnień o tragicznych zdarzeniach, które mimo upływu czasu, wciąż pozostają w pamięci i budzą emocje. Mówią także o swoich prywatnych sprawach: zakładaniu rodziny, dzieciach, wnukach. Za tę szczerość wypowiedzi bardzo im dziękujemy.

Odbieramy od naszych czytelników wiele pozytywnych opinii wskazujących na duże zainteresowanie wspomnieniami. Mamy również nadzieję, że kolejny zbiór wspomnień zainspiruje innych, byłych pracowników Polskiej Miedzi, do podzielenia się z nami swoimi historiami, przeżyciami a także dokumentacją fotograficzną.

Redakcja

Którejs nocy obudził mnie telefon, pracownica kopalni informowała, że łączy z Tadeuszem Babiszem. Dyrektor zażądał, żebym uruchomił szyb, bo na dole czekała ruda, a wykonanie planu było zagrożone. „Nie ma mowy dyrektorze, muszę zrobić, co do mnie należy, inaczej wszystko się zawali” – odpowiedziałem. Wtedy szef zaczął na mnie krzyczyć: „Jesteś tu dzięsiątym mechanikiem!”, sugerując, że nie ostatnim. „To niech pan jutro szuka następnego” – odparałem.

Czesław Pędziwiatr, główny mechanik w ZG Lena, główny mechanik ds. szybowych w ZG Polkowice. Pracował w latach 1957-1985



Miałem w domu kopalnię!

W latach 50. dotkliwie brakowało wykwalifikowanej kadry, dlatego początkowo około 70 procent pracowników „Leny”, jak szacuje Czesław Pędziwiatr, stanowili skazani odsiadujący wyroki w więzieniu, w Wilkowie. On sam był drugim z kolei inżynierem, zatrudnionym na stałe pod ziemią. Nawet techników „Lena” miała wówczas niewielu, dlatego w dozorze było sporo reemigrantów z Francji, gdzie wcześniej pracowali w kopalniach węgla.

„Lena” kierował wtedy dyrektor Alfred Cholewiak. Drugą najważniejszą w firmie osobą był agent Urzędu Bezpieczeństwa, czyli tak zwana ochrona robotnicza. Opowiadano, że był podejrzliwy i wszędzie węszył sabotaż. Ale kiedy pan Czesław zatrudnił się na „Lenie”, stanowisko to było już zlikwidowane, a dawny „zastępca” dyrektora pełnił funkcję kadrowca.

■ Upragnione mieszkanie

Czesław Pędziwiatr ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Gdańskiej. Jako absolwent otrzymał nakaz pracy w zakładach energetycznych w Lublinie. Firma zobowiązała się zapewnić pracownikowi mieszkanie. Zaproponowała mu pokój przy innej rodzinie ze wspólną łazienką i kuchnią. Pan Czesław uznał, że zakład z umowy się nie wywiązał, zwolnił się i wrócił do rodzinnych Wadowic. Żona z dziećmi zamieszkała natomiast u swojej matki, na drugim końcu Polski. Ponieważ nie chciał przedłużać rozłąki, pilnie szukał nie tyle pracy z mieszkaniem, co mieszkania z pracą.

Któregoś dnia przeczytał w gazecie, że potrzebują elektryków do kopalni Konrad na Dolnym Śląsku. Napisał list do „Konrada”, w odpowiedzi zaproponowano mu pracę w kopalni „Lena”



Drużyna ratowników górniczych podczas dyżuru w stacji ratownictwa górniczego w Wałbrzychu. 1960 rok. Czesław Pędziwiatr drugi od lewej w górnym rzędzie.

i obiecano w krótkim czasie przydzielić mieszkania. Tym razem się powiodło. Pan Czesław szybko opuścił złotoryjski hotel, w którym początkowo nocował, by zamieszkać w zakładowym budynku przy ul. Książęcej w Legnicy.

– Wprowadziłem się z rodziną do dwupokojowego mieszkania w wyremontowanej przez zakład kamienicy. Po sąsiedzku zamieszkali koledzy z kopalni i pracownicy legnickiej huty. Z nowego zajęcia byłem zadowolony, bo mój portfel stał się znacznie grubszy. Z pensji można było wyżyć bez większych problemów, zwłaszcza że dochodziły do niej premie. Na „Lenie” nie należały one do rzadkości, bo górnicy plan wykonywali zawsze – Czesław Pędziwiatr przytacza historie sprzed ponad pół wieku.

■ Tysek z „Leny”

– Kiedy zatrudniłem się w kopalni Lena, pod ziemią pracował jeszcze koń. Krótco potem wywieziono go na powierzchnię i tu wraz z innym koniem ciągnął wozy z ładunkami. Zwierzętami zajmował się i przygotowywał dla nich obrok pracownik „Leny”, który po fajrancie zaprowadzał je do pobliskiej stajni – opowiada.

Pierwszego dnia pracy każdy górnik dostawał hełm zrobiony z tak solidnej skóry, że zdaniem pana Czesława, nadawała się nawet na zelówkę. Wyposażano ich też w lampy karbidówki, palniki, szczoteczki do ich czyszczenia i zapalki. Dozorowi palniki czyściła i napelniała karbidem lampy łaźnienna, szeregowi pracownicy musieli robić to sami.

– Chodziliśmy po kopalni z otwartym ogniem, do tego jeszcze górnicy palili na dole papierosy, a i od piwa nie stronili. Mogli je kupić w kiosku, który stał na cechowni, bo dawniej nie obowiązywały takie rygory jak obecnie. Sam się dzisiaj dziwię, jak to wszystko kiedyś funkcjonowało – śmieje się pan Czesław.

■ Więźniowie i „wolnościowi”

Pracę na „Lenie” zaczął na oddziale energomaszynowym. Jako sztygar zmianowy nadzorował podziemne roboty elektryczne. A kiedy przyszła „moda” na modernizację i utworzono wydział postępu technicznego, zajął się w nim mechanizacją i automatyzacją górnictwa.

– Nie mogliśmy przecież poprzestać na kilku poniemieckich maszynach odzyskanych po odto-

pieniu kopalni i na ręcznej pracy więźniów, którzy łopatami ładowali urobek na potrząsalne przenośniki wiszące na łańcuchach. Rynny te z czasem zastąpiono przenośnikami zgrzeblowymi, później wprowadzono skrepery. Natomiast w przodkach pracowali tylko „wolnościowi”. Projektowaliśmy wówczas urządzenia, współpracując z Instytutem Metali Nieżelaznych w Gliwicach, a także jeżdżąc po Polsce, szukaliśmy nowych rozwiązań. W kopalni stosowano ścianowy system eksploatacji i drewnianą obudowę. Po wybraniu rudy stawiano tak zwane kaszty, które potem wypełniano kamieniem. Planowana do wygaszenia kopalnia stała się poletkiem doświadczalnym dla istniejących już „Polkowic”. Zanim zastosowano tam nowoczesne maszyny flotacyjne, testowano je w starym zagłębiu – thumaczy pan Czesław.

■ Gasiliśmy u Czechów

Po jakichś dwóch latach od zatrudnienia na „Lenie”, został ratownikiem górniczym. Wraz z kolegami pełnił kilka razy w roku tygodniowe dyżury w Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego w Wałbrzychu.

W tym czasie wzywani byli do akcji przede wszystkim w kopalniach węgla. Już pół wieku przecho- wuje w pamięci dramatyczny wypadek, do którego doszło w „Wiktorii”, bo jak zapewnia, takich chwil łatwo się nie zapomina. Zginęło wówczas dwóch górników. Na szczęście później jako ratownik nie miał już do czynienia z tak tragicznymi w skutkach wypadkami.

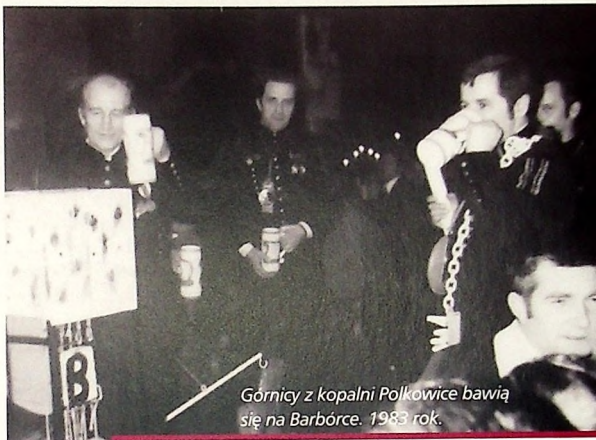
Któregoś razu wraz z kolegami pospieszył z pomocą do jednej z czeskich kopalń, w której wybuchł pożar. Gasili ogień około dziesięciu godzin i byli już u kresu sił, gdy zmienili ich ratownicy z Pragi.

– Czesi zapłacili nam za udział w tej akcji. Nie było to wielkie pieniądze, ale porządnie nas nakarmili i zaopatrzyli w czeskie piwo, które bardzo sobie ceniliśmy. W drodze powrotnej za zarobione korony oczywiście każdy zrobił sobie spory zapas wybornego czeskiego piwa – wspomina pan Czesław.

Z czasem KGHM uruchomił własne stacje ratownictwa. Najpierw na ZG Lubin, potem w Sobinie, gdzie do 1975 roku Czesław Pędziwiatr pełnił dyżury jako czynny ratownik.

■ Autobus jak sypialnia

Przyszedł taki moment, że chciał zwolnić się ze starej kopalni, bo wciąż szukał lepszych warunków pracy. Powstrzymał go jednak dyrektor Cholewiak, obiecując, że gdy sam przejdzie do KGHM, to go tam ściągnie. W tym okresie, na przełomie lat 60. i 70., coraz głośniej mówiło się o zamknięciu „Leny”, dlatego wielu górników planowało przeniesienie się do nowego zagłębia.



Górnicy z kopalni Polkowice bawią się na Barbórcie. 1983 rok.

– Inżynierowie szli do centrali kombinatu, do ZG Lubin i ZG Polkowice. Przenieśli się tam Bolesław Banaś i Mirosław Pawlak, którzy przyszli na „Lenę” dwa lata po mnie. Potem w KGHM zatrudnił się Zbigniew Pochciał i pociągnął za sobą Piotra Maćkowskiego. W Zakładzie Doświadczalnym zatrudnił się Dobrowolski, a Czesław Masłowski w ZG Lubin na przeróbce. Potem ci przełożeni swoim sprawdzonym pracownikom proponowali pracę w nowym zagłębiu. W ten sposób „Lena” stała się źródłem wykwalifikowanej kadry dla nowych kopalń. W końcu przyszedł czas na mnie. W listopadzie 1973 roku zostałem wezwany do dyrektora technicznego kombinatu, który zaproponował mi etat w kopalni Polkowice.

Przechodziłem tam po szesnastu latach pracy na „Lenie”, będąc na stanowisku głównego mechanika – wspomina Czesław Pędziwiatr

Gdy pracował na „Lenie”, przez kilkanaście lat dojeżdżał do pracy z Legnicy do Wilkowa. Do Polkowic było jeszcze dalej. Co prawda kombinacki autobus zabierał go niemal spod jego nowego mieszkania, na legnickich Piekarach, ale i tak

aby zdążyć do kopalni na czas, musiał wstawać najpóźniej o czwartej nad ranem. Zaraz po wejściu do autobusu, jak wszyscy górnicy, zaczynał drzemać, żeby choć trochę wydłużyć sobie sen. To samo w drodze powrotnej. Z jego dojazdów niezadowoleni byli też przełożeni, bo dozór woleli mieć zawsze pod ręką. To właśnie z tego powodu dyrektor kopalni od zaraz proponował mu mieszkanie w Polkowicach. Żona pana Czesława tak się jednak zadowoliła w Legnicy, że o przeprowadzce do Polkowic, ani nawet do Lubina, gdzie w tym czasie nie było trudno o dach nad głową, nie chciała słyszeć.

■ Słuchawka wypadła z rąk

Czesław Pędziwiatr zaczął pracować w „Polkowicach” tuż po pożarze szybu zjazdowego w 1973 roku. Po tym zdarzeniu, podczas użytkowania zatwierdzenia w Urzędzie Górnictwem, deklarował, że popracuje nad szybami, by w przyszłości nie doszło do podobnej sytuacji. Pamięta, że wówczas po pożarze „polecało” niemal całe kierownictwo; zwolniono dyrektora technicznego, głównego mechanika, kierownika robót. Ostał się tylko dyrektor naczelny Tadeusz Babisz, któremu pan Czesław naraził się niemal od pierwszych dni pracy w kopalni.

– Ogień spowodował ogromne straty, musieliśmy montować nowe kable i liny. Pożar – wyjaśnia inż. Pędziwiatr – spowodowała iskra powstała przy robotach spawalniczych. Od niej to zajął się hydrol, który wylał się z urządzeń hydraulicznych zamontowanych w szybie. Dlatego wymienialiśmy maszyny o napędzie hydraulicznym, na urządzenia o napędzie elektrycznym. Na czas remontu szybów wprowadziłem pewne rygory, określiłem ściśle czas na naprawy i codzienną pracę szybu. Którejś nocy obudził mnie telefon, pracownica kopalni informowała, że łączy z Tadeuszem Babiszem. Dyrektor zażądał, żebym uruchomił szyb, bo na dole czekała ruda, a wykonanie planu było zagrożone. „Nie ma mowy dyrektorze, muszę zrobić, co do mnie należy, inaczej wszystko się zawali” – odpowiedziałem. Wtedy szef zaczął na mnie krzyczeć: „Jesteś tu dziesiątym mechanikiem!”, sugerując, że nie ostatnim. „To niech pan jutro szuka następnego” – odparowałem. Po tej wymianie zdań zmienił ton i powiedział: „Dyspozytorem odpowiedzialnym za wykonanie planu jest kobieta, mógłbyś to przynajmniej dla niej zrobić”.

To mnie rozbroiło. Od razu szybu nie dało się uruchomić, ale zrobiliśmy to godzinę wcześniej, niż planowaliśmy. Wyświadczylśmy tę uprzejmość koleżance, bo czego się nie robi dla kobiet – w ten sposób plan został uratowany – opowiada z rozbawieniem pan Czesław.

Mimo postępu technicznego, jaki się z czasem dokonał, praca w kopalni Polkowice była jego zdaniem trudniejsza niż na „Lenie”.

– Panowały tam zupełnie inne warunki, częściej dochodziło do awarii. Wiecznie siedziałem w kopalni, czasem przysyłali po mnie samochód do Legnicy i w środku nocy ściągali do roboty. Bywało, że spałem tylko trzy godziny. Dyrektor Babisz przeprowadzał odprawy nawet o godzinie 23. Siedząc we własnych domach, „wisieliśmy” wszyscy na telefonach i słuchaliśmy, co działa się na zmianie. Czasem zasypiałem, a słuchawka wypadła mi z rąk. Żona niekiedy mruczała niezadowolona z tego powodu, że ma w domu kopalnię, ale nie było na to rady, taką miałem pracę. Wytrzymałem w niej 28 lat – podsumowuje pan Czesław.

■ Wnucze wózek, sobie - opony

W styczniu 2016 skończył 86 lat, już około 30 lat jest na emeryturze. Przez ten czas pomógł dwóm synom wybudować domy i poznał tajniki dobrego działkowca.

Czasem spaceruje ulicami Legnicy i przypomniał sobie miejsca związane z pracą w KGHM.

– Pamiętam, że w pobliżu dzisiejszej Galerii Piastów stał sklep górniczy. Można w nim było dostać dosłownie wszystko, czego nie było w ogólnie dostępnych sklepach. Tu kupiłem na przykład wnucze wózek, a sobie opony do mojego pierwszego samochodu - skody. Potem dostałem talon z KGHM na nowe auto. Kombinat załatwiał też górnikom kredyty, którymi spłacali swoje pojazdy.

Przyznaje, że górnicy byli uprzywilejowani, bo zarabiali więcej, szybciej dostawali mieszkania, ale z drugiej strony była to rekompensata za ciężką pracę.

– Przepracowałem całe życie tam, gdzie znalazłem się dość przypadkowo, w pogoni za mieszkaniem, bo gdy jeszcze byłem studentem politechniki, nie wiedziałem nawet, że w Polsce wydobywa się miedź. W firmie, a dokładnie w ZG Lubin, całe swoje zawodowe życie przepracował mój syn, który też jest już kombinackim emerytem – kończy pan Czesław. ■

**Dotarłem do fabryki żerańskiej
trzy dni wcześniej. Poszedłem
do biura przetargowego, gdzie
siedziały dwie ładne dziewczuszki.
Zaprosiłem je na dobry obiad, po-
tem jeszcze wziąłem na dancing
(miałem na to pieniądze z fundu-
szu reprezentacyjnego). Starałem
się w ten sposób przekonać je, że
nasz kombinat jest jednym z naj-
ważniejszych przedsiębiorstw
w Polsce...**

*Jan Pawlak,
dyspozytor ruchu,
główny mechanik,
dyrektor ds.
pracowniczych Zakładu
Transportu KGHM.
Pracował w latach
1960-1990*



Niech czują, że pracują w dobrej firmie

Każdy ma jakąś swoją historię, która go ukształtowała. Moja zaczęła się dość sensacyjnie. Zaraz po urodzeniu, a było to w 1938 roku, w Chytrowie, woj. poznańskie, podrzucono mnie w kołysce do synagogi w Jaraczewie. Obok bożnicy przechodził mój późniejszy, przybrany brat Stanisław. Usłyszał płacz, wykradł mnie z kołyską i przyniósł do swojego domu. Jego rodzice: Zofia i Stanisław Maturscy pokochali mnie, jak własne dziecko. Mówi się, nie ta matka co urodzi, ale ta, co wychowa. Tak było ze mną – rozpoczyna swoją opowieść Jan Pawlak.

Po wojnie Maturscy wyjechali z Chytrowa na Ziemię Zachodnią, do wsi Bucze w gminie Grębocice. Najmłodszy syn Janek rozpoczął naukę w podstawówce. Nauka nigdy nie sprawiała mu

trudności, był zawsze wyjątkowo pilnym uczniem. Gdy miał 12 lat, naturalna matka usiłowała go odzyskać. Za żadne skarby nie chciał rozstawać się z Maturskimi. Oni także nie zamierzali go oddać. Aby ostatecznie zamknąć sprawę, adoptowali Jan-ka sądownie.

– Ojciec wtedy pytał, czy chcę zmienić nazwisko na Maturski. Postanowiłem zostać przy nazwisku naturalnej matki, chyba dlatego, że było krótsze. I tak jako Pawlak, byłem najukochańszym i najmłodszym synem w rodzinie Maturskich.

■ Dziewczyna z Grębocic

– Bez trudu dostałem się do Technikum Samochodowego w Legnicy. Przechodziłem z klasy do klasy, zdobywając wyróżnienia. Wtedy też w Pia-

ście Legnica załapałem sportowego bakcyła i piłka nożna pochłonęła mnie na kilka lat –wspomina.

Grając na pozycji stopera w Piaście, zawsze znajdował czas, by wspierać drużynę Sparta Grębocice. Na wiosce mówili: Nasi wygrają, bo Jasiu Pawlak przyjechał. I zwykle tak się działo. Po wygranej grębocickiej drużyny Jasiu wpadał do jedynej na wsi gospody, by coś przekąsić i popatrzeć na dziewczynę. Podobała się mu pracująca w bufecie Regina: zgrabna, filigranowa, obdarzona bardzo ładnym głosem. Często śpiewała podczas zabaw tanecznych, które po zwycięskim meczu Sparty odbywały się w miejscowym parku.

■ Jak dobry, to do nas

Po ukończeniu technikum znalazł pracę w PKS Legnica. Wkrótce jednak upomniało się o niego wojsko. Trafił do jednostki samochodowej w Oleśnicy, skończył tam roczną Podoficerską Szkołę Mechaników Samochodowych, co poszerzyło

Lubińska baza PKS mieściła się przy ul. Składowej, w czerwonych koszarach. Jej budynki sąsiadowały z kombinackimi.

– Kiedyś poproszono mnie o naprawę wołgi samego dyrektora naczelnego kombinatu – wspomina Jan Pawlak. – Najwyraźniej Tadeusz Zastawnik był zadowolony z mojej pracy, gdyż w rozmowie ze swoim kierowcą, Stefanem Jamrozem, powiedział: „Jak dobry, no to może by do nas przyszedł?”. W tym czasie właśnie tworzył się w kombinacie Zakład Transportu. Za namową Stefana pojechaliśmy do dyrektora Zastawnika na rozmowę. Po kilkunastu minutach nakazał szefowi kadr Jerzemu Cieślowskiemu, przyjąć mnie do pracy. W ten sposób niespodziewanie zostałem pracownikiem Zakładu Transportu, który powstawał ze scalenia mniejszych, filialnych jednostek, obsługujących poszczególne przedsiębiorstwa kombinatu. Początkowo siedziba dyrekcji mieściła się przy ul. Składowej w Lubinie, dopiero po pewnym czasie przeniesiono ją do nowo wybudowanego obiektu za Zakładem Remontowo-Montażowym.

■ Kilometry na silnikach

W Zakładzie Transportu zaczynał od dyspozytora ruchu. Z tamtego okresu wspomina duży napływ taboru z ZSRR: kamazów, krazów, zyłów, a także dźwigów.

– Sprzętu było wiele, baza w Lubinie pękała w szwach, choć zajmowała całą powierzchnię dzisiejszego bazaru przy Iwaskiewicza – ocenia pan Pawlak. – W międzyczasie budowaliśmy kolejny oddział w Polkowicach. Radzieckie samochody były nawet wytrzymałe, jednak największą ich wadą było „pożeranie” ogromnych ilości paliwa. Mówiło się, że zużywają sto litrów na 100 kilometrów, stąd ich eksploatacja była nieopłacalna.

Zmorę codzienności stanowiła duża awaryjność silników. W tamtych czasach nie były tak trwałe i sprawne jak dzisiaj. Łożyska ślizgowe bardzo szybko się wyrabiały, bo panewki robiono z kiepskiego materiału. Znacznie dłużej jeździły czeskie skody i ciężarowe tatry. Jednak dopiero kiedy weszły fiaty i ściągnięta została do kraju nowa tech-



Zawodnicy przebiegają się przed meczem Zagłębia Lubin z Olimpią Kowary. Jan Pawlak drugi od prawej, obok Józef Gołnik.

i ugruntowało mu wiedzę o samochodach. Po powrocie do cywila nadal pracował w PKS, ale przeniósł się do oddziału w Lubinie. Dzięki temu miał bliżej do rodziców w Buczu, i do dziewczyny w Grębocicach.

nologia z Włoch, żywotność samochodów zdecydowanie wzrosła.

Oczywiście z „oszczędzaniem” paliwa przez kierowców bywało różnie. Co prawda każdy wyjazd rozpisywano w szczegółach, to jednak fikcji transportowych było wiele.

– Kierowcy zawsze potrafili sobie coś przyszczędzić, czy też stosując domowej roboty patenty, „rozciągnąć” kilometry. Czasem swoimi sposobami popychali liczniki, nieraz nabijali je za pomocą silniczków od samochodowych wycieraczek. Ale pijarstwa nie było – zapewnia Jan Pawlak. – Dyrektor Zastawnik na każdym kroku podkreślał, że za alkohol nie ma „zmiłuj się”, a w razie wątpliwości w każdym oddziale, można było dmuchnąć w balonik.

■ Śmietana dla zwycięzców

Jeszcze pod koniec lat 50. przeniósł się z Piasta Legnicy do Zawiszy Lubin, który niebawem zmienił nazwę na Górnik Lubin. W niedługim czasie został kapitanem lubińskiej drużyny.

– W tamtym okresie grało się przede wszystkim dla przyjemności i samej rywalizacji – przypomina pan Pawlak. – Po każdym wygranym meczu kupowałem chłopakom za własne pieniądze śmietanę. Nieco później, gdy kręciłem się bliżej kierownictwa, starałem się wydebnić jakieś środki na posiłki regeneracyjne. Często po treningu zabierałem chłopaków na zupy z wkladką do restauracji Klubowa.

Któregoś razu Jan Pawlak z Januszem Kiciem wymyślili, by na wzór nazwy Zagłębie Sosnowiec przemianować Górnik na - Zagłębie Lubin. Propozycja na walnym zebraniu przeszła, nazwa została zmieniona i funkcjonuje do dzisiaj.

Oczywiście z powodzeniem Zagłębia bywało różnie - awanse przeplatały się ze spadkami nawet do „B” klasy, w końcu dostali się do trzeciej ligi. Na tym sukcesie pan Jan postanowił zakończyć swoją piłkarską karierę. Potem z Henrykiem Kruglińskim stworzyli sekcję piłki ręcznej kobiet Zagłębie Lubin. Kiedy dziewczęta doszły do I ligi i Pucha-

rów europejskich, wycofał się z powodu nawet obowiązków zawodowych.

■ Dygnitarze z eskortą

Regina i Jan Pawlakowie pobrali się w 1961 roku. Po trzech miesiącach otrzymali klucze do M-3, w Lubinie przy ulicy Krzywoustego, nieco



Wycieczka do NRD. Jan Pawlak pierwszy od prawej (przykucnął).

później przemianowanej na ulicę Rynek. Żeby dostać upragnione metry, zgodnie z powszechnie stosowaną metodą, zameldowali u siebie rodziców Matuskich.

– Ulica Krzywoustego w tym czasie była wielką budową, wszechobecne błoto stało się na kilka lat nieodłącznym elementem codzienności. Restauracji, w których dałoby się elegancko zjeść i się zabawić, było w tym czasie, jak na lekarstwo – wspomina Jan Pawlak. – O Ratuszowej jeszcze nikomu się nie śniło, chociaż w jej miejscu znajdowały się ogromne wykopy. Kiedy we wrześniu 1962 roku nasze zagłębie odwiedzili członkowie kierownictwa partii i rządu: Władysław Gomułka z Józefem Cyrankiewiczem, Edwardem Ochabem i Julianem Tokarskim, podejmowaliśmy ich obiadem w Eurece. Potem jeszcze w Eurece goszczono Edwarda Gierka, gdy w 1971 roku przyjechał na uruchomienie HM Głogów. Pamiętam dobrze,

bo wtedy jako dyspozytor organizowałem kolumnę samochodową – dodaje pan Pawlak. – Zawsze gdy od Wrocławia podążali do Lubina dygnitarze, dyrektor Zastawnik wyjeżdżał na granicę powiatu (pod Prochowice) i ich witał. Po tej ceremonii eskortowaliśmy gości do siedziby kombinatu. W późniejszych latach, po odejściu dyrektora Zastawnika, nowi zarządzający odstąpili od tego zwyczaju i wszyscy goście przyjeżdżali do dyrekcji bez naszej eskorty.

Pani Regina zatrudniła się w lubińskim PZGS, gdzie początkowo pracowała jako ekspedientka, a następnie fakturzystka. Pojawienie się na świecie córki Marlenki, mobilizowało młodą mamę do dalszej nauki. Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego dla Dorosłych, znalazła pracę w Zakładzie Remontowo-Montażowym KGHM, nieopodal Zakładu Transportu.

Przyjmował ją Edmund Halamski, naczelny dyrektor ZRM. Początkowo pracowała w administracji, po pewnym czasie znów zwróciła się do dyrektora Halamskiego z prośbą o lepsze stanowisko. Poprosił, by pokazała ręce. Zawsze miała precyzyjnie wypilowane i oryginalnie polakierowane paznokcie. Tamtego dnia były zielone, do koloru sukienki. Trochę skrępowana wysunęła ręce: „Z takimi paznokciami może pani iść do pracy w kadrach” – usłyszała zaskoczona, ale... niezmiernie zadowolona.

■ Fiaty i wołgi

– Przyjmowanie ważnych delegacji i organizowanie imprez okolicznościowych wiązało się z dużym zaangażowaniem taboru. Z wyprzedzeniem ustalaliśmy, ile samochodów będziemy potrzebować, gdzie je podstawić i jaką trasą przejechać – wylicza Jan Pawlak. – Utkwiły mi w pamięci przygotowania do II Krajowego Zjazdu Górnicstwa Rud, który odbył się w KGHM. Należało zapewnić auta dla zdecydowanie większej liczby gości, niż zwykle. Generalnie w firmie taboru osobowego wciąż było za mało, dlatego dla części uczestników Zjazdu musieliśmy wynajmować dodatkowe auta w innych przedsiębiorstwach – wspomina.

W tamtych czasach kompletowanie taboru nie było łatwą sprawą, może właśnie z tego powodu zapamiętał wyprawę do Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu.

– Wyczałem możliwość kupna kilku używanych samochodów osobowych dla dyrektorów kopalń, którzy jeździli wysłużonymi warszawami



Pani Regina w tańcu z dyr. ds. pracowniczych Edwardem Krzyżanowskim.

M-20. Zorientowałem się wcześniej, że są to fiaty lekko używane, wycofane z powodu małych usterek zgłoszonych przez uprzednich właścicieli. Właśnie na te samochody miał zostać ogłoszony przetarg. Dotarłem do fabryki na trzy dni przed przetargiem. W biurze przetargowym siedziały dwie ładne dziewczuszki. Zaprosiłem je na dobry obiad, potem jeszcze wziąłem na dancing, oczywiście miałem środki z funduszu reprezentacyjnego. Starałem się tak wszystko zorganizować, aby je przekonać, że nasz kombinat to jedno z najważniejszych przedsiębiorstw w Polsce. Mówiłem: „Jeśli dyrektorzy będą mieć szybkie i sprawne samochody, to górnicy wydobędą więcej rudy”. Moje starania przyniosły efekt. Następnego dnia

po dancingu jestem w biurze i słyszę, jak któraś z dziewcząt mówi: „Panie kierowniku, te samochody z wykazu, który panu przygotowałam, wycofujemy, bo jest przedstawiciel kombinatu i wszystkie je weźmie od ręki”. Tak się stało. Kupiłem 6 samochodów bez przetargu, po cenie trochę wyższej niż wywoławcza. Wszystkie były na chodzie. Ściągnąłem pięciu kierowców z Lubina i każdy z nich wrócił nowym autem. Komplet fiatów przypadł dyrektorom kopalń i zakładów kombinatu. Mnie, za sprawne i skuteczne załatwienie sprawy, dyrektor Zastawnik zwiększył zasadniczą stawkę i do tego dał piękną premię.

■ **Lubił szybką jazdę**

Z talonami na auta było jeszcze trudniej. Czasem jednak sprawdzało się powiedzenie: „Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle” – uśmiecha się na wspomnienie. – Kiedyś pojechała do mini-

dyrektor Zastawnik, drugą dyrektor Alfred Cholewiak z „Konrada”, trzecią dyrektor Tadeusz Babisz z „Polkowic”, kolejną dyrektor Dionizy Grzanka z „Lubina”, a ostatnia poszła do HM w Głogowie. Dyrektor Zastawnik jeździł tą wołgą (drugą z rzędu) do Wrocławia, gdzie mieszkał z rodziną. Lubił szybką jazdę, ale nigdy nie miał wypadku. Może dlatego, że mimo wszystko jeździł ostrożnie, ale także w latach 60. i 70. tylu samochodów co dzisiaj, na drogach nie było. Dyrektorską wołgę użytkowano przede wszystkim do celów reprezentacyjnych. W przypadku „brudniejszych” wyjazdów, np. na szyby kopalń czy do hut, dyrektor wybierał starszą warsawę albo fiata, którego wcześniej przywoziłem ze stolicy.

■ **Posypały się awanse**

W 1973 roku Jan Pawlak skończył studia prawnicze na Uniwersytecie Wrocławskim. Rodzicom



Otwarcie DW Malachit, od prawej Jan Pawlak (wówczas dyr. ds. pracowniczych), Jerzy Marczyk (dyr. ekonomiczny). Drugi od lewej dyr. naczelny Jan Gancarczyk.

sterstwa Maria Związek, kierowniczka filii ZT z „Konrada”. Jakimś sposobem załatwiła talon na 5 samochodów marki Wołga. Jedną otrzymał sam

Matuskim oczy błyszczały z Jasiowego sukcesu. W ślad za dyplomem poszły awanse. Został głównym mechanikiem, a potem, za czasów naczel-

nego dyrektora Jana Gancarczyka, awansował na dyrektora pracowniczego.

– Pracy przybywało, bo zakład się rozrastał. Oprócz obsługi transportu powierzchniowego

również obsługa około dziesięciu własnych stacji paliw.

– Paliwo dostarczano nam cysternami kolejowymi, które należało roztankować, a następ-



Dyr. Jan Pawlak przyjmuje delegację Czechów z Hradec Kralove.

prowadziliśmy wydział Piaskowni Obora, gdzie pozyskiwaliśmy ogromne ilości piasku, którym górnicy podsadzali pustki poeksploatacyjne. Piasek transportowaliśmy na szyby wagonami i wywrotkami. Najpierw były to rosyjskie kamazy i krazy, a po ich wycofaniu czeskie tatry – wspomina Jan Pawlak. – Do nas należał także nadzór nad lotniskiem i opieka nad trzema czeskimi morawami i jednym helikopterem. Potem jedną morawę rozbił pomocnik pilota, który znieńacka w nocy „zapragnął” ją uruchomić. Maszyna nawet ruszyła, ale zaraz zawadziła o bariery drzwiowe i połamala śmigła. Cała sprawa szybko wyszła na jaw. Pomocnik pilota stracił pracę, a my samolot, który wymagał odstawienia do remontu w Czechosłowacji.

Do działań zakładu należała także dostawa paliwa z rafinerii dla całego kombinatu, jak

nie rozwieźć po naszych placówkach. Z kolei tankowanie lokomotyw i spychaczy w miejscu pracy odbywało się z cystern. Dzięki tym zabiegom, przy tak ogromnej liczbie samochodów, można było sporo zaoszczędzić – dodaje Pawlak.

■ Czulem ich zaufanie

Zawsze lubił ludzi i nie szczędził czasu na rozmowy z nimi. Sprawdził się jako przewodniczący zakładowego Związku Zawodowego Górników, a potem też na stanowisku dyrektora ds. pracowniczych.

– Zawsze chciałem, by ludzie mieli poczucie, że pracują w dobrej firmie, co było zgodne z rzeczywistą sytuacją. Załoga korzystała z wielu przywilejów górniczych: między innymi z depytatu węglowego, dodatkowych świadczeń z okazji



XI Turniej Retrofutbolistów. Pierwszy z prawej Jan Pawlak, obok Franciszek Machej.

Barbórki. Nasi ludzie korzystali z sieci sklepów zaopatrujących górników, mieli też nieograniczone możliwości pracy w nadgodzinach. Czułem z ich strony zaufanie. Chętnie integrowali się w ramach



Historyczna pompa każdego roku poddawana jest konserwacji.

wycieczek, okolicznościowych imprez, rodzinnych wyjazdów. Dobra atmosfera wynikała także ze znakomitej współpracy z dyrektorem naczelnym ZT Janem Gancarczykiem. To był „swój chłop”, miłośnik górskich eskapad, narciarz, niezmordowany turysta i wspaniały budowniczy m.in. Malachitu w Świeradowie. Podczas jednej z turystycznych eskapad nieopatrznie zeszedł ze szlaku. Była noc, najprawdopodobniej nie przetrzymał gwałtownie zmieniających się warunków pogodowych.

Po tej tragedii w firmie doszło do zmian w ekipie zarządzającej. Janowi Pawlakowi zaproponowano stanowisko szefa działu prawnego. Zgodził się je przyjąć. Było to na kilka lat przed emery-

turą, przeszedł na nią w 1990 roku.

■ Sprzed górniczej rewolucji

– Z wyhamowaniem aktywności życiowej po przejściu na emeryturę, nie zawsze jest łatwo. Stąd z dużym zaangażowaniem działałem w Towarzystwie Miłośników Ziemi Lubińskiej, którego prezesem był w tym czasie Edward Rippel, niegdyś dyrektor pracowniczy w KGHM. W 1992 roku wymyśliłem z grupą kolegów: Stefanem Dziadkiem, Michałem Gołąbem, Andrzejem Kozakiem i Jackiem Urbanem, by wspólnie zrobić coś dla zachowania pamięci o dawnym Lubinie. Wymyśliśmy, by odnowić starą pompę uliczną, stojącą naprzeciw poczty głównej. Zamontowaliśmy także tablicę z nazwiskami darczyńców. Każdego roku pompę odmalowujemy. Niech przypomina historię Lubina sprzed górniczej rewolucji.

W ostatnich latach państwo Pawlakowie prowadzą bardziej osiadłe życie i więcej czasu spędzają na działce. Na podróże najchętniej wybierają Czechy, gdzie mieszka wraz z mężem ich córka Marlena, z zawodu dziennikarka.

Jan Pawlak nadal pozostaje wiernym kibicem Zagłębia Lubin, wciąż sekunduje szczypiornistom. ■

Raz kiedyś miałem pretensje do kratowego, który rozbijał kęsy młotem. Odburknął mi: „Sam pan spróbuj i dopiero potem rób uwagi!”. Byłem młody i sprawny, więc złapałem za młot, uderzyłem może 5-6 razy i uszło ze mnie życie...

*Ryszard Skarżyński,
kierownik Działu
Transportu Taśmo-
wego i Rurociągów
ZG Rudna. Pracował
w latach 1964-1991*



Nigdy więcej **lipnej taśmy** na dole!

W wieku 16 lat ojciec Ryszarda Skarżyńskiego wstąpił do Legionów, potem brał udział w wojnie bolszewickiej, ale dopiero pół wieku później, w trakcie studiów na Politechnice Wrocławskiej, Ryszard Skarżyński odkrył, jaką rolę ten fakt odegrał w jego życiu.

W szkole średniej był jednym z najlepszych uczniów liceum w Brzegu nad Odrą, przewodniczył samorządowi szkolnemu i był przekonany, że bez problemów dostanie się na politechnikę. Niestety, mimo pomyślnie zdanych egzaminów, z uczelni przyszła negatywna odpowiedź. Załamany nosił się nawet z zamiarem wyemigrowania do Anglii, ale jego tato postanowił działać. U prorektora Szparkowskiego nic nie wskórał, więc napisał odwołanie do Rady Państwa. Niestety pismo trafiło ponownie do komisji kwalifikacyjnej we Wrocławiu, a ta nie zmieniła stanowiska. Ojciec pana Ryszarda dotarł więc do kuzynki prof. Dionizego Smoleńskiego, rektora Politechniki, która załatwiła audiencję u rektora.

– Profesor rozmawiał ze mną na różne tematy, na koniec półgodzinnego spotkania powiedział, abym przyjechał za tydzień. Po kolejnej rozmowie ponownie miałem wrócić za tydzień. Za trzecim razem prof. Smoleński kazał mi iść na egzaminy wstępne, które właśnie się rozpoczynały. Znalazłem się na liście tych, którzy zdali, ale nie na liście przyjętych. Poleciałem jeszcze raz do rektora, który zadzwonił do dziekana i powiedział, żeby mnie przyjąć z jego prywatnej listy rezerw. W 1956 r., po tzw. odwilży, obejrzałem w dziekanacie swoją teczkę. Były w niej bardzo pozytywne opinie komisji szkolnej, powiatowej i wojewódzkiej w Opolu. Na ostatnich stronach, w rubryce „uwagi pełnomocnika ministra szkolnictwa wyższego i nauki”, przeczytałem: „Nie przyjąć na studia ze względów zasadniczych” – podpisał człowiek o nazwisku Brandt. Wówczas przypomniałem sobie, jak w 11 klasie dwóch „smutnych” panów zawiozło mnie do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa i przez kilkanaście godzin wypytywali, co porabiał mój

ojciec w latach 20. Domyśliłem się, że ten wpis był efektem tamtego wydarzenia, a głównie dlatego, że tato brał udział w wojnie z bolszewikami.

■ Dyrektorskie nawyki i upodobania

Po ukończeniu Politechniki Wrocławskiej Ryszard Skarżyński trafił do Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego we Wrocławiu, potem przeniósł się do Zakładów Energetycznych Okręgu Dolnośląskiego. Kiedy usłyszał, że w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi mieszkania dają od ręki, 9 stycznia 1964 r. przyjechał do Lubina i zaczął pracę w dyrekcji zarządu KGHM w budowie.

– Przyjmował mnie Tadeusz Zastawnik – mówi o pierwszych dniach na Miedzi - niesamowity człowiek i wyjątkowej klasy dyrektor zarządu, w skład którego wchodziłi wówczas kierownicy zespołów budowy kopalń w budowie, energiczni i bardzo barwni. Pamiętam np., że dyrektor Dionizy Grzanka z ZG Lubin lubił imponować kondycją fizyczną. Wbiegał na piętra po dwa stopnie, przekonując, że to go wcale nie męczy. Józef Kumor z polkowickiej kopalni był człowiekiem trochę kontrowersyjnym, ale ze Stanisławem Golemo, jego następcą, współpracowało się bardzo dobrze. Dyrektor techniczny w zarządzie Alfred Cholewiak lubił pastwić się nad pismami. Teatralnie krzywił się, gdy ktoś dawał mu dokument, następnie pisał na nim: „nonsensowny paradoks” albo „paradoksalny nonsens” i zwracał autorowi.

W 1965 r. Alfreda Cholewiaka zastąpił Stanisław Koziarski. Pewnego dnia zadzwonił do Ryszarda Skarżyńskiego, informując go, że chce zapoznać się ze stanem rozruchu pierwszej nitki ZPM ZG Lubin.

– Przyjechał po 15., przeszliśmy cały ciąg technologiczny, tłumaczyłem dyrektorowi, jak przebiegają prace. Skończyliśmy, wsiadamy w samochód, by wyjechać z kopalni boczną bramą. Podjeżdżamy do strażnicy, a na bramie nikogo nie ma. Stanisław Koziarski wysiadł z auta, zaglądnął do budki i po chwili wyciągnął z niej zaspanego strażnika. „Panie, jak pan śpisz, to przynajmniej zaciągnij łańcuch” – strofował go. Strażnik z rozbrajającą szczerością wyznał: „Nie mogę tego zrobić, bo... mi łańcuch ukradli”.

Wszyscy dyrektorzy początkowo pracowali w budynku na terenie zarządu, bo na kopalniach nie było jeszcze żadnych pomieszczeń. Potem, wraz z poszczególnymi służbami, przenosili się do lokali w bazach wykonawców – wspomina początki.

■ Awans po pierwszej nitce

W biurze zarządu Ryszard Skarżyński został przyjęty na stanowisko kierownika Oddziału Utrzymywania Ruchu. Jego zadaniem było przejmowanie od wykonawców obiektów stałych i tymczasowych.

– Wykonawcy nie tylko nie mieli podstaw do dalszej eksploatacji wzniesionych obiektów, ale z powodu braku rąk do pracy, wcale nie palili się do tego. Tak było np. z kotłownią letnią na Lubinie Głównym, pompownią głównego odwadniania na Szybie Wschodnim czy kotłownią na Osiedlu Staszka w Lubinie i wszystkimi innymi w mieście, które my musieliśmy utrzymywać. Po dwóch latach powołano strukturę rozruchową, do której zostałem przeniesiony. Kierownikiem został Jan Ziółek, ja natomiast jego zastępcą. Jan był znakomitym fachowcem, rzeczowym oraz konkretnym człowiekiem i bardzo dobrze nam się współpracowało. Zaczęliśmy praktycznie od rozruchu pierwszej nitki ZWR, który wtedy nazywał się Zakładem Przeróbki Mechanicznej. Kiedy skończyliśmy, Jan Ziółek został tam głównym mechanikiem, a ja przejąłem jego funkcję.

■ Cicho być ty...

Jedną z plag tamtych czasów, szczególnie w latach 1963-1964, były nagminne narady, nadsiadówki i wizyty dygnitarzy różnego szczebla. Ryszard Skarżyński miał okazję uczestniczyć w kilku z nich. Dyrektor Tadeusz Zastawnik podchodził do nich z wyrozumiałością i bardzo cierpliwie, ale przy każdej nadarzającej się okazji umiał dowcipnie spointować zaistniałe sytuacje, prezentując humor w angielskim stylu.

– Kiedyś u dyr. Zastawnika odbywała się (określana żartobliwie) „rada rabinów” dotycząca budowy osiedla „D” w Lubinie. Gdy główny „rabin” dyr. Tatara, starszy pan z krzaczastymi brwiami, jak u Piłsudskiego, basem oznajmił: „Panie dyrektorze, wszystkie wróble śmieją się z nas, bo w domkach dla ptaków zrobiono za duże otwory i szpaki się tam zagnieździły. Dyr. Zastawnik z całą powagą odpowiedział: „Proszę zaprotokołować, żeby pomniejszać otwory”. Innym razem na naszej wewnętrznej naradzie technicznej, dyr. Zastawnik opowiadał o przebiegu wizyty delegacji partyjno-rządowej na Lubinie Wschodnim: „Zjechaliśmy kubłem na poziom 410. Goście pooglądali, jak prowadzi się wyrobiska, zwiedzili pompownię głównego

odwadniania, która była w końcowym stadium budowy. Odniosłem wrażenie, że byli zadowoleni. Pełni nadziei wsiadliśmy do kubła i jedziemy na górę. Leje się na nas niesamowicie. Jakies

– To była straszna orka także dlatego, że stosowano wiele unikalnych rozwiązań. Szyb P-1, którego rozruch prowadziliśmy w 1969 r., tak nas absorbował, że od stycznia do lipca pracę zaczęliśmy o godzinie 6 rano, a kończyliśmy o 21.

W 1969 r. ZG Lubin i ZG Polkowice osiągnęły 25 proc. mocy produkcyjnej, co wyczerpało środki przewidziane na rozruch. W efekcie Dział Rozruchu w SOWI rozwiązano, zostały tylko działy rozruchu przy kopalniach Lubin i Polkowice.

■ Kłopoty z Gwarkami

1 marca 1971 r. Ryszard Skarżyński został zatrudniony na stanowisku gł. inż. budowy ds. rozruchu w ZG Rudna, w randze zastępcy gł. inż. mechanicznego Zbigniewa Derbota.

– W kopalni tak naprawdę rozruchu nie przeprowadzano i nie

bardzo wiedzieli co mają z nami począć – opowiada R. Skarżyński. – Wyjechałem więc w lipcu na urlop, a gdy wróciłem, dyrektor naczelny Włodzimierz Mięśowicz i dyr. ds. technicznych Tadeusz Konkolski przedstawili mi – jak to ujęli – propozycję nie do odrzucenia. Mam przejść do SOWI na stanowisko głównego mechanika ds. energomechanicznych robót dołowych, prowadzonych przez firmę dla ZG Rudna. Moim zadaniem będzie zabezpieczenie ruchu maszyn i urządzeń energomechanicznych przy drażnieniu upadłych centralnych z poziomu 850 ZG Polkowice do poziomu 950 szybu R-I. Problem polegał na tym, że w planie było osiągnięcie 110 m postępu, a od kilku miesięcy SOWI uzyskiwało po około 40 m. Przy robotach zatrudniono 600 pracowników, w tym 450 górników i 150 energomechaników.

Od samego początku toczyłem walkę z górnikami, których trudno było przekonać, że nie mogą o wszystkim decydować. Poza tym stosowano kiepskiej jakości materiały, słabo funkcjonowała energetyka; z postępowaniem robót ciągnięto



Ryszard Skarżyński obok ładowarki PNB-3K.

15 m pod zrębem kubła się zatrzymał i nic się nie dzieje. Szarpnąłem za linkę, otworzyła się pokrywa tarczy i ktoś zagląda. Pytam go, kiedy pojedziemy, a ten do mnie mówi „cicho być ty ryży ch...”. Po wyjeździe dyr. Zastawnik mówi do niego: „To drugie to rozumiem, ale dlaczego ryży, przecież jestem blondynem?”. Wprawił tym w osłupienie delegatów, którzy oczekiwali chyba ukarania górnika. Później wyjaśniło się, że przerwę spowodowała awaria prowizorycznej maszyny wyciągowej produkcji rosyjskiej, jeszcze z drewnianymi łożyskami.

■ Straszna orka

Wzrost liczby uruchamianych obiektów: kompleksy szybowe, ZWR-y, wymusił utworzenie przy SOWI oddzielnego Działu Rozruchu. Ryszard Skarżyński został głównym inżynierem rozruchu. W dziale zatrudnionych było 18 osób kadry inżyniersko-technicznej. Rozruchy organizowano przy pomocy brygad składających się z ludzi przyszłego użytkownika i wykonawcy (w zależności od obiektu zatrudniano od 25 do 500 osób).

kable na dużych długościach, co powodowało znaczne spadki napięć i ustawiczne przestoje. Do odbioru urobku transportowanego na kopalnię „Polkowice” stosowano początkowo przenośniki pancerne „Śląsk”, które ciągle się psuły oraz jeszcze gorsze przenośniki taśmowe PTG. Później pojawiły się „Gwarki” 1000 mm, jeszcze bez napinania, ale z nimi też mieliśmy kłopoty. Na dodatek, w ramach oszczędności, sprowadzono do nich, produkowane w Bydgoszczy, czerwone taśmy poliwinylowe, które błyskawicznie się rozciągały. Musieliśmy ciągle je skracać, co po-

lepiej funkcjonować, z czasem osiągnięto zakładane 110 m postępu. W marcu 1973 r. cel został osiągnięty i po wyjątkowo ciężkiej batalii nastąpiło zabicie upadowej U-1 z szybem R-1. Warto dodać, że te upadowe centralne przyspieszyły o około 2,5 roku budowę kopalni. Gdy pan Ryszard wracał na „Rudną”, proporcje między górnikami a energomechanikami SOWI odwróciły się na 150 do 450. Zadanie wykonał, wrócił na ZG Rudna, jako nadztygar, a później gł. mechanik ds. maszyn ciężkich.

W okresie pracy w SOWI załozde Ryszarda



Karczma Piwna ZG Rudna. Od prawej: Adolf Chyra, Jan Krajewski, inż. Mordylak, 1 z lewej R. Skarżyński.

wodowało postój za postojem. W końcu nie wytrzymałem i napisałem do dyrektora Zbigniewa Ziomka, że absolutnie tej taśmy nie przyjmuję i proszę ani kawałka więcej nie opuszczać na dół. Drugi raz podpadłem w dyrekcji, gdy negatywnie zaopiniowałem trasę linową, gdyż moim zdaniem nie spełniała swojej funkcji. Taśma bezustannie „pływała”, potrafiła nawet wywinąć się na drugą stronę i urobek rozsypywał się. Trasa została przebudowana na sztywną i lina została wyeliminowana. Niestety wśród jej współautorów na patentcie był przedstawiciel dyrekcji.

Pan Skarżyński stopniowo zmieniał organizację pracy, przejmując z pionu górniczego operatorów maszyn i inne służby. Wszystko zaczęło

Skarżyńskiego przyszło wdrażać wiele nowych maszyn i urządzeń, a to wiązało się z ciągłym ich dostosowywaniem do organizacji pracy i warunków złoża miedziowego. Czasami trzeba było nieźle kombinować, np. przy pierwszym samodzielnym wozie transportowym oraz wozie odstawczym z silnikiem Leyland, zakupionym w miejsce silnika Deutza, znacznie droższego w eksploatacji. Nowy silnik był wyższy od poprzedniego, napęd miał z przodu i w efekcie operator nie widział z kabiny, jak ma jechać. Na szczęście jeden z operatorów miał ponad dwa metry wzrostu i właśnie jego pan Ryszard

wytypował do testowania. Dzięki temu próby wypadły pomyślnie, a później zmieniono konstrukcję ramy i rozwiązano problemy z widocznością.

■ Falszywy meldunek

– Pewnej soboty kąpię się w jeziorze Sławskim – ciągnie opowieść. – Widzę młodą kobietę, która biegnie brzegiem i głośno wywołuje moje nazwisko. Zgłaszam się, mówi, że dzwonili z kopalni i prosili, by przekazać mi hasło: „pożar”. Natychmiast wsiałem do samochodu i jadę na kopalnię. W rejonie Rudnej Zachodniej widzę tłum górników, czarnych jak noc, jakby to „węglarze” byli. Później dowiedziałem się, że po wybuchu

pożaru dokonano rewersji wentylacji, następnie blisko 150 górników skierowano i wyprowadzono szybem Rudna Zachodnia. Przyjeżdżam na Szyb Główny, kierownik akcji dyr. Jan Sadecki przydziela mi dwóch ludzi, poleca zjechać na dół i sprawdzić, czy ktoś pozostał w rejonie zagrożenia. Mamy ze sobą maski, pochłaniacze, wszystkie co potrzebne w takiej sytuacji. Idziemy w dół,

sytuacji, nie mogę opanować śmiechu. „Nikogo nie ma, idziemy do szybu” – odpowiadam.

Na powierzchni przekazałem go ekipie ratowników. Okazało się, że był pod wpływem alkoholu. Po kilka dniach przyjechał do mnie jakiś człowiek z PBK i prosił, abym napisał oświadczenie, że ten sztygar był trzeźwy. Odmówiłem zdecydowanie, nie tylko dlatego, że nie tolerowałem alkoholu



Przy napędzie przenośnika taśmowego typu Legmet z trasą linową. Od lewej: insp. ochrony środowiska Świsławski, n/n, R. Skarżyński, dyr. Stanisław Wolczyk, sztygar Wywiał.

początkowo w gęstym dymie, ale od pewnego poziomu powietrze jest czyste, gdyż dymy nie zeszły niżej. Docieramy na miejsce, widzę - stoją maszyny, przenośniki taśmowe, zupełna cisza. Zastanawiam się głośno, gdzie jest komora. Jeden z ratowników był z PBK (akurat znaleźliśmy się w ich chodniku), poprowadził nas. Wchodzimy do środka, przy stole górnik; głowa na blacie, obok biały hełm, co oznacza, że to ktoś z dozoru. Zaniepokojony sprawdzam puls, potrząsam za ramię i wołam „panie sztygarze!”. Ten zrywa się na równe nogi, wkłada hełm i mówi: „Melduję, że wszyscy na stanowiskach pracy!”. Mimo grozy

w pracy, ale też nie chciałem przeczyć faktom. Przecież mógł sam zginąć lub poprowadzić ludzi na śmierć.

■ Janek, to taki pistolet

W 1974 r. na „Rudnej” uruchomiono pierwszą linię odstawy urobku z oddziałów eksploatacyjnych do szybów R-1 i R-2. Zastosowano przenośniki „Legmet” o szerokości taśmy 1200 mm, adaptowane przez Zakłady Mechaniczne w Legnicy z kopalń odkrywkowych, ponieważ brakowało takich rozwiązań dla potrzeb górnictwa podziemnego. W trakcie ich eksploatacji włożono bardzo

dużo pracy w poprawę konstrukcji. Między innymi wymieniono podczas „ruchu” trasę linową, na trasę sztywną.

Ze względów osobistych Ryszard Skarżyński zrezygnował z funkcji gł. mechanika i przyjął propozycję pracy od Jana Foligowskiego, który na Szybie Zachodnim organizował tzw. zintegrowane oddziały górniczo-mechaniczne.

- Pracowaliśmy razem blisko dwa lata i nie było problemów. Oczywiście zdarzały się sprzeczki, bo Janek to taki „pistolet”, a ja też nie dawałem dmuchać sobie w kaszę, ale ogólnie zgadzaliśmy się. Potem Foligowski awansował na zawiadowcę kopalni, na jego miejsce przyszedł Andrzej Januchta. Gdy w 1978 r. Jasiu Foligowski odszedł na ZG Polkowice, Januchta przejął po nim funkcję zawiadowcy, a mnie powołano na stanowisko gł. mechanika ds. transportu taśmowego.

W projekcie budowy kopalni zdecydowano, że transport urobku będzie odbywał się przenośnikami taśmowymi. Po raz pierwszy w polskim górnictwie postawiono na takie właśnie rozwiązanie. Z biegiem lat, w szybkim tempie, zwiększała się ich ilość. Na początku 1978 roku w „Rudnej” było 15 km przenośników. Obecnie system transportowy składa się z 64 przenośników o łącznej długości około 48 km - rocznie przenoszą ponad 14,5 mln ton rudy. Istotnymi elementami systemu transportu są zbiorniki retencyjne, pozwalające na wyrównanie ilości transportowanego urobku oraz umożliwiając uelastycznienie systemu. Łączna ich retencja wynosi ponad 53 tys. ton.

W początkowych latach eksploatacja przenośników nastroczała wielu problemów ze względu na częste awarie. Brano nawet pod uwagę wykonanie alternatywnego transportu szynowego. Po rozważeniu wszystkich „za i przeciw”, podjęto decyzję o utworzeniu odrębnego działu eksploatacji przenośników taśmowych. Dodatkowo miał utrzymywać ogromną sieć rurociągów sprężone-



Od lewej inż. Leśnikowski, jeden z pierwszych sztygarów oddziałowych Oddziału Transportu, obok Ryszard Skarżyński.

go powietrza, odwadniania oraz wody technologicznej wraz z siecią poż. Kierowanie Działem Transportu Taśmowego i Rurociągów powierzono Ryszardowi Skarżyńskiemu.

■ Koncepcja „kwadratu”

Rozbudowa systemu transportowego zmierzala w kierunku zapewnienia jego elastyczności. W tym celu utworzono linię odstawy, która pozwoliła na alternatywny transport urobku z rejonu Rudnej Zachodniej na Rudną Główną, a także utworzenie nowej linii T-229 z zabudowanym specjalnej konstrukcji poziomym zbiornikiem retencyjnym o pojemności 2500 ton. Przyjęto koncepcję oparcia transportu rudy o „kwadrat” odstawy. Jego boki stanowiły magistralne linie odstawy, do których „dołączano” przenośniki oddziałowe. Dużym osiągnięciem konstrukcyjnym i organizacyjnym było przystosowanie istniejących przenośników i zabudowa nowych na poziomie 950. Wykonano to bez konieczności wprowadzenia ograniczeń w odstawie urobku. Zapewniono kierowanie urobku do nowych zbiorników szybu R-II. Bardzo oryginalnym rozwiązaniem było zastosowanie przenośnika wahadłowego, którego pomysłodawcą był Aleksander Truchan.



Rok 1976. Na dole ZG Rudna. Od prawej: Edward Rudzki, gl. inż. energomechaniczny, Ryszard Skarżyński i Tadeusz Rymar, kier. oddziału (siedzą na ramie wozu odstawczego).

– Olek był bardzo dobrym konstruktorem, jednak nie umiał pracować z ludźmi. Dwukrotnie był sztygarem, potem sztygarem zmianowym i zawsze kończyło się to na awanturach z górnikami. W końcu wyciągnąłem go na powierzchnię i posadziłem w biurze konstrukcyjnym, gdzie sprawdził się znakomicie. Powiedziałem mu o konieczności zapewnienia alternatywnego transportu urobku, a on wszystko doskonale zaprojektował. Gdy opracował swój przenośnik, zleciłem sprawdzenie konstrukcji w ZBiPM „Cuprum”, aby uzyskać atest Urzędu Górniczego. „Cuprum” przekazało obliczenia Politechnice Śląskiej. Z uczelni przyjechała specjalna grupa, bo tam nie wierzyli, że ktoś ręcznie wyliczył tak precyzyjnie wszystkie rozwiązania. W każdym węźle siły znosiły się nawzajem. Konstruktor zamontował przenośnik na obrotnicy, co umożliwiałoby wahadłowe kierowanie strumienia urob-

ku do różnych zbiorników szybowych. To było naprawdę coś rewolucyjnego – ocenia Ryszard Skarżyński.

■ Unilinki i kasperlinki

Często usprawnienia i nowe rozwiązania pracownicy wymyślali sami. W ten sposób poprawiali sobie i kolegom warunki pracy. Stąd wzięły się np. „kasperlinki”. Na początku taśmy łączono zszywkami, tzw. nilosami, które nie zdawały egzaminu. Były za cienkie. Połączenie taśm było nietrwałe, a zaprasowanie takiej zszywki stwarzało problemy. Następnie wprowadzono połączenie za pomocą „unilinek”, które były bardziej trwałe, ale wymagały sprowadzania części z importu.

Leon Kasperek zaproponował zastosowanie w konstrukcji unilinki śrub zamiast nitów. Od nazwiska pomysłodawcy nazwano je „kasperlinkami”. Wyeliminowano tym samym import z An-

Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi
w Lubinie

**"MILIONER-RACJONALIZATOR
KGHM"**

Ob... Ryszard SKARŻYŃSKI
Zakład... ZG "Rudna"

**LEGITYMACJA
NR. 116/B/83**

Brązowa odznaka

"Milioner-Racjonalizator KGHM"

4.12.83 r.
(data) mgr inż. M. Skarżyński (Dyrektor)

Srebrna odznaka

"Milioner-Racjonalizator KGHM"

.....
(data) (Dyrektor)

Złota odznaka

"Milioner-Racjonalizator KGHM"

.....
(data) (Dyrektor)

Za wdrożenia rozwiązań racjonalizatorskich Ryszard Skarżyński został odznaczony brązową odznaką „Milioner-Racjonalizator KGHM”.

glii. Początkowo zakręcano je ręcznymi korbkami, potem wykorzystywano do tego elektryczne wiertarki. Później zmodyfikowano wiertarkę, wprowadzając głowicę dwuwrzecionową, pozwalającą na umieszczenie dwóch wiertel (mogę się nawet pochwalić, że współudziałem w jej konstrukcji). Dzięki temu skrócony został czas wykonywania złącza, a także uzyskano wyższą jego jakość. Rozwiązanie to funkcjonowało przez kilkanaście lat.

■ Roxon zastąpił ręczny młot

– Ktoregoś dnia – przypomina sobie pan Ryszard – miałem pretensje do kratowego, który rozbijał kęsy młotem. Odburknął mi: „Sam pan spróbuj i dopiero potem rób uwagi!”. Byłem młody i sprawny, więc podjąłem wyzwanie. Uderzyłem może 5-6 razy i uszło ze mnie życie, a kęsa nawet nie drgnął. On wiedział jak uderzać, aby go rozłupać, niemniej jednak była to bardzo ciężka praca. Pomyślałem, że na dłuższą metę tak się nie da pracować. Wymyśliliśmy z Leszkiem Nowotnym, głównym mechanikiem maszyn dołowych, że sprowadzimy młot hydrauliczny produkowany przez zakłady Kruppa. Widzieliśmy go na targach. Ogłoszono przetarg, który wygrała fińska firma Roxon. Kupiliśmy jeden młot, zamocowaliśmy na wysięgniku kotwiarci na kołach, zakładając, że bę-

dzie przejeżdżał z kraty na kratę. Popracował trzy dni na oddziale G-2, u późniejszego zawiadowcy kopalni Eugeniusza Kranca. Gdy poinformowałem go, że jutro zabieramy młot na G-1, podniósł krzyk i zagroził zwolnieniem się z pracy. Zapadła decyzja o zakupie kolejnych 5 młotów. Montowaliśmy je po kolei, ale już nie na kołach tylko na konstrukcji stalowej zaprojektowanej wspólnie przez

ZM Legmet i ZBPM Cuprum. Niestety konstrukcja pękała od wibracji i nie pomagały żadne przeróbki ani wzmocnienia. Na szczęście pracował u mnie nadstyrgar Edmund Węcki, który wymyślił konstrukcję „agrafkową” na bazie sprężyny od wozu kopalnianego. Z jednej strony zrobił zawias, z drugiej zamontował młot i skończyły się kłopoty. Konstrukcja ta do dzisiaj jest stosowana, ale o jej twórcy dziś mało kto pamięta. On trafił do nas z Wałbrzycha i przez 20 lat pracy nie miał ani jednego dnia zwolnienia lekarskiego. Fińskiej firmy też już dzisiaj nie ma, ale młot dalej nazywa się Roxon.

■ Zrezygnowali z „powietrza”

Aż do emerytury Ryszard Skarżyński pracował jako główny mechanik transportu taśmowego. Nieco wcześniej udało się mu zlikwidować rurociągi sprężonego powietrza. Koszt ich eksploatacji był bardzo wysoki, bo drogie były i turbosprężarki, i ich praca, z powodu pochłaniania ogromnych ilości energii elektrycznej. Maszyny na powietrze też były jej „żercami”.

– Przy każdej okazji powtarzałem – podkreśla – że sprawność tego systemu jest taka, jakbyśmy chcieli wykorzystać ciepło, które wyzwała się przy uderzeniu młotkiem o kowadło. W końcu

przeszliśmy wyłącznie na urządzenia elektryczne i elektrohydrauliczne. Zamiana wiertarek pneu-

kładki ze zużytych lin szybowych, które odzyskiwał i woził w tamte strony. Pan Ryszard był już



Rok 1984. Karczma Piwna ZG Rudna z motywem przewodnim „Pod kapuchą”. Od prawej: Ryszard Jelonek - wojewoda legnicki, Stanisław Cieślak - I sekretarz KW PZPR w Legnicy, Ryszard Skarżyński, Jerzy Jarmużek - dyr. kopalni, Kazimierz Gałajda.

matycznych na elektryczne na „Rudnej” odbyła się bezboleśnie, ale na „Polkowicach” nie chcieli zastosować elektrycznych, twierdząc, że absolutnie się do tego nie nadają. Napuścili nawet na mnie Urząd Górniczy, bo ich zdaniem wiertarki elektryczne nie miały atestu. Przedstawiciel UG wyjaśnił im, że wiertarki są narzędziem, a nie urządzeniem i nie trzeba ich dopuszczać. Wprowadziliśmy także jako pierwsi udarowo-obrotowe kotwiarki i wiertnice elektrohydrauliczne, bo na Rudnej Zachodniej dolomity były tak twarde, że obrotówkami bardzo trudno wierciło się otwory – kończy wątek Ryszard Skarżyński.

■ Bywał też prezesem

W ZG Polkowice Karczmy Piwne prowadził inż. Jerzy Kolański i zdaniem pana Skarżyńskiego robił to znakomicie. Korzystał z jego wzorców, gdy już sam zaczął prowadzić karczmy. Na „Rudnej” z kolei karczmom zakładowym prezesował górnik z ZBK, znany m.in. z tego, że na Podhalu budował

prezesem na kilku karczmach oddziałowych na kopalni, gdy dyrektor Zenon Słowiński poprosił go, by wspólnie poprowadzili karczmę zakładową. W kolejnych 7 latach robił to już samodzielnie. Prezesował też wielu karczmom związkowym, młodzieżowym oraz oddziałowym i jeden raz w zarządzie kombinatu.

– Jako szczególnie zapamiętałem karczmę dla uczelni i centralnych urzędów, która nietypowo odbyła się w lipcu – wspomina. – Ktoś dał mi stary słownik górniczy. Wezwałem przed oblicze prezesa stare strzechy: Wojciecha Salskiego i Alfreda Wołczyńskiego. Pierwszego zapytałem, co to jest chodnik linowy (chodnik transportowy, w którym odbywa się przewóz liną – red.). Inż. Salski, przeuroczy zresztą człowiek, odpowiedział z dużym poczuciem humoru, że to chodnik drażony wzdłuż

uprzednio rozciągniętej liny. Wołczyńskiego spytałem natomiast, czy zna definicję portek (rozgałęzienie rury zsympowej). Odpowiedział, że tak, wstydzi się jednak powiedzieć, ale może pokazać. Potem ze stoickim spokojem opuścił spodnie i pokazał portki. Następnie zapytałem go, co pamięta ze współpracy z dyr. Tadeuszem Zastawnikiem. „Dyrektor nie znośił alkoholu. Gdy np. wchodził do klubu NOT na lubińskim rynku, siedzący tam wpadali w panikę, chowali się pod stołami lub uciekali z lokalu” – tak Wołczyński zaczął swoją opowieść. – Tajemniczą poliszynela było także to, że szatniarz donosił dyr. Zastawnikowi, kto był i ile wypił. Pewnego dnia dyrektor oznajmił mi: „Kolego, (ulubiony zwrot dyrektora – red.) przejdziemy się po osiedlu”. Idziemy, dyr. Zastawnik mówi do mnie: „No, panie kolego, gratuluję, gratuluję!”. „Czego” – zapytałem?”. „No, przestał pan pić”. „Nie, wcale przestałem, tylko przepukilem szatniarza” – odpowiedziałem. Opowieść o tym jeszcze długo krążyła wśród załogi KGHM. ■

Po jednym z treningów mistrz, czyli pan Kazimierz Paździor, zaprosił mnie z kolegą do swojego pokoju hotelowego, mówiąc: „Chodźcie chłopaki, napijemy się”. Napić się z legendą boksu, to dopiero miałbym co opowiadać. Wchodzimy, siadamy przy ławie. Gospodarz stawia przed nami szklaneczki. Trochę się przeraziłem, że aż na tak ostro się zanoszą. Podchodzi do lodówki, a ja myślę sobie - będzie schłodzona, a on wyciąga litrową butelkę mleka i rozlewa do szklanek...

Roman Gaworski, sztygar oddziałowy, kierownik Oddziału Wtórnej Eksploatacji Zbiornika „Gilów”, pełnomocnik dyr. ds. restrukturyzacji, główny mechanik O/ZWR, Szef Kompleksu Utrzymywania Ruchu ZWR. Pracował w latach 1968-2009



Wszyscy wiedzieli, co mają robić

Praca na dole kopalni nigdy mnie nie pociągała, z powodu traumy wyniesionej z dzieciństwa. Ojciec zginął, gdy miałem sześć lat. Był rębaczem szybowym w Kopalni Węgla Kamiennego „Thorez”. Do jego obowiązków należało sprawdzanie klatki przed zjazdem i wyjazdem górników i okresowe kontrole szybu. W tym dniu robili z kolegą rewizję szybu. Zauważył jakąś poluzowaną śrubę i wychylił się z klatki, żeby ją dokręcić. Maszyniście, który przysnął, wydawało się, że dostał sygnał do jazdy. Rruszył... Zaledwie sześćdziesiąt centymetrów

w górę. Ojciec zginął na miejscu. Wtedy zrodziło się w mojej głowie przekonanie: nigdy nie pójdę do pracy na dół.

■ Przyjaźni ludzie

Kiedy w maju 1968 roku ukończyłem Technikum Mechaniczne w Wałbrzychu, po krótkich wakacjach postanowiłem, jak wielu młodych, wybrać się do Lubina na Miedź, by rozeznaczyć możliwości zatrudnienia i szanse na otrzymanie mieszkania. Przyjechałem z trzema kolegami. Po szybkim rozpoznaniu sytuacji wszyscy zdecydowaliśmy się

przyjąć zaproponowaną nam pracę w Kombinacie Górniczo-Hutniczym Miedzi w budowie.

Był 15 sierpnia 1968 rok. Przyjmował mnie pierwszy główny inżynier ZWR Czesław Masłowski, niezwykle przyjazny człowiek, który obok wiedzy i doświadczenia umiał, jak nikt inny, docierać do każdego łagodnym słowem. W pionie mechanicznym moim szefem był doskonały fachowiec, zastępca głównego inżyniera ds. energomechanicznych Jan Ziółek, a kierownikiem późniejszy kolega - Leszek Sroka.

■ Rzucano z miejsca na miejsce

Skierowano mnie na Rejon Lubina do Zakładu Przeróbki Mechanicznej (późniejszego Zakładu Wzbogacania Rud). W tym czasie pierwszy i drugi

Dostałem długopis i zeszyt do ręki, i zostałem normowszczykiem. Od godziny szóstej do czternastej opisywałem wszystkie czynności poszczególnych pracowników oddziału elektrycznego. Ponoć dobrze to zrobiłem, bo ludzie po miesiącu byli bardzo zadowoleni z otrzymanych pensji.

Później przeniesiono mnie na Warsztaty Główne, do „rozdzielni robót”, gdzie przyjmowałem zlecenia na wykonanie prac z innych oddziałów kopalni oraz Zakładu Przeróbki Mechanicznej. Po kilku miesiącach trafiłem na Oddział Mechaniczny ZPM, a konkretnie rozpocząłem pracę przy desce kreślarskiej w Biurze Konstrucyjnym tejże przeróbki. Praca ta bardzo mi odpowiadała, gdyż z czytaniem rysunku technicznego i kreśleniem nie miałem żadnego problemu. Po

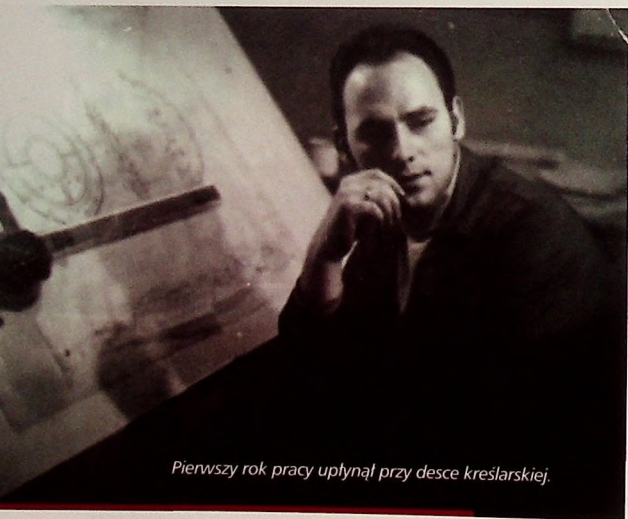
pewnym czasie zdjęto mnie jednak z tej deski i przeniesiono do działu planowania i rozliczania remontów maszyn i urządzeń przeróbczych.

W międzyczasie zrobiłem zatwierdzenia na osobę dozoru średniego w OUG we Wrocławiu, a po następnych kilku latach na osobę wyższego dozoru ruchu specjalności mechanicznej.

■ Jak na zesłaniu

Pamiętam, że wszyscy, którzy przyjmowali się do pracy, a nie byli miejscowi, otrzymywali miejsca w hotelach robotniczych. Niestety, dla mnie i moich kolegów zabrakło pokoju, więc zaproponowano nam kwatery prywatną w Ścinawie, przy ul. Przyjaciół Żołnierza 13. Niestety czuliśmy się tam jak na zesłaniu. Bo co robić w Ścinawie o godzinie szesnastej? W Wałbrzychu około godziny osiemnastej wyprasowany i ogolony wypuszczałem się z kolegami na obchód miasta.

Kwatera w Ścinawie absolutnie nam nie odpowiadała i po kilku miesiącach poszukiwań znaleźliśmy pokój w Lubinie, w bloku naprzeciw PDT przy ulicy Kopernika. Zakład płacił tyle samo co w Ścinawie, a my pokrywaliśmy różnicę, bo wynajmujący chcieli trochę więcej. Ta zmiana była naszym pierwszym sukcesem. Wreszcie życie po fajrancie nabrało smaku i wyrazu, i wszędzie było



Pierwszy rok pracy upłynął przy desce kreślarskiej.

ciąg przeróbki mechanicznej był już uruchomiony, a trzeci w trakcie budowy (pełną zdolność produkcyjną zakład osiągnął w 1972 roku). Pamiętam emocje po pierwszym dniu w ZPM, byłem pod wrażeniem funkcjonującej w tym czasie młynowni, flotacji, młynów mielących, zgęszczaczy i suszarni, przede wszystkim z powodu ich olbrzymich gabarytów.

Oczywiście na stażu należało wykonywać pracę bez dyskusji, a jeśli była taka potrzeba, to chłopaka ze średnim wykształceniem powinno się wszechstronnie „sprawdzić”. Początkowo rzucono mnie do Warsztatów Mechanicznych ZG Lubin.

blisko. Naprzeciw DK Muza mieliśmy przystanek dla autobusów pracowniczych. Obiady jedliśmy w barze przy ul. Ścinawskiej. Nigdy nie zapomnę smaku wyśmienitej fasolki po bretońsku. Zwyczajem stało się odwiedzanie znajdującej się obok baru knajpeczki, gdzie przy piwie omawialiśmy różne sprawy. Było tam zawsze strasznie gorąco i tłoczno. Utało się, że ten z nas, który stawał pierwszy w kolejce po obiad, zjadał szybciej i leciał do piwiarni, by zająć miejsca.

■ Z Raudo na Ścieżce Zdrowia

Od dziecka moim żywiołem był sport - różnoraki, bo ja po prostu uwielbiałem ruch. Mieszkając w Ścinawie, nie było mowy o jakiegokolwiek formie aktywności. Dopiero w Lubinie znalazłem wielu kolegów, z którymi po pracy spędzałem wiele godzin na sali gimnastycznej II Liceum Ogólnokształcącego. Graliśmy w siatkówkę, piłką ręczną i nożną. Również Zakład Przeróbki Mechanicznej miał już swoją drużynę piłkarską, toteż braliśmy udział w rozgrywkach zakładowych i międz zakładowych. Zwykle grałem na pozycji bramkarza. Moimi ulubionymi dyscyplinami były także piłka ręczna i wszelkie biegi: na dystansie 100, 200 i 1500 m. Wyniki miałem niezłe, pamiętam, że osiągałem blisko 11 sekund na 100 metrów.

Mam szczególną satysfakcję z budowy pierwszej w Lubinie ścieżki zdrowia, w lesie małomickim, którą zaprojektowałem z kolegą Mirosławem Raudo. Przez wiele lat cieszyła się dużym powodzeniem wśród lubinian. Tablice z opisami kolejnych ćwiczeń wykonane zostały z najwyższej jakości stali kwasoodpornej, którą zdobyliśmy na przeróbce. Oczywiście całe to przedsięwzięcie zostało podciągnięte pod czyn społeczny, a może nawet i partyjny. Ale my naprawdę mieliśmy prawdziwy zapał do tego pomysłu, zwłaszcza że kolega Mirek był kiedyś zawodnikiem - plotkarzem. Po przyjęciu do „Lubina” obsługiwał narzędziownię, a później został jej kierownikiem.

■ Najwspanialsza szklaneczka

Bardzo ciekawym i pamiętnym epizodem w moim życiu było poznanie Kazimierza Paździora, mistrza olimpijskiego z Rzymu. Przyjechał do Lubina, by wśród tej ogromnej rzeszy mężczyzn wybrać najlepszych i zbudować drużynę bokserką. Czasami bywałem na treningach i miałem okazję spotkać się z innymi mistrzami olimpijski-

mi: Józefem Grudniem i Tadeuszem Walaskiem, którzy przyjeżdżali do Paździora. Uściskać rękę naraz trzem mistrzom olimpijskim i porozmawiać z nimi, wydawało się wręcz czymś niesamowitym. To byli ludzie, którzy nie faulowali, ale naprawdę uprawiali szermierkę na pięści. Pamiętam, jak po jednym z treningów mistrz, czyli pan Kazimierz Paździor, zaprosił mnie z kolegą do swojego pokoju hotelowego mówiąc: „Chodźcie chłopaki, napijemy się czegoś”. Napić się z legendą boksu, to dopiero miałbym co opowiadać. Wchodzimy, siadamy przy ławie. Gospodarz stawia przed nami szklaneczki. Trochę się przeraziłem, że aż na tak ostro się zanosi. Podchodzi do lodówki, a ja myśłę sobie, będzie schłodzona. A on wyciąga litrową butelkę mleka i rozlewa do szklanek. To była najwspanialsza szklaneczka płynu wychylona z mistrzem olimpijskim, który nie pijał alkoholu.

■ Patrzyliśmy, jak na cudowny obraz

Jeszcze będąc w szkole, podczas jednego z wąbrzyskich spacerów wieczorową porą, a dokładnie w listopadzie 1964 roku, stanęła na mojej drodze Zosia, ze szkoły handlowej. Była to miłość od pierwszego spojrzenia. Potem Zosia chodziła do technikum ekonomicznego, a po jego ukończeniu, w 1969 roku, została moją żoną. Zaraz złożyłem podanie do Spółdzielni Mieszkaniowej Zagłębia Miedziowego i po kilku miesiącach, w 1970 roku, odebraliśmy klucze do swojego mieszkania w Lubinie przy ulicy Mickiewicza. Było to M-3 (35 m kwadratowych) z ciemną kuchnią, ale jacy byliśmy zachwyceni! Zamówiliśmy do pokoju stołowego zastelony z Domu Wysyłkowego w Łodzi. Były bardzo modne, ręcznie malowane. Od razu zawiesiliśmy je na okna. Doskonale pamiętam, że akurat w tym czasie jechała straż pożarna na sygnale, a my, patrzyliśmy na nasze pierwsze zastelony, jak na cudowny obraz. Kiedyś człowiek potrafił się cieszyć takimi rzeczami. W 1971 roku kupiliśmy sobie pierwszy telewizor. Na modne w tym czasie nożki, już zabrakło nam pieniędzy. Telewizor z konieczności postawiliśmy na segmencie. Oglądając programy, trzeba było głowę zadzierać bardzo wysoko, przez co szybko odczuwało się warku zmęczenie, ale to był nasz telewizor. Już nie musieliśmy chodzić na filmy do Edwarda Gmyza, naszego kolegi i przyjaciela.

Zosia przez dłuższy czas nie mogła znaleźć pracy. Pracodawcy obawiali się, że z racji młodości, szybko pójdzie na urlop macierzyński. Wprawdzie



Narada produkcyjna. Pierwszy od lewej: Poliszak Franciszek (nadsztygar ds. mechanicznych). Od prawej Ciechanowicz Aleksander (sztygar zmianowy), Gaworski Roman (sztygar oddziałowy), Waldemar Arciszewski (z oddziału technicznego), obok Józef Kuźmiak (sztygar zmianowy oddziału mechanicznego) oraz Ryszard Łuszczewski (sztygar zmianowy).

nadarzyła się możliwość zatrudnienia w ZG Lubin, ale ja nie chciałem, abyśmy pracowali w jednym zakładzie, co patrząc z perspektywy czasu, było zupełnie nieuzasadnione. W końcu dostała pracę w w dziale księgowości Lubińskich Zakładach Gastronomicznych. Po kilku latach, w maju 1978 roku urodziła się nam córka Alicja. Po urlopie wychowawczym wróciła do LZG, które wkrótce zmieniły nazwę na PSS „Społem”. W międzyczasie kontynuowałem studia wieczorowe na Wydziale Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej.

■ **Rośnie tam bujny las, ale...**

Rok 1977 był również interesujący zawodowo. Zarząd KGHM podjął próbę wykorzystania odpadów po flotacyjnych, utworzono Oddział Wtórnej Eksploatacji Zbiornika Gilów. Jego zadaniem było odzyskiwanie miedzi ze zdeponowanych odpa-

dów, ale przy dostępnych nam pompach i maszynach, czyli tak, by nie uruchamiać zadania inwestycyjnego. Mnie, jako sztygarowi oddziałowemu, powierzono poprowadzenie tego Oddziału. Wyglądało to tak: Odpady za pomocą koparki dostarczaliśmy do wyspu zabudowanego na koronie zbiornika. Stamtąd, używając wody, spłukiwano je do rurociągu, którym szły do rząpia przepompowni. Dalej nadawę transportowano rurociągami do Zakładu Wzbogacania Rudy - Rejon Polkowice, gdzie w wydzielonym do tego celu strumieniu maszyn flotacyjnych, próbowano odzyskiwać to, co w odpadzie poszło na staw osadowy.

Po roku eksploatacji okazało się jednak, że ze względu na zbyt duże i ciężkie drobinę pulpy, dochodzi do nadmiernego podsadzania (zamulania) rurociągu na wysokości tzw. górki biedrzychowickiej. W praktyce wyglądało to w ten sposób,

że najpierw 8 godzin w gilowskiej przepompowni pompowaliśmy nadawę, a później przez kolejne 8 godzin wstrzymywaliśmy pompowanie, a włączaliśmy wodę i płukaliśmy nią rurociągi. Niestety, zbyt częste przepłukiwanie rurociągów zakłócało prawidłowość i ciągłość procesu technologicznego. Zadanie wymagało nakładów inwestycyjnych, które w tamtym okresie były nieopłacalne i w końcu po roku podjęto decyzję o zamknięciu Oddziału Wtórnej Eksploatacji. Miejsce eksperymentu zostało zalesione, dzisiaj rośnie tam bujny las. Szkoda, bo to co zawracaliśmy ze stawu po przeróbce mechanicznej, było wartościową nadawą, zawierającą wiele cennych pierwiastków.

dopuszczać do nieprzewidzianych sytuacji. Czasem brak odpowiedniego sprzętu utrudniał wykonanie zadania. Na przykład, dopóki nie mieliśmy aparatów do mierzenia grubości powłok ścianek rur metalowych, to wciąż zaskakiwały nas awarie rurociągów. Nagle powstawała dziura w rurociągu, wtedy wycinało się kawał rury i w to miejsce wstawiało nowy jej fragment, co wymagało spawania i trochę czasu uciekało. Nie było jednak sytuacji, która by nas przerastała.

Pamiętam, na jednej z trzecich zmian (sobota, około czwartej nad ranem) urwała się jedna z najdłuższych taśm na przeróbce - w linii prostej 150 metrów długości. Nie wiem, czy dzisiaj ludzie



Piknik przeróbkarski. Linę przeciągają (od lewej): Jan Bugajski, Roman Gaworski, Hieronim Marciniak, Fuchs Eugeniusz, Jerzy Markiewicz, uczestnik nieznany i Jan Siłków.

■ Ładnie zaszyć taśmę

Wróciłem do poprzedniego miejsca pracy, na stanowisko sztygara oddziałowego Oddziału Mechanicznego, powstałego z połączenia dwóch oddziałów - remontowego i utrzymania ruchu. Ogółem miałem na głowie około 140 ludzi. Ale nie było źle. Nas mechaników od początku uczono, by nie

działaliby tak sprawnie, jak my w tamtym czasie. Nagle przesypy zostały zasypane. Rzuciłem hasło: Zerwało taśmę TG-16! I wszyscy wiedzieli, co mają robić. Zanim doleciałem schodami na górę, tam gdzie znajdowały się zbiorniki wodne i przesyp przenośnika (należało pokonać wysokość wieżowca), to ludzie mieli już zamontowaną ciągarkę

SZEF KOMPLEKSU UTRZYMANIA RUCHU

Inż. Gaworski Roman

Ostatni awans w karierze zawodowej.

i taśmę złapaną na dole. Obsługa z Oddziału rozdrabialni już przy pomocy łopat udrożniła przesyp i ciągnęła taśmę do góry. Tak więc kiedy przyszła pierwsza zmiana, to miała już tylko wykonać tzw. zamek, czyli skleić taśmę, a później ją ładnie zszyć. Takie niespodziewane sytuacje zdarzały się, gdy spadała na taśmę bardzo ostra bryła. W końcu i na to znaleźliśmy rozwiązanie, poprzez zastosowanie na podszybiu wibracyjnych przesiewaczy, które praktycznie wyeliminowały tego rodzaju zdarzenia.

Raz kiedyś należało szybko wymienić zawór na sprężonym powietrzu. Powiedziałem do ludzi: „Jeśli go zamkniecie, to my ten zawór szybciej wymienimy i nic się nie stanie”. Kolega wyciągnął zawór, ale niestety dodatkowo urwał się kawałek rurki i wszystko, co było w maszynach flotacyjnych, wskutek braku powietrza, zaczęło rosnąć i wylewać się górą. Sytuacja była dość poważna, ale oczywiście szybko i sprawnie wymieniliśmy kawałek urwanej rurki i w trybie awaryjnym wszystko wróciło do normy.

■ I trauma odeszła

Nie pamiętam roku, ale zdarzyło się tak, że musiałem zjechać na dół. Chodziło o to, żeby zobaczyć dość ciekawie skonstruowany, skośnie podnoszony wysyp rudy, który tam uruchomiono. Byliśmy nim zainteresowani, żeby móc zsypany rudę bezpośrednio w wymagane przez nas miejsce.

Dopiero gdy wszedłem do klatki, zdałem sobie sprawę, że właśnie jest 11 marca, rocznica śmierci mojego ojca, a ja zjeżdżam pierwszy raz

w życiu na dół kopalni. Uczucia były mieszane, ale nigdy nie byłem przesądny. Na podszybiu czekał na nas ładny japoński samochodzik, którym pokonywaliśmy dość wyboiste drogi, by dotrzeć na miejsce przesypu. Po jego obejrzeniu podobną drogą wróciliśmy na podszybie. Nagromadzone latami opory i lęki udało się skutecznie wyciszyć, choć nadal zdecydowanie wolałem przebywać na powierzchni.

■ Zbliżyliśmy się do najlepszych

Od lat 90. podejmowane były starania, aby Polską Miedź dostosować do wymogów gospodarki rynkowej. Jesienią 1997 roku naczelny dyrektor ZG Lubin, po rozmowie ze mną, powierzył mi dodatkowo obowiązki pełnomocnika dyrektora ds. restrukturyzacji. W ramach optymalizacji struktur organizacyjnych wydzielono z dniem 1 czerwca 1998 roku do zewnętrznego podmiotu gospodarczego część oddziałów energo-mechanicznych. Był to proces bardzo trudny, wymagający wielu rozmów z załogą, ale wydaje mi się, że z ludźmi umiałem rozmawiać. Miesiąc później KGHM podjął decyzję o wydzieleniu Zakładów Wzbogacania Rud ze struktur ZG Lubin, ZG Polkowice-Sieroszowice, ZG Rudna i połączeniu w jeden samodzielny oddział - Zakłady Wzbogacania Rud z siedzibą w Polkowicach. Restrukturyzacja miała znaczący wpływ na wprowadzenie nowych technologii, centralizację gospodarki remontowej i zastosowanie nowoczesnych rozwiązań technicznych. Przykłady szukania nowych rozwiązań sięgają lat osiemdziesiątych, choćby zastosowanie wykładzin gumowych do młynów. Ży-



2000 r. Finlandia. Wyjazd w sprawie części do maszyn flotacyjnych nowej generacji OK-30TC. Od prawej Roman Gaworski, trzeci od prawej Jerzy Dec, gł. inż.ds. inwestycyjnych. Pozostali panowie to przedstawiciele firmy Outokumpu.

wotność wyłożenia młynów wzrosła około trzykrotnie w porównaniu do wykładzin stalowych. Podobnie przedłużona została żywotność sieci przesyłowych, poprzez zastosowanie rurociągów gumowych i wiele innych różnych działań, które w konsekwencji zbliżyły KGHM do najlepszych firm na świecie.

Po następnych trzech latach objąłem stanowisko głównego mechanika O/ZWR, a od 2002 roku pełniłem funkcję Szefa Kompleksu Utrzymania Ruchu ZWR - Rejon Lubin.

40 lat spędzone w ZWR, to fascynujący etap mojego życia. Może to i górnolotnie brzmi, ale uczestniczyłem w zadaniu doniosłym, w którym człowiek, poprzez proces technologiczny, wydzie-
ra naturze to, co jest mu najbardziej potrzebne. Mam z tego satysfakcję.



Państwo Gaworscy lubią wracać we wspomnieniach do pierwszych lat stabilizacji w Lubinie. „Wtedy najdrobniejsza rzecz dawała tyle radości”.

Kiedy odchodziłem na emeryturę pod koniec marca 2009 roku, koledzy, znając moje upodobania, podarowali mi kartę wędkarską i bardzo ładny sprzęt, bo od zawsze lubiłem wędkować. Poza tym nadrabiamy z małżonką wszystkie zaległości odkładane kiedyś na później. Dbając o zdrowie, cieszymy się życiem. ■

Trafnie wytyczyłem kierunek, w którym należy poszukiwać uwieczonych w komorze ludzi, i wszyscy zostali uratowani, wśród nich także mój sąsiad z bloku - inż. Kowal. Może zabrzmi to nieskromnie, ale wykazałem wtedy, jak ważny jest w górnictwie mój zawód. Niestety, niektórzy nie doceniają tej pracy. Nieraz się słyszało lekceważące: „te, miernik”, albo „hej, ty - skoczybruzda!”.

Leon Mamczur,
uprawniony
miernik górnictwa;
uprawniony
geodeta/główny
inżynier mierniczy
w ZG Konrad
i główny inżynier ds.
miernictwa w Biurze
Zarządu KGHM
Polska Miedź S.A.
Z Miedzią związany
od 1968 do 1976
roku i w latach:
1982-2001. Od
marca 1976 roku do
października 1982 -
główny specjalista ds.
górnictwa-miernictwa
w PGP „Bazalt”
w Wilkowie



Chcieliśmy uchronić „Konrad” przed zatopieniem

- Urodziłem się w Szczepieszynie, 70 lat temu, gdy na zachodzie pobrzmiwały jeszcze odgłosy wojny. Ojciec, jako kolejarz, dostał nakaz pracy w Żaganiu, a ja jeszcze przez trzy lata pozostawałem pod opieką babci Anieli we wsi Brody Duże.

Pamiętam do dziś drewnianą, krytą słomą chatkę i dokuczliwą biedę jaka tam panowała. Ale pamiętam też przepiękną urodę Roztocza; surowość przyrody, kwitnące łąki przylegających do rzeki Świnki i Wieprza, zapach dojrzałego zboża i suszonego tytoniu, wciąż tam uprawianego.

■ Namówił mnie Mrozek

Do Szkoły Podstawowej w Żaganiu poszedłem w wieku pięciu lat! Umiałem już czytać i pisać, dzięki starszej koleżance, Jagodzie Gawlik z mieszkania nad nami, która usiłowała być moją nauczycielką. Maturę zdałem mając 17 lat. Z bratem Krzysztofem uwielbialiśmy lotnictwo; fascynowały nas przelatujące nad miastem radzieckie samoloty wojskowe - ich baza znajdowała się niedaleko, tuż za rzeką Bóbr. Chcieliśmy zostać pilotami, nawet pomyślnie przeszedłem badania lotnicze we Wrocławiu w GOBL-u. Jednak sąsiad z na-

przeciwnika, kolega Kazimierz Mrozek, ówczesny student AGH w Krakowie, wybił mi lotnictwo z głowy, wskazując na liczne niebezpieczeństwa związane z tym zawodem. Za jego przykładem zdecydowałem się na studia w AGH, ale wybrałem Wydział Geodezji Górniczej.

W tym czasie do Kazia Mrozka przyjechał w odwiedziny kolega z roku Jan Sadeczki. Przygotowywali się razem do jakichś trudnych, późniejszych zaliczeń na swoim Wydziale Górniczym. Pamiętam wspólną podróż do Krakowa na początku lipca 1962 roku, jechaliśmy bezpośrednim pociągiem z Żagania, ja na egzaminy wstępne, oni na zaliczenia.

W tym samym roku ówczesna władza zarządziła obowiązkowe praktyki górnicze, rozpocząłem je od czyszczenia torów na przekopie poziomiu 545 kopalni węgla Dymitrow w Bytomiu. Pomagał mi kolega z Wydziału Górniczego AGH Jerzy Markowski. Potem były prace na przodkach, na ścianie i w systemie komorowo-filarowym.

■ To tylko „awaria”

Jako stypendysta fundowany ZG Konrad w Lwinach, 6 maja 1968 roku zgłosiłem się na staż w tym zakładzie. Przedtem, promotor mojej pracy, prof. dr hab. inż. Józef Wędzony (wtedy docent), namawiał mnie na asystenturę w Katedrze Geodezji Wyższej i Obliczeń Geodezyjnych AGH, aż w końcu zniechęcony moją odmową, pożegnał mnie: „To idź sobie do tych Lwin pracować, ale pamiętaj, że tam diabeł mówi: dobranoc!”. Faktycznie, nie zapowiadało się ciekawie; jeszcze w Krakowie, z radia Wolna Europa, dowiedziałem się, że 13 grudnia 1967 r. w Lwinach doszło do tragedii - pękła zaporą stawu osadowego nr 1. Rozpoczynając pracę w tym zakładzie, oglądałem przerażające zniszczenia na trasie przepływu szlamu, a pierwsza moja robota geodezyjna polegała



Państwo Mamczurowie pobrali się w Krakowie.

na pomiarze wyrwy w zaporze i obliczeniu jej kubatury. Pomimo śmiertelnych skutków, nie wolno było wymawiać słowa „katastrofa”. Po prostu była to zwykła „awaria”. Jak opowiadają mieszkańcy Lwin, tuż za przejazdem kolejowym, którego już nie ma, zbudowali postument, na którym chciano postawić pomnik upamiętniający ofiary tej katastrofy. Postument stoi tam do dzisiaj ale bez pomnika - ówczesne władze się na to nie zgodziły. Od niedawna po drugiej stronie szosy stoi nowy pomnik z nazwiskami ofiar oraz datą upamiętniającą dzień katastrofy.

■ Półtora etatu z mieszkaniem

Mieszkałem w hotelu robotniczym w Bolesławcu i rozglądałem się za pracą dla żony - była technikiem analitykiem i pracowała w laboratorium klinicznym w Krakowie.

– Poznaliśmy się – włącza się pani Mirka – na zabawie w klubie studenckim. Leszek (od dziecka używa tego imienia, które nadała mu babcia, bo



Pan Jerzy wykonuje pomiary przy pomocy teodolitu elektronicznego, po prawej Grzegorz Mazur - uprawniony mierniczy górniczy.

nie podobał się jej - Leon) wybronił mnie przed trzema podpitymi natrętami, studentami AGH. Wysoki, strasznie chudy blondyn nie był w moim typie, ale zaimponował mi swoją postawą, tym że się za mną ujął. Przyjęcie ślubne zorganizowaliśmy w mieszkaniu pani Jasi Pieńkowskiej, u której wynajmowałam pokój. Wbrew temu, co się mówi o skąpstwie „krakusów”, udostępniła nam swoje mieszkanie, piękną zastawę i nawet, o co wcale nie prosiliśmy, pożyczyła osiem tysięcy złotych - oddawaliśmy je później w ratach.

- Na stażu miałem bardzo skromne zarobki; 1980 zł plus 25 proc. premii, nie było z czego odłożyć na ślub - ciągnie opowieść Leon Mamczur. - Uzbierałem jednak trochę gotówki prowadząc w Technikum Górniczym w Bolesławcu kursy przygotowawcze z matematyki dla kandydatów na studia. Moim najbardziej znanym uczniem był Henryk Maculewicz, później absolwent AGH i piłkarz kadry narodowej w czasach Górskiego i Gmocha. W Bolesławcu dla Mirki nie było pracy, za to w Złotorii od razu zaproponowano jej półtora etatu: cały w mieszkającej przychodni zdrowia i połówkę w Nowym Kościele, na dodatek dostała dwupokojowe mieszkanie przy ul. Górniczej, które zajmujemy do dzisiaj.

■ Nocą kreślił mapy

Na stażu z dołu prawie nie wyglądałem - starsi koledzy wykorzystywali mnie w pracach pod ziemią, argumentując, że to najlepsza metoda poznania kopalni jak i całego zakładu górniczego. Nie buntowałem się zbytnio, bo chciałem jak najszybciej zdobyć uprawnienia mierniczego górniczego.

W czerwcu 1968 roku, po decyzji władz o budowie stawu osadowego nr 3 w Wartowicach, zaproponowałem organizację geodezyjnych grup pomiarowych i pomiar 240 ha terenu pod jego budowę w czynnie społecznym, czyli po godzinach pracy. Stary zbiornik był nieczynny po „awarii”, a prowizoryczny staw osadowy nr 2 - niewystarczający.

Jako szef jednej z grup zostałem wyznaczony do prac mierniczych w starych kamieniołomach, przewidzianych do zatopienia przez staw. Był to 40-hektarowy teren, bardzo trudny: wertepy, las i krzaki - do tego straszny upał dawał się wszystkim we znaki. Po dziennym pomiarze, do późna trwały obliczenia i kartowanie, a nocą kreślił mapy sytuacyjno-wysokościowe w skali 1:1000. Już miesiąc później na gotowych mapach tworzyłem tzw. wykres pojemnościowy przyszłego stawu osadowego i do dziś pamiętam, że było to 19,6 mln m³.

■ Kim jest Laskowski?

Po roku pracy przyszedł czas na egzamin postawowy. Zebrała się komisja, bardzo liczna, z udziałem wszystkich tzw. czynników. Przewodniczący komisji Główny Inżynier Górniczy Kazimierz Ziaja wydawał się bardzo groźny i wymagający, lecz okazał się sprawiedliwy. Pytania (zawodowe, prawne i polityczne) wymagały niezłej gimnastyki umysłu, tym bardziej, że nie wszystkich się spodziewałem. Egzamin, z niewielką przerwą, trwał prawie całą dniówkę. W końcu pan inż. Ziaja stwierdził, że jednak zdałem, na więcej niż dobrze, pomimo pytań typu: co to jest paszport zakładu i kto jest Laskowski.

Etat dostałem. Jako inż. mierniczy, po przejściu inż. Bolesława Lewandowskiego do Urzędu Górniczego, objąłem nadzorem geodezyjnym cały Rejon II kopalni Konrad. Wykonywałem rozliczne pomiary: osnów geodezyjnych, odbiórkowe, związane z pracami przebitkowymi, w szybach i na placach szybowych, inwentaryzacyjne hałd rudy (także w likwidowanym ówczesnie Zakładzie Górniczym Nowy Kościół), sporządzałem nawet szkice powypadkowe.

Na powierzchni najciekawsze dla mnie były pomiary odształceń terenu na skutek prowadzonej eksploatacji górniczej. Miałem niepowtarzalną okazję sprawdzenia w praktyce mojej wyuczonej specjalności - teorii szkód górniczych w ujęciu matematycznym a w szczególności teorii mojego nauczyciela, profesora Tadeusza Kochmańskiego. Przypuszczam, że to za jego sprawą proponowano mi asystenturę, ponieważ na egzaminie u niego zablysnąłem znajomością tzw. rachunku krakowianowego wynalezionej przez astronoma T. Banachiewicza. Ze strachu przed egzaminem u profesora wkuwałem ten temat w Bibliotece Jagiellońskiej, w zakresie znacznie większym niż on wykładał.

■ Pomógł i mnie

Uprawnienia mierniczego górniczego uzyskałem w roku 1971. Nie zmieniło to jednak mojego statusu w kopalni. Dział Kadr z jakiegoś powodu uparczywie kwalifikował mnie z marnym wynagrodzeniem w taryfikatorze, jako technika mierniczego, choć miałem angaż inżyniera mierniczego. Dopiero ruchy kadrowe związane z likwidacją kopalni Lena w Wilkowie i przejściem jej pracowników do ZG Konrad poprawiły mój status. W tej grupie znalazł się również Jan Gancarczyk, dyrektor ekonomiczny z „Leny”, który objął równorzędne stanowisko na „Konradzie”. Góral z pochodzenia, nie dbał o własne sprawy, ale z całym zaangażowaniem pomagał ludziom - pomógł i mnie. Dzięki niemu skorygowano mi angaż,

wpisując właściwy tytuł uprawnionego mierniczego górniczego z właściwym wynagrodzeniem, co znacznie polepszyło moją sytuację finansową. Później mocno zaprzyjaźniliśmy się z Jaśkiem. Człowiek o niespożytej energii, był świetnym kompanem i towarzyszem wycieczek górskich. Jaśkowi zawdzięczam pierwszy sprzęt narciarski



Leon Mamczur w wagoniku podziemnej kolejki elektrycznej.

i naukę jazdy na nartach. Z biegiem lat przerzuciłem się na narciarstwo biegowe i zaliczyłem parę Biegów Piastów i Gwarków.

■ List do Komitetu Centralnego

Rok 1971 obfitował w pamiętne dla mnie wydarzenia. Byłem zbulwersowany niemożnością zmiany sposobu rozliczania wydobycia z ton na roboczodniówkę na kg miedzi z odsłoniętego metra kwadratowego powierzchni złoża (tzw. selektywna eksploatacja złoża związana z obniżeniem furty eksploatacyjnej) Rzecz w tym, że okruszczowana była tylko niewielka grubość warstwy pokładu, od 1,1 do 1,4 m. Natomiast wybierana miejscami grubość pokładu sięgała do trzech metrów wysokości. Wybierano zatem okruszczowaną jak i nieokruszczowaną część złoża. Za nic nie dało się załatwić tego problemu wśród decydentów na szczeblu lokalnym. Ale wpadłem na pomysł, żeby napisać w tej sprawie list do KC PZPR, pod pozo-

rem zabrania głosu w dyskusji przed VI Zjazdem tej partii, choć nie byłem jej członkiem. Skutek był do przewidzenia. Przyjechał na kontrolę dr Guziel (ponoć też geodeta) z Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego i na zebraniu zaczął wszystkich z góry „ustawiać”. Wcisnął nam, że nie możemy sobie pozwolić na selektywną eksploatację, bo krzywa wydajności w RWPG się załamała. Ale na tę wydajność - argumentowałem - składały się tony niepotrzebnie wyciąganego kamienia, w efekcie okruszczowanie utrzymywało się ledwie na poziomie ok. 0,65% - dopiero po wprowadzeniu selektywności wydobywania, chyba dwa lata później - w 1974 r., wzrosła

otrzymałem z samego KC, a później od zakładowych struktur partyjnych, pochwałę za obywatelską postawę. O ile dobrze pamiętam, tę pierwszą podpisał kierownik Wydziału Przemysłu Ciężkiego i Komunikacji St. Korpikiewicz. Ale rozliczanie wydobywania pozostało bez zmian aż do stycznia 1974 r.

■ Wniosek o bazaltową „różę”

Chcąc podreperować rodzinny budżet i jednocześnie w pełni wykorzystać swoje uprawnienia, przyjąłem w 1971 r., propozycję pracy w Bolesławieckich Zakładach Kamienia Budowlanego

w charakterze uprawnionego mierniczego górniczego. Zakłady te eksploatowały bazalt m.in. w Złotorii. Wraz z ówczesnym mierniczym (później uprawnionym mierniczym górniczym) Jurkiem Piechą, zatrudnionym w tym zakładzie, kilkanaście razy składaliśmy wnioski do OUG we Wrocławiu, wnosząc o utworzenie filara ochronnego na Wilczej Górze, który obejmowałby tzw. różę bazaltową, jako zabytek przyrody. Dopiero bodaj za trzynastym razem nasz wniosek został przyjęty. Charakterystyczna stercząca skała bazaltowa z „różą” stała się nieodłącznym elementem złotoryjskiego pejzażu; o jej pozostawienie walczył dziś liczni miłośnicy „Wilczaka”. Francuska firma „Colas” prowadzi tam eksploatację bazaltu. Wytyczony przeze mnie filar zdecydowanie ogranicza

ich produkcję. Część mieszkańców Złotorii, nie chcąc dopuścić do eksploatacji góry, utworzyła front oporu pod hasłem: Nie dla Wilczej Dziury!

■ Sny o potęgde - kopalnia Bolesławiec

Pamiętam ukończone w 1971 roku wiercenia prowadzone przez Przedsiębiorstwo Geologiczne w Krakowie i dokumentację geologiczną dla złoża Wartowice. [Później, w 1978 r., dokumentację aktualizował Kombinat Geologiczny „Zachód” we Wrocławiu.] Była to ogromna szansa dla sta-



Zjazd taśmą osobową po upadowej 64N. Leon Mamczur drugi od lewej.

do 1,1 proc., bo skały płonnej w urobku było już znacznie mniej.

Moje wystąpienie nie przysporzyło mi uznania w zakładzie, zarzucano mi, że się wychylam, że rozrabiam, że chcę tym sposobem robić karierę. Obawiano się reakcji tzw. czynników wyższych, zastanawiano się, czy nie będzie jakichś konsekwencji. Tym bardziej, że dr Guziel, bodaj podsekretarz stanu w MPC wyjechał, nie zajmując żadnego stanowiska w sprawie mojego wniosku. Ale ja - o dziwo - zaraz po Zjeździe, w roku 1972

rego zagłębia. Dlatego właśnie już w październiku 1972 r. ZPB Cuprum we Wrocławiu przystąpiło do stworzenia wstępnej wizji kopalni Bolesławiec, z dwoma nowymi szybami, w Łaziskach (Kruszynie) i Żeliszowie. Czekano tam na wydobycie ok. 1 mln ton czystej miedzi i spora ilość srebra. Niestety, ówczesna sytuacja ekonomiczna w kraju była kiepska a przyszłość „Konrada” niepewna. Decyzją premiera Piotra Jaroszewicza o zastosowaniu manewru gospodarczego, polegającego na ograniczeniu inwestycji, ostatecznie pogрузzyła temat rozbudowy kopalni.

■ Wracaj na „Konrad”!

Na jednej z narad, w styczniu 1974 r., dyrektor techniczny Józef Szczerba wytknął, nie wymieniając mojego nazwiska: „Jest wśród nas taki, który narozrabiał, jego sprawa oparła się o premiera Jaroszewicza...” - chodziło o ten list do KC. Poczuję się zlekceważony, bo na dodatek nie uznano mojego projektu eksploatacji złoża rud miedzi w filarze szybu K-II, który jednak z miejsca zastosowano, wydobywając ok. 300 ton czystej miedzi wokół szybu. Ze względu na ochronę powierzchni i selektywną eksploatację, o którą walczyłem, zakładałem możliwie najniższą wysokość prowadzonych ścian -1,75-1,80 m.

Zniechęcony atmosferą w tym zakładzie, po ośmiu latach odszedłem z „Konrada”, ponieważ moje szanse na awans z powodów polityczno-kadrowych były znikome. Wtedy nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że istnieje coś takiego jak partyjny system nomenklatury. Nie mogłem pogodzić się z tym, że zastępcy głównego mierniczego też „przyznano” uprawnienia mierniczego górniczego, choć faktycznie ich nie posiadał. Tłumaczono to jego długoletnim stażem i zaangażowaniem w pracy. Sytuacja wyglądała dość dziwnie: ja wykonywałem pracę zastępcy głównego mierniczego, podpisując mapy i inne dokumenty, on zastępował kierownika działu - głównego inżyniera mierniczego, podczas jego nieobecności. Każdego roku obiecywano mi, że w końcu moje, najwyższe wśród mierniczych „Konrada” kwalifikacje, zostaną właściwie docenione. Nic z tego, po czterech latach zmagania, opuściłem ZG Konrad na zasadzie porozumienia stron, przechodząc w marcu 1976 roku do pracy w złotoryjskich Kopalniach Skalnych Surowców Drogowych „Krzeniów” w budowie. Dyrektor Alfred Cholewiak żegnając się ze mną, powiedział:

„Pamiętaj, jak ci tam będzie źle, to wracaj na „Konrad”!”.

W „Krzeniowie” wykonywałem typowe prace związane z miernictwem górniczym, jak i z geodcją przemysłową. Z mojego wytyczenia powstawały prawie wszystkie obiekty związane z zakładem - na powierzchni i pod powierzchnią (kanalizacja, kable, oczyszczalnie, itp.). Ale zdarzały się też niecodzienne akcje, takie jak ta z listopada 1976 roku, gdy pięciu górników skalnych zostało zasypanych w komorze. Trafnie wytyczyłem kierunek, w którym należy poszukiwać tych ludzi, i wszyscy zostali uratowani, wśród nich także mój sąsiad z bloku - inż. Kowal. Może zabrzmiało nieskromnie, ale wykazałem wtedy, jak ważny jest w górnictwie mój zawód. Niestety, niektórzy nie doceniają tej pracy. Nieraz się słyszało lekceważące: „te, miernik”, albo „hej, ty - skoczybrudza!”.

Oczywiście nasze zarobki w górnictwie skalnym odstawały od tych w górnictwie podziemnym. Żyło się skromnie, właściwie od pierwszego do pierwszego. Dorożyć nie było łatwo, bo gdy pojawiła się możliwość pracy na połowę etatu, okazało się, że muszę mieć zgodę Komitetu Wojewódzkiego. Chcąc poprawić sytuację materialną rodziny, dopiero po przemianach, w latach 90., mogłem założyć prywatną firmę geodezyjną. Z powodzeniem prowadziłem ją do 2006 r. W weekendy pomagała mi żona, zapisywała pomiary, trzymała łatę. Przeważnie były to zlecenia z kamieniołomów. Po pewnym czasie zbuntowała się; miała dość, gdy zimą trzeba było po kilkanaście godzin stać na mrozie i wietrze albo przemieszczać się po śliskich skalnych półkach.

■ Tęskniłem za kopalnią

Na początku lat 80. zaangażowałem się również w tworzenie ogrodów działkowych w Złotoryi. Zaprojektowałem i wytyczyłem istniejące do dziś działki pracownicze „Nad Zalewem” - dzisiejsza nazwa ROD „Nad Zalewem”. I nawet wybrano mnie pierwszym ich prezesem. Dzisiaj tę funkcję sprawuje moja żona. Jako geodeta brałem udział w pracach społecznych przy budowie dworca PKS w końcu lat 80-tych. Teraz stoi w tym miejscu market NETTO. Miasto nigdy nie znalazło pieniędzy na wybudowanie zgodnie z projektem dworca z budynkiem. Powstała jedynie wiata na dużym, asfaltowym placu, z której dumny był ówczesny dyrektor kopalni miedzi Lena w Wilkowie, Stanisław Pieprzyk.

W nowej pracy, w środowisku górników skalnych i budowlanców nie czułem się najlepiej. Tęskniłem za kopalnią Konrad i za ludźmi, których tam poznałem. W 1982 roku dyrektor naczelny Józef Szerba z chęcią przystał na mój powrót, zwłaszcza że starsi pracownicy Działu Mierniczego zaczęli odchodzić na emerytury. Przydzielono mi pracę m.in. w kop. Lubichów, integralnej części ZG Konrad. Z pokładu rudy miedzi, na poz. 213, rozpocząłem wytyczanie chodnika dojściowego do grubego na 40 m pokładu anhydrytu i gipsu. Potem robiłem pomiary pod przekopy N i S oraz pod upadową z powierzchni, którą poprowadziłem na tzw. zbicie. Kopalnia miedzi Konrad, chroniąc się przed nieopłacalnością, szukała poprzez dywersyfikację produkcji nowych źródeł przychodu eksploatując gips i anhydryt.

Dopiero na rok przed decyzją o zamknięciu „Konrada” zostałem głównym inżynierem mierniczym-kierownikiem działu mierniczego. Później - w miarę postępującej likwidacji kopalni - szefowałem także służbom: geologicznym, hydrogeologicznym i ochrony środowiska, zajmowałem się też szkodami górniczymi. Niestety kopalnię czekał rychły koniec. Decyzję o jej likwidacji podpisał w 1987 roku minister przemysłu Mieczysław Wilczek; wydobyć ustało z końcem 1989 roku. Ale wodę z dołu pompowano, co przysparzało niemałych kosztów, bo było jej bardzo dużo. Lej depresji wytworzony poprzez jej usuwanie miał powierzchnię ok. 70 km kw., a sumaryczna ilość wypompowanej wody w trakcie funkcjonowania kopalni przekraczała 1,5 mld m sześciennych. Poza tym na poz. 650 metrów znajdowało się ujęcie wody pitnej, dostarczanej do okolicznych wsi - należało więc chronić je przed zatopieniem.

■ Prostownie zaszczości

Na przełomie lat 80. i 90. spadł na mnie ogrom zadań związanych z porządkowaniem statusu prawnego terenów przynależnych do ZG Konrad - dotyczyło to ponad 500 ha gruntów. Natknąłem się na wiele absurdalnych sytuacji, okazało się np., że piaskownia nie istniała na żadnej mapie, że na środku stawu osadowego zaznaczony był las a dokumenty dotyczące jego własności były niekompletne itp. Nikt się wcześniej nie przejmował takimi formalnościami. Systematycznie inwentaryzowaliśmy działkę po działkę, zakładaliśmy mapy, księgi wieczyste, przygotowaliśmy tereny pod uwłaszczenie, prostowaliśmy zaszczości

dotyczące spraw spadkowych i wykupu gruntów przez kopalnię. Notarialnie wykupywaliśmy teren od właścicieli gruntów, prawie 20 lat po wybudowaniu stawu osadowego nr 3 w Wartowicach! Te nasze wyprzedzające działania okazały się niezwykle ważne w momencie, gdy Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi przekształcano w jednoosobową spółkę Skarbu Państwa. Bałagan w tej sferze na pewno zablokowałby powołanie spółki. Atmosfera wokół tej sprawy była nerwowa, co odczułem na własnej skórze. Któregoś razu dyrektor Ziaja powróciwszy z narady w kombinacie, rугał mnie za opóźnienia w uwłaszczaniu działek, gdyż tam usłyszał, że nie załatwiłem sprawy do końca. Udo- wodniłem, że ze swojej strony zrobiłem wszystko, co do mnie należało. Po wyjaśnieniach wyszło na jaw, że potrzebne dokumenty utknęły w biurku odpowiedzialnego pracownika w zarządzie firmy.

Na polecenie dyrekcji wykonałem również plan podziału terenu zajmowanego przez ZG Konrad pod różnego rodzaju działalność gospodarczą, która to po zakończeniu wydobywania miała zapewnić pracę załozce kopalni. Jak wiadomo, pojawiły się różne pomysły: powstała spółka Aquakonrad, Zakład Wyrobów Gumowych, na terenie kopalni próbowano uprawy pieczarek a nawet hodowli ryb w stawie osadowym. Pamiętam, że z dyrektorem Ziają jedliśmy te karpie uwędzone i nawet nam smakowały. Do moich obowiązków należało również zajmowanie się obszernym archiwum, gdyż „Konrad” przejął dokumentację po zamkniętych kopalniach starego zagłębia, tzn. po „Lenie” i „Nowym Kościele”. Prowadziłem sprawy tzw. szkód górniczych na „Konradzie”, „Lenie”, „Nowym Kościele”, „Starej Górze” w Wojcieszowie, Miedziance, Mniszkuwie (tereny byłych kopalń uranu) a także kopalni cyny w Gierczyńcu.

■ Skazany na zalanie

U dyrektora Ziaja miałem dobre notowania. Kiedy w 1997 roku przyjmowano mnie na stanowisko głównego inżyniera ds. miernictwa pod ziemią w Biurze Zarządu KGHM Polska Miedź S.A., prezes Stanisław Siewierski zatrudnił mnie od ręki, przypuszczalnie po jednym telefonie do mojego byłego zwierzchnika.

Choć moim naczelnym zadaniem było wdrażanie w oddziałach KGHM tzw. map numerycznych, nie zapomniałem o „swojej” kopalni. Byłem nawet współautorem, wspólnie z Adamem Maksymowiczem, głównym inżynierem ds. hy-



Koncert chóru parafialnego przy kościele św. Jadwigi Śląskiej w Złotoryi. Po prawej, trzeci od góry - Leon Mamczur, niżej - piąta od prawej pani Miroslawa Mamczur.

drogeologii oraz z innymi kolegami, niezaakceptowanego przez władze spółki wniosku, zmierzającego do ograniczenia dopływu wody do kopalni Konrad. Zgłosiliśmy pomysł, aby w ramach np. pracy badawczo-rozwojowej sporządzić projekt uszczelnienia warstw doprowadzających wodę do kopalni. W efekcie uchronić ją od całkowitego zatopienia i ułatwić w przyszłości dostęp do rozpoznanych złóż miedzi w obrębie Wartowic. Wniosek odrzucono, uzasadniając m.in. nieopłacalnością wydobywania. Fakt, koszty uzyskania tony miedzi wynosiły wówczas 1600 dolarów, a na gieldzie za tonę tego surowca płacono 1300 dol. Nie było wtedy argumentów, żeby przywrócić eksploatację. A może zabrakło perspektywicznego spojrzenia na problem? Wiadomo, że tamto złóż jest zasobne - szacuje się, iż stanowi około 1/3 Głogowa Głębokiego. Do tego panują w nim bardzo korzystne warunki: na 830 metrach zimą temperatura utrzymuje się na poziomie 21 stopni, w lecie nie przekracza 22 stopni. Dopiero na emeryturze przekonałem się, że przeciwnicy zalewania „Konrada” (w tym - nieskromnie dodając - ja), mieli intuicję. Z czasem ceny miedzi skoczyły ponad 9000 dolarów za tonę a prowadzone obecnie badania geologiczne w tym rejonie są więcej niż optymistyczne. Niestety, z naszego pomysłu nic nie wyszło - ale sam wniosek zachowałem na pamiątkę. Całkowite zatapianie kopalni rozpoczęto w 2001 roku.

■ Działka, wnuki, śpiew

Mimo iż od 14 lat jesteśmy z żoną na emeryturze, czas upływa nam w zawrotnym tempie. Uprawiamy działkę, pomagamy naszym dzieciom w wychowaniu wnucząt. No i - śpiewamy. Żona wstąpiła do chóru dopiero na emeryturze. Ja w nauczycielskim „Bacalarusie” śpiewałem przez

10 lat, od 1986 roku. Potem musiałem zrezygnować z powodu dojazdów do pracy w Lubinie, gdyż trudno było pogodzić wszystkie obowiązki. Po zakończeniu pracy zawodowej, powróciłem do swoich muzycznych zamiłowań, śpiewam nadal w „Bacalarusie”, w chórze Adoremus przy kościele NMP w Złotoryi, koncertowałem nawet jako solista z „Madrygałem” legnickim. Nigdy nie uczyłem się w szkole muzycznej, miłość do muzyki odziedziczyłem po rodzinie ojca - on również śpiewał amatorsko.

Muzyka to moja największa pasja, którą wciąż rozwijam, obecnie dzięki m.in. komputerowym programom. Zawsze miałem zacięcie do artystycznych działań. W „Konradzie” (w bazalce także) przez jakiś czas przygotowywałem i prowadziłem karczmy. Jedną z ułożonych przeze mnie fraszek brzmiała tak: „Drzewie nasi ojcowie po wiedzę do Padwy jeździli. Dzisiaj wystarczy tej drogi połowa - po wiedzę nada jeździć do Kijowa”. No i ...przestałem je prowadzić. Malując na potrzeby barbórkowych imprez karykatury znanych w kopalni osób (np. „Ziaja na ścianie”), uchodziłem w oczach dyr. Szczerby nawet za plastyka. Niektórzy koledzy z KGHM pamiętają mnie jako strzelca sportowego - parę zawodów strzeleckich, także na zawodach Klubów Oficerów Rezerwy, w życiu wygrałem. Zajmowałem dość wysokie pozycje w zawodach rangi krajowej i międzynarodowych. Pamiętam jak kiedyś po zawodach Rosjanie się dziwili: „Ljeszek, ty mała-dijec, ty strijelajesz i pajosz!”.

Wciąż mi się śnią podziemne wyrobiska „Konrada”. Często też na jawie wracam do tamtych lat, bogatych w różne wydarzenia związane z ludźmi i kopalnią. Kto wie, może jeszcze doczekam, kiedy „Konrad”, już w nowoczesnej postaci, powróci do życia. ■

Był grudzień, w ciągu dnia minus 8 stopni, a nocą minus 25. Chłopaki znaleźli jakąś kuchenkę, dzięki czemu mogliśmy się dogrzewać w nocy. Ale w końcu trzeba było spać, palenisko gaśło, rano panował dotkliwy ziąb. Niska temperatura i brak wody uniemożliwiały utrzymywanie higieny - śmierdzieliśmy straszliwie. Prowiant, który przywieźliśmy ze sobą, znikał błyskawicznie, bo kiedy zaczynaliśmy jeść, obok nas natychmiast zjawiały się wygłodniałe armeńskie dzieci i oczami pochtłaniały każdy nasz kęs...

Waldemar Jakubowski, komendant Zakładowej Zawodowej Straży Pożarnej ZG Lubin, kierownik zmianowy Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego, dyr. ds. technicznych O/Jednostka Ratownictwa Górniczo-Hutniczego. Pracował w latach 1968-2007



Mówili mi: „Ciebie zabije stres”

Kiedy kończyłem Technikum Leśne w Starościnie (woj. lubuskie), uznaliśmy z trójką kolegów, że nie pójdziemy pracować do Lasów, ale dalej będziemy się uczyć. Postanowienie to miało związek z pojawieniem się u nas podchorążego ze Szkoły Oficerów Pożarnictwa w Warszawie, w tamtym czasie jedynej pomaturalnej szkoły w Polsce, która dawała tytuł technika pożarnictwa. Tak więc po uzyskaniu tytułu leśnika-technologa drewna,

rozpoczęliśmy naukę w stolicy. Szkoła mnie zafascynowała. Jej komendant - pułkownik Krzysztof Smolarkiewicz, wspaniały człowiek, świetny strażak i wyjątkowy psycholog, jak nikt inny potrafił zmotywować młodych ludzi, którzy w większości nie mieli pojęcia o pożarnictwie, do dogłębnego poznawania tajemnic chemii spalania. Wyznawał zasadę: Tam gdzie pracujesz, musisz się znać na wszystkim.

■ Skusiły mnie różę

Praktykę terenową (od maja 66 r. do września 67 roku) rozpocząłem najpierw w Komendzie Wojewódzkiej we Wrocławiu. Nieco później trafiłem do Lubania Śląskiego, gdzie doszło do bolesnego zderzenia z rzeczywistością. Co prawda moim przełożonym był człowiek, który skończył przede mną Szkołę Oficerów Pożarnictwa, to jednak większość pożarników stanowili ludzie mianowani, np. niegdyś zasłużeni wojskowi, dla których pożarnictwo było formą przechowalni.

Po skończonym stażu, wróciłem do szkoły, zdałem wszystkie egzaminy i z nominacją oficerską pojechałem po przydział pracy do komendanta Wojewódzkiego we Wrocławiu.

– „Najchętniej bym cię widział we Wrocławiu, a ty, gdzie chciałbyś pracować?” – pytał komendant. Przedstawiał mi wiele propozycji: Lubań, Zgorzelec, Jelenia Góra, Lubin... Przy ostatniej nazwie zatrzymałem się. Od 1957 roku prawie zawodowo zajmowałem się piłką nożną. Będąc na praktyce w Lubaniu, grałem w drużynie piłkarskiej, wtedy rozgrywaliśmy mecz w Lubinie i strzeliłem bramkę gospodarzom. To było we wrześniu, zachwyciły mnie tonące w różach ulice: Odrodzenia i 1 Maja. Ten zachwyt dwiema ulicami zaważył na moim wyborze. Zdecydowałem się na Lubin.

■ Beczki fruwały na 30 metrów

Przyjechałem 2 października 1967 roku, po trzech dniach od ślubu z małżonką Krystyną. Moim szefem był komendant Zimny, dla którego w pewnym sensie byłem konkurencją. Nie miałem mieszkania. Na krótko zainstalowałem się w remizie przy Kopernika, gdzie w ogóle nie było warunków do zamieszkania. Na szczęście budowano w tym czasie nową remizę przy ul. Ścinawskiej. W zupełnie pustym obiekcie zająłem pomieszczenie przypominające pokój socjalny ze znajdującą się obok niewielką kuchenką. Wkrótce dołączyła do mnie Krystyna i zaczęliśmy nasze wspólne lubińskie życie. Wyglądało to tak: kiedy coś się stało i usłyszałem, że syrena wyje, w kilka minut pokonywałem skrót z ulicy Ścinawskiej na Kopernika. Zawsze udawało mi się dobiec do zastępu przed jego wyjazdem.

Już w pierwszym tygodniu Lubin przywitał mnie ogniem. Palił się Defil, płonęły budynki lakierni; beczki z chemikaliami fruwały po 30 metrów w górę. W następnym tygodniu jechali-

śmy do Chocianowa. W pomieszczeniach gospodarczych obok chocianowskiego pałacu dzieci urządziły sobie zabawę: wskakiwały z poziomu parteru do piwnicy wyścielonej słomą. Najstarszy chłopiec z czwórki dzieci zapalił papierosa, od którego zajęła się słoma. On sam zdołał się wydostać po ustawionych ceglach, trójka najmniejszych dzieci udusiła się w dymie. Pamiętam, do piwnicy zjeżdżaliśmy na lince i po kolei wydostawaliśmy ciała...

■ Za tydzień mieszkanie

Po roku od rozpoczęcia pracy otrzymałem informację, że przy szybach głównych ZG Lubin pali się rozdzielnia wysokiego napięcia. Pojechałem tam z zastępem ratowników. Rzeczywiście wszystko się wypaliło do cna, gasiliśmy tylko jakieś „niedobitki”. W pewnym momencie podszedł do mnie człowiek w mundurze górniczym i mówi: „Chciałbym z panem porozmawiać”. Nie miałem w tym momencie czasu na pogaduszki, więc zaproponowałem przełożenie spotkania na kolejny dzień. Poprosiłem o namiary, wkrótce okazało się, że był to Alfred Wołczyński, w tym czasie kierownik rejonu głównego „Lubina”. Następnego dnia w zaciszu gabinetu pytał mnie, czy chciałbym przyjść do pracy w charakterze komendanta Zakładowej Zawodowej Straży Pożarnej przy ZG Lubin. Decyzja nie była prosta, po pierwsze, wymagała zgody Komendanta Głównego Straży Pożarnej, a po drugie, ja już nie byłem sam. Dyrektor w lot podchwycił moje rozterki: „Już zrobiłem rozpoznanie. Wiem, że jest pan żonaty, dlatego w ciągu dwóch tygodni dostanie pan mieszkanie” – zapewniał. – „Żeby nie być gołosłownym, wsiądziemy w samochód i pojedziemy do zarządu kombinatu, do dyrektora Erazma Orzechowskiego, który zajmuje się przydzielaniem mieszkań”. Podjechalśmy, dyrektor Orzechowski przyjął nas i oznajmił: „Za tydzień, w piątek, proszę się do mnie zgłosić po klucze”. Byliśmy z żoną oszołomieni tym rozwojem wydarzeń. Rzeczywiście po tygodniu zgłosiłem się w mundurze do dyrektora i podpisałem odbiór kluczy. Dostałem mieszkanie na osiedlu Awaryjnym, w pierwszym punktowcu na trzecim piętrze. Duży pokój, kuchnia, łazienka - na początek mogło być. Poprosiłem dyrektora, aby kombinat wystąpił do Komendanta Wojewódzkiego Straży Pożarnej o przekazanie mnie na Miedź. Po tygodniu przyszła zgoda na przejście. I tak w 1968

roku rozpocząłem tworzenie od zera Zakładowej Zawodowej Straży Pożarnej przy „Lubinie”.

■ Ratownictwo do mnie przyszło

W nowym miejscu zasada komendanta Krzysztofa Smolarkiewicza: „Tam gdzie pracujesz, musisz się znać na wszystkim”, znów nabrała znaczenia. Musiałem jak najszybciej uczyć się górnictwa. Edukacja trwała dość długo, bo około trzech lat. W tym czasie spotkałem wielu wspaniałych ludzi, którzy zechcieli mi pomóc. Był wśród nich Czesław Piątkowski, dyspozytor, a później kierownik Kopalnianej Stacji Ratowniczej, Tadeusz Ty-

będzie”. W ten sposób ratownictwo przyszło do mnie. Wspólna siedziba sprawiła, że automatycznie bliżej zacząłem interesować się ratownictwem. W pewnym momencie dyrektor Kuświk mówi: „Słuchaj Waldek, musisz być ratownikiem”. Ja odpowiedziałem, że przede wszystkim chcę być ratownikiem, ale nie muszę. Bo w istocie rzeczy różne zawody były skumulowane w ratownictwie, między innymi pożarnictwo. Jeszcze w 1971 roku poszedłem na kurs i na koniec roku przeniosłem się do OSRG, jako kierownik zmianowy górniczego pogotowia, ale równocześnie pełniąc obowiązki komendanta zakładowej straży. W ten sposób



W 1970 r. strażacy z ZG Lubin podzielili się pomieszczeniami swojej siedziby z ratownikami górnymi KGHM.

zenhaus główny inż. energomaszynowy w kombinacie, Michał Krężel, kierownik Kopalnianej Stacji Ratowniczej. Chyba należałem do uczniów ambitnych, zjeżdżałem do kopalni ogromną ilość razy, by poznawać dół i wiedzieć jak najwięcej.

W tym czasie na terenie ZG Lubin Kopalniana Stacja Ratownictwa Górniczego została przekształcona w Okręgową Stację Ratownictwa Górniczego dla całego zagłębia miedziowego, jej dyrektorem został Józef Kuświk. Nie było wolnych pomieszczeń na bazę dla OSRG, więc pomyślałem, że w nowo wybudowanej remizie znajdzie się również miejsce dla ratowników. Zawołał mnie dyrektor Włodzimierz Mięśowicz i mówi: „Trzeba zrobić tak, aby również OSRG zmieściła się w tym budynku. Trochę się ścśnienie i jakoś

związałem się jeszcze głębiej z górnictwem. Później moi następcy też tak funkcjonowali.

■ Spawacz spanikował

Pamiętam jedną z pierwszych moich górniczych akcji. Wtedy już mieszkaliśmy przy ulicy Hanki Sawickiej 21. W tej jednej klatce mieszkało nas 12 ratowników, czyli dwa zastępy. Z telefonami dla ratowników było jeszcze różnie, jedni je mieli, a drudzy nie. Ja z racji funkcji cały czas byłem podłączony do kopalnianej centrali. Zadzwoił do mnie dyrektor Wolczyński i mówi: „Waldek, musisz przyjechać”. W ciągu kilkunastu minut dotarłem na kopalnię. Okazało się, że na chodniku głównym Szybu Głównego pali się butla z acetylenem. „Boję się tam kogoś posłać,

bo to różnie bywa” – mówił dyrektor. Zaproponowałem, że pójdę tam z jednym zastępem. Po dotarciu na miejsce zobaczyliśmy palącą się butlę. Najprawdopodobniej przy zaworze redukcyjnym powstała nieszczelność. Spawacz, który ciął coś przy szynach, obrócił się z palnikiem i zawór zapalił się. Człowiek ten spanikował i uciekł. Gdyby zawór natychmiast zakręcił, byłoby po temacie. Pomógł podeszliśmy do butli, jeszcze do końca się nie rozgrzała, zakręciliśmy jej zawór. Sprzyjającą okolicznością było, że stała na płytkach ścieku. Zdjęliśmy dziesięć płytek, przewróciliśmy butlę do ścieku, w którym stała woda. Po trzech godzinach chłodzenia i zamknięcia ruchu dla wozów W-4, okazało się, że butla była szczelna, no i pusta.

■ Maski niesamowicie uwierały

Zapadła mi także w pamięć akcja gaszenia pożaru w tunelu kablowym na wyjściu GST szybu L-2 na Lubinie Głównym. Nastąpiło przepięcie międzyfazowe i zapaliła się opona kabla. Wejście w tunel kablowy było bardzo trudne nie tylko z powodu ograniczonej przestrzeni, ale także niesamowitego nagromadzenia trujących gazów. Wprawdzie już wtedy stosowaliśmy aparaty tlenowe, ale praca w nich była naprawdę ciężka. Tych masek nie można było dopasować do każdego kształtu głowy, tak więc wzrastała możliwość podtrucia. Po założeniu niesamowicie uwierały, wpijając się w głowę, mniej więcej po 15 minutach powodowały jej ból. Wtedy podjąłem decyzję, że nie wchodzimy do środka, tylko podamy pianę okienkami wentylacyjnymi. Zalaliśmy pianą cały tunel kablowy i udało się trafić na źródło ognia i je ugasić.

■ Skorzystali koledzy

Z czasem zacząłem rozwiązywać niektóre z kopalnianych problemów. Najpilniejszym była sprawa transportu i magazynowania paliw płynnych i innych materiałów ropopochodnych w warunkach dołowych. W tym czasie nie było jeszcze składu paliw na dole. Wożono je w beczkach, stawiano w przecinkach i rozlewano stosownie do potrzeb. Podobnie było z materiałami (smarami) do konserwacji maszyn, które należało przechowywać w bezpieczny sposób. Zgłosiłem więc

projekt zabezpieczenia miejsc, gdzie przechowywane są beczki z paliwem, przy użyciu znanych mi wtedy środków gaśniczych. Zawołał mnie dyrektor Wołczyński i mówi: „Waldek, no to zróbmy próby i wtedy będziemy dyskutować”. Przygotowałem pokaz, pamiętam, że przyjechali ludzie z Zakładu Doświadczalnego, wysłuchali, wypytali i wyciągnęli ode mnie informacje, jakie tylko były możliwe, aby wykonać już bez mnie projekt zabezpieczenia. Dopiero wtedy dowiedziałem się o istnieniu programu rządowego, dotyczącego stworzenia zabezpieczenia składów paliw płynnych na dole. Przez pewien czas miałem duże pretensje do ludzi z Zakładu Doświadczalnego, ale potem mi przeszło.

■ Podpalić i ugasić!

Jednak wprowadzenie tego projektu jako systemu, nie było takie proste. Zadzwoził do



Kierownik Waldemar Jakubowski prezentuje przyrząd Combiwarn do pomiaru stężeń gazów.

mnie pan Wilhelmi ze Zjednoczenia Metali Nieżelaznych i oświadczył: „Słuchaj, przyjeżdżam z panem Olszewskim z Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego, chcemy zobaczyć te próby”. A ja odpowiedziałem: „To niech z wami przyjedzie również Szef Okręgowego Urzędu Górniczego”. W sprawę mocno włączyli się panowie z Zakładu Doświadczalnego. Tam, gdzie dzisiaj znajduje się Kopalnia Piasku Obora, została zbudowana, identyczna jak na dole, komora paliw. W celach pokazowych wtłoczono do niej 4 tony oleju napędowego, 400 litrów benzyny, złożono też około 2 ton smarów ciężkich. Na bazie tej

mieszaniny odbywał się pokaz. Oczywiście sta-
wiła się w komplecie wielka i szacowna komisja.
Specjalne urządzenie do podpalenia mieszaniny
zadziałało: materiał zapalił się, a potem zaraz
piana przykryła szczelnie ogień i go zgasiła. Jed-
nak szefowie z Urzędu Górniczego oraz przeło-
żeni ze zjednoczenia i ministerstwa oświadczyli:
„Chwilę, chwilę, raz, to za mało. Proszę drugi
raz podpalić i ugasić!”. Na powtórkę nie byliśmy
przygotowani, zwłaszcza jeśli chodzi o sposób
podpalenia mieszaniny. Pomyślałem jednak,

■ Najkrótsza opinia o Diatomicie

Po tym pokazie, na początku lat 70., Wyższy
Urząd Górniczy wydał zezwolenie magazynowa-
nia paliw płynnych na dole. Akurat w tym czasie
do pracy pod ziemią wprowadzano coraz więcej
maszyn napędzanych paliwem ropopochodnym.
W związku z tym znowu powstał duży problem,
by w tych komorach, a przede wszystkim w punk-
tach tankowania, dbać o czystość. Moim zada-
niem, jako pożarnika (do 71 roku byłem w ZG
Lubin komendantem Zawodowej Zakładowej



*Kordziki górnicze i pożarnictwa zajmują pocze-
sne miejsce wśród pamiątek.*

skoro gasić umiem, to i podpalić potrafię. Tym
razem zainicjowałem ogień od wiązki zapalo-
nych pochodni. Schemat gaszenia się powtórzył,
wszystko wyszło super. Ale szanowna komisja
powiedziała: „Jeszcze raz!”. Nikt jakoś nie za-
uważył, że im wyższa temperatura, tym większe
jest stężenie gazu w komorze i sytuacja może się
wymknąć spod kontroli. Znow jednak podpali-
łem pochodnie i podszedłem z nimi do komo-
ry. Za sekundę nastąpił bardzo silny wybuch.
Szczęściem po wytworzeniu się nadciśnienia,
powstało również podciśnienie, które zatrzasnę-
ło drzwi komory. No i konstrukcja komory, pod
względem wytrzymałościowym, zdała egzamin.



Straży Pożarnej i równolegle kierownikiem od-
działu przeciwpożarowego), było badanie szczel-
ności tych komór. Przy tej okazji wyszedł problem
usuwania ze spągu wycieków olejów palnych, tzw.
zmiocin. Najpierw stosowano piasek, który nie
sprawdził się do końca. Potem wynaleziono pro-
szek Diatomit (zmielona skała pochodzenia wul-
kanicznego) o wiążących właściwościach - jeden
kilogram tego proszku wiąże około pół kilograma
materiałów ropopochodnych.

Ktoś jednak wymyślił, że skoro Diatomit jest
taki dobry, to można go zastosować jako środek
gaśniczy. Zwrócono się do mnie jako pożarnika
o opinię. Nie byłem do Diatomitu przekonany.
Myślałem, jak tych ludzi przekonać, że ten środek
jest niewłaściwy. Był 1974 r. Przyjechał do mnie
jeden z dyrektorów Urzędu Górniczego z inspek-
torem Wyższego Urzędu Górniczego i mówią:
„Chcielibyśmy, żeby nam pan coś powiedział na
temat tego Diatomitu, bo WUG chce go wpro-
wadzić jako środek gaśniczy”. Wziąłem beczkę
wypełnioną w części wodą, wlałem na to olej, by
powstał emulgat. Następnie, w obecności gości,
posypaliśmy go Diatomitem, który w postaci osa-

du związał substancje ropopochodne i od razu opadł na dno. Nabrałem z beczki trochę mazi, wziąłem palnik i ją zapaliłem. To się bardzo dobrze paliło i była to najkrótsza, i najskuteczniejsza opinia o Diatomicie.

■ Musisz wrócić do nas...

W 76 roku rozpocząłem studia zaoczne w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej, które po czterech latach dały mi tytuł inżyniera pożarnictwa. Jeszcze w 1978 roku upomniała się o mnie straż pożarna. Komendant główny skierował mnie na stanowisko Komendanta Rejonowego Straży Pożarnej w Głogowie. Czekano tam na mnie mieszkanie i ogromna praca do wykonania. Wówczas postawiłem konkretne warunki związane z powstaniem nowego budynku remizy. Stara remiza była posadowiona na lochach. Z tego powodu jej użytkowanie było niebezpieczne. Któregoś razu zapadł się bojowy samochód do lochu. Następnym razem wpadł tam człowiek. Ponieważ komendant wojewódzki nie spełnił moich oczekiwań, a ja nie chciałem odpowiadać za kolejne tragedie, po pięciu latach postanowiłem odejść.

W styczniu 1984 roku wróciłem do KGHM. Tym razem objąłem stanowisko głównego inżyniera ds. pożarowych kopalni Sieroszowice. Zaproponowano mi również funkcję zastępcy kierownika Kopalnianej Stacji Ratowniczej w Sieroszowicach. Przyjechali do mnie panowie Panic i Kolański, mówiąc: „Potrzebujemy ciebie w Sobinie”. Ani chwili się nie wahałem i tak znalazłem się w 1986 roku w Sobinie. Od tego czasu byłem kierownikiem zmianowym Górniczego Pogotowia, a później od 1995 roku zastępcą dyrektora Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego. To dzięki wsparciu Henryka Radka i dyrektora Mirosława Pawlaka zakorzeniłem się w ratownictwie. Sporo czasu pracowałem z Jerzym Kolańskim, człowiekiem niezłomnym, niezwykle prawdomównym i z niesamowicie otwartą głową. To on był pomysłodawcą i animatorem powstania obecnej siedziby GPR Sobinie, był pierwszym, który wprowadził nowoczesny sprzęt zarówno do akcji pod ziemią jak i na powierzchni. Między innymi za jego sprawą skompletowano i wyposażono komorę dekompresyjną, podnosząc w ten sposób bezpieczeństwo pracy i wzbogacając system szkolenia sekcji nurków ratowników.

To duże szczęście i komfort pracować w bardzo dobrej firmie. Jeżeli zaistniała potrzeba kupienia czegoś, nie pytano się: ile to kosztuje, tylko: czy

to jest konieczne? Tak jak w przypadku 44-metrowej drabiny hydraulicznej. Była to wówczas druga drabina w Polsce, wyższa niż dziesięciopiętrowiec, i to my ją mieliśmy. Z pułkownikiem Olszewskim przywoziliśmy ją w 1972 roku z zachodnich Niemiec. Była to duża wyprawa. Polecieliśmy do Frankfurtu nad Menem. Stamtąd pociągami do Ulm, do firmy produkującej między innymi takie drabiny. Z powrotem wracaliśmy z nią przez Lipsk i Zgorzelec. Oczywiście mówi się, że Niemcy to wspaniała jakość. Mniej więcej po ośmiu miesiącach eksploatacji drabina przestała się obracać. Ponieważ była na gwarancji, zadzwoniliśmy do fabryki w Ulm. Zapewnili, że przysła do nas swojego fachowca, żeby zobaczył, co się stało. Przyjechał pan Schwartz, rozbierał drabinę z moimi mechanikami, aż w pewnym momencie przyszedł do mnie trzymając w ręce łożysko i powiedział: „To jest przyczyna - zatarło się łożysko. W łożysku powinien być kanał smarowniczy, ale on nie został wykonany i łożysko się zatarło. Trzeba sprowadzić łożysko z fabryki. Ja tu mogę czekać nawet miesiąc, bo za mój pobyt zapłaci człowiek, który to łożysko zepsuł”. Nie trzeba było czekać. Nasi ludzie na miejscu w warsztatach wytoczyli łożysko jeszcze lepsze, bo z trwałszego materiału, i w ten sposób naprawiliśmy drabinę. Służyła nam bodaj do 1984 roku.

■ Chciało się całować ziemię

W grudniu 1988 roku wezwał mnie dyrektor Jerzy Kolański informując, że w związku z trzęsieniem ziemi trzeba, aby dwa zastępy ratowników, pod moim kierownictwem, pojechały do Armenii. Miałem sobie dobrać dziesięciu najlepszych spośród 450 ludzi. Wybrałem tych, z którymi często bywałem w akcji i wiedziałem, że mnie nie zawiodą, choć do końca nigdy nie można być tego pewnym. A byli to: Władysław Duda, Ryszard Nerling, Mirosław Dąbek, Jerzy Stępień, Zbigniew Kurnicki, Tadeusz Górka, Czesław Paluch, Józef Ćwiek, mechanik OSRG Krzysztof Mirowski i lekarz ratownik Zbyszek Rudnicki. Wylecieliśmy 13 grudnia z Legnicy rosyjskim samolotem desantowym do Warszawy, następnie lotem rejsowym dostaliśmy się do Moskwy. Tam przesiedliśmy się na samolot czarterowy do Erewania, niestety już w powietrzu okazało się, że samolot szwankuje. Dolecieliśmy więc do Soczi i tam czekaliśmy na naprawę samolotu, bo o podstawieniu drugiego nie było w ogóle mowy. W Erewaniu lądowaliśmy



Order za wielokrotne męstwo - jedno z licznych odznaczeń Waldemara Jakubowskiego.

skokami. Gdy wreszcie zatrzymaliśmy się na płycie lotniska, chciało się ze szczęścia całować ziemię.

■ Nie sposób się oswoić

W Erewaniu połączyliśmy się z grupą 63 polskich strażaków i udaliśmy się do oddalonej o 100 km miejscowości Spitak. Pierwsze wrażenia: ogrom zniszczeń o niewyobrażalnej skali, brak wody, prądu, gazu. W chwili trzęsienia intensywność wibracji osiągnęła X stopień w skali Mercallego. Nie ocalał tam żaden budynek wyższy niż parterowy, miasto zamieniło się w jedno wielkie gruzowisko. W oficjalnych komunikatach mówiono, że zginęło tam około 15 tysięcy ludzi, a w informacjach podawanych z ust do ust padała liczba 20 a nawet 25 tysięcy.

Do trzęsień ziemi byłem przyzwyczajony, jednak z taką skalą totalnej zagłady (strefa zagrożenia wynosiła mniej więcej około 60 kilometrów kwadratowych) nie sposób się było oswoić.

Nasza grupa otrzymała zadanie poprowadzenia rozpoznania w Zakładach Odzieżowych i w Elewatorze Zbożowym, który zaopatrywał w mąkę trzy republiki. Prowadziliśmy prace ratownicze na rumowisku metodą wycinania otworów w stropach i ścianach. Odnaleźliśmy trzy ciała ludzkie, które zostały przekazane rodzinom. Co rusz powtarzały się wtórne ruchy ziemi. Dla nas obeznanych z tąpnięciami i zawałami nie stanowiło to problemu, natomiast pozostałe ekipy i ludność miejscowa za każdym razem uciekała na płaski teren. Dobrze, że mieliśmy konserwy i wodę, bo tu o ich zdobyciu należało zapomnieć. Był grudzień, w ciągu dnia minus 8 stopni Celsjusza, a w nocy minus 25. Chłopaki znaleźli jakąś kuchenkę, dzięki czemu mogliśmy się dogrzewać w nocy. Ale w końcu trzeba było spać, palenisko gasło, rano panował przenikliwy ziąb. Niska temperatura i brak wody uniemożliwiały utrzymywanie higieny - śmierdzieliśmy straszliwie. Prowiant, który przywieźliśmy z sobą, zniknął błyskawicznie, bo kiedy zaczynaliśmy jeść, obok nas natychmiast pojawiały się wygłodniałe armeńskie dzieci i oczami pochłaniały każdy nasz kęs. A jakie to były piękne dzieci. Jurek Stępień nawet chciał adoptować jednego chłopca, ale niestety bariery prawne uczyniły adopcję niemożliwą.



Armenia. Pamiątkowe zdjęcie wykonane przez Waldemara Jakubowskiego. Od lewej stoją: Władysław Duda, Zbigniew Kurnicki, Józef Cwík, Jan Reguła, Jan Wysocki, Tadeusz Górski, Czesław Paluch, Mirosław Dąbek. Siedzą od lewej: ratownik armeński, Krzysztof Mirowski, ratownik armeński, Zbigniew Rudnicki (lekarz) Ryszard Nerling. Poniżej: Jerzy Stępień.



*Najcenniejszym
odznaczeniem jest dla
pana Jakubowskiego
Złoty Krzyż
Ratowniczy*

Ponieważ zbyt późno dotarliśmy do rejonu Spitaku, pozostał niedosyt, że nie uratowaliśmy nikogo żywego. Natomiast zgłosił się do nas 80-letni mężczyzna na palcie i samej białźnie, bo uciekł z mieszkania, kiedy zatrzęsło. Pomogliśmy mu odzyskać część najpotrzebniejszych rzeczy, unosząc konstrukcję dachu rozpierakiem hydraulicznym i poduszkami powietrznymi.

■ Przy wsparciu psów-ratowników

Z pewnością jednak naszym zyskiem było to, że po raz pierwszy zobaczyliśmy pracę psów ratowników, z którymi przybyli Duńczycy, Niemcy i Francuzi. 10 grudnia BBC podawało: „Przysłane przez Francję zaalarmowały wczoraj ratowników o sześćdziesięciu osobach zaspanych i wciąż żywych pod gruzami.”

Parę lat później, bo w 1992 roku po raz pierwszy w Polsce, w górnictwie dołowym, ratownicy z Sobina zastosowali psa tropiącego do poszukiwania człowieka, który zaginął na kopalni „Rudna”. Była to suka - Sonia z Komendy Policji we Wrocławiu. Pokazała nam drogę, jaką ten człowiek przeszedł, nim wpadł do zbiornika skipu. Fragmenty ludzkiej skóry ratownicy odnaleźli na rozdrabialni.

Ta tragedia upewniła mnie, że psy można wykorzystać w ratownictwie. Lizurek, mechanik z „Rudnej”, miał przez dłuższy czas takiego psa. W Polsce powstały grupy ratowników z psami w Nowym Sączu, Gdańsku i Łodzi. Z grupą nowosądecką i gdańską nasi ludzie współpracowali podczas trzęsienia ziemi w Turcji, w 1999 roku. Organizowałem wyjazd, ale szefem wyprawy był tam Antek Duszeńko.

■ Dzwonek wciąż stawia na nogi

Jestem człowiekiem spełnionym zawodowo. Choć przyszedłem do górnictwa dość późno, naprawdę wiele się nauczyłem. Ludzie dłużej pracujący w górnictwie, wielokrotnie zwracali się do mnie z różnymi problemami, a to chyba o czymś świadczy. Mam wielką satysfakcję, że wśród obecnych ratowników i dyrektorów ratownictwa jest

wielu, których przyjmowałem w ratownicze szeregi, m.in. Piotra Walczaka - obecnego dyrektora OJRGH.

W służbie pożarniczej doszedłem do stopnia majora, w ratownictwie do generała górnictwa. Ten ostatni stopień otrzymałem po międzynarodowych zawodach ratowniczych, które odbywały się w Głogowie, w 2004 roku. Odpowiadałem wówczas za przygotowanie techniczne naszej ekipy. Potwierdzeniem perfekcyjności przygotowania jest dla mnie reakcja siedzącego na widowni lekarza - absolutnie niezwiązanego z ratownictwem. Na widok pozoranta, który udawał atak padaczki, wiedziony odruchem zawodowym przybiegł do nas z widowni, by udzielił mu pomocy...



Obecnie państwo Jakubowscy mieszkają w Kłobuczynie i bardzo cenią sobie życie bliżej natury.

Z dniem 31 grudnia 2007 przeszedłem na emeryturę. Nie żałuję, że pracowałem tak długo, nawet jeśli lekarze mówili mi: „Ciebie zabije stres”. Nie zabił mnie. Dzisiaj wyniki moich badań są wspaniałe, nawet lepsze niż w wieku 45 lat. Proszę bardzo unormowany tryb życia. Oczywiście gdy się 37 lat było ratownikiem, to każdy nagły dzwonek czy telefon zawsze stawiają na nogi, choć normalnie żona mnie nieraz nie może dobudzić. Wciąż śnią mi się najtrudniejsze akcje i twarze wygłodniałych armeriskich dzieci.

Jedyny syn państwa Jakubowskich poszedł w ślady ojca i także trafił do służb mundurowych - jest oficerem w Komendzie Powiatowej Straży Pożarnej w Głogowie. ■

**Plakaty zawiadamiały
o spotkaniach, imprezach,
wycieczkach, piknikach itp.
Również o możliwości kupna
świątecznych karpi, ziemniaków
czy cebuli (w okresie niedoborów
w sklepach była to bardzo
ważna informacja). Zdarzało
się, że na tych planszach
czasem ktoś dopisywał jakiś
złośliwy komentarz, gdy dla
kogoś zabrakło poszukiwanego
towaru.**

*Urszula Urbaniak,
plastyczka. Była
zatrudniona w ZG
Polkowice i w BGH-
RM. Pracowała
w latach 1972-2006.
Aktywnie działa
w Stowarzyszeniu
Lubińskich Twórców
Kultury*



Dopiski groziły konsekwencjami

To nie była sztuka, raczej propaganda, przyznaje Urszula Urbaniak. Dzisiaj nazywa się to reklamą outdoorową, lub zwyczajnie - banerem. O tych nazwach w Polsce w 1972 roku nikt nawet nie słyszał. A właśnie wtedy Urszula Urbaniak przyjechała do zagłębia miedziowego, i tym głównie przyszło się jej tutaj zajmować.

- Przyjechałam z Wielkopolski - podkreśla. - Tak na chybił-trafił, bo akurat tu była praca. A co najważniejsze - w rodzinnym Rawiczu mówiło się, że w zagłębiu miedziowym łatwo o mieszkanie. To mnie skusiło.

■ Z tamtej epoki

Kończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycz-

nych w Gdyni Orłowie. Potem pracowała w Lesznie, dojeżdżając z Rawicza. W zagłębiu miedziowym od razu trafiła do ZG Polkowice. W dziale socjalno-administracyjnym była niewielka komórka, która zajmowała się malowaniem okazjonalnych transparentów, przeważnie na Barbórkę i na zlecenie towarzyszy z komitetu zakładowego PZPR z okazji różnych świąt państwowych, takich jak 1 Maja czy 22 Lipca.

W pracowni plastycznej kopalni Polkowice zatrudnionych było dwoje plastyków, którzy mieli do pomocy jedną osobę, gdy trzeba było uporać się z nawalaniem pracy. A zdarzało się to nie tylko przed Barbórką, kiedy przyzodabiano się oprócz zakładów również miasta Legnicko-Głogowskie-



Urszula Urbaniak w pracowni plastycznej w ZG Polkowice.

trzeba było zrywać się bardzo wcześniej, by zdążyć na pracownicze przewozy.

– Na szczęście miało się wtedy dwadzieścia parę lat i łatwiej się znosiło takie niedogodności. Pod koniec lat siedemdziesiątych zamieszkałam w Lubinie – mówi. – Jeszcze ponad dwa lata dojeżdżałam do Polkowic, a potem znalazłam pracę na miejscu, w BGH-RM.

■ Neron na combrze

W nowym zakładzie pracownia plastyczna była niemal lustrzanym odbiciem tej polkowickiej. Też znajdowała się w strukturach działu socjalno-administracyjnego i wykonywało się tam tę samą robotę.



W ikonach jest coś świętego.

go Okręgu Miedziowego. Wszelkie elementy dekoracyjne malowało się ręcznie, na tekturze, płótnie, blasze, szkłe a nawet bezpośrednio na ścianie.

– Dzisiaj wszystkie tego rodzaju prace wykonuje się komputerowo – mówi z odrobiną żalu w głosie. – Ja jednak wywodzę się z tamtej epoki i ciągle do niej należę.

Nie używa komputera. Nie posługuje się kolorowymi wydrukami ani gotowymi schematami z licznych programów graficznych. Jak sama mówi: „uprawiam archaiczne rzemiosło”, bo do dziś posługuje się tradycyjnymi materiałami i farbami. Na szczęście teraz można je wszędzie kupić, ale wtedy, w latach siedemdziesiątych i późniejszych, były poważne z tym problemy, jak ze wszelkim innym dobrem.

– A my po prostu szliśmy do kierownika i on to wszystko czego potrzebowaliśmy, wypisywał na kwicie. Po jakimś czasie niezbędne materiały trafiały do naszej pracowni – wspomina pani Urszula. Nic dziwnego, że z sentymentem mówi o tamtych latach, tych w ZG Polkowice i tych w późniejszym zakładzie. Przyznaje jednak, że dojazdy do Polkowic były dość męczące, ponieważ

– Nie przypominam sobie, żeby któryś z moich zwierzchników zgłaszał zastrzeżenia do mojej pracy. Przeciwnie, zawsze dostawałam pochwały a nawet nagrody pieniężne – opowiada Urszula Urbaniak. – I ludzie byli jacyś tacy życzliwi, bardziej niż teraz. Z radością wracałam tam po urlopie. Do dzisiaj mam wielu znajomych i przyjaciół z tamtego okresu a także miłe wspomnienia.

Zakładowi plastycy w ówczesnych latach zajmowali się nie tylko malowaniem plakatów

i hasel propagandowych. Ich pierwszym zadaniem było przekazywanie informacji o dość bogatym życiu społeczności zakładowej, które najczęściej organizowały rozbudowane działy socjalne czy administracyjne. Plakaty zawiadamiały o spotkaniach, imprezach, wycieczkach, piknikach itp. Również o możliwości kupna świątecznych karp, ziemniaków czy cebuli (w okresie niedoborów w sklepach była to bardzo ważna informacja).

Zdarzało się, że czasem ktoś dopisywał jakieś złośliwy komentarz bezpośrednio na tych planszach, gdy dla kogoś zabrakło poszukiwanego towaru. Takie dopiski na wielkich banerach propagandowych o przyjaźni z ZSRR czy o przewodniej roli PZPR groziły poważnymi konsekwencjami.

– Tego rodzaju wybryki w tamtych czasach, to już zahaczały o politykę – mówi Urszula Urbaniak. – A my zajmowaliśmy się tylko wykonywaniem zleconych plakatów, nie identyfikując się z ich treścią. Taki był tamten świat, że ktoś to musiał robić.

Urszula Urbaniak z życzliwością wspomina swoich szefów i współpracowników, wymieniając ich po kolei:

– Pani Gosia Madetko a wcześniej Jerzy Gołosiuk byli moimi kierownikami. Pamiętam panią Anię Kobak i Elę Pietryk, która szyła flagi, proporzyczki i szturmówki. Swoją pracownię miała w jednym z hoteli pracowniczych w Lubinie przy ulicy Hanki Sawickiej. Zajmowaliśmy się również dekoracjami i strojami na imprezy górnicze: Karczmy Piwne i Combrzy Babskie.

– Cudowne były zwłaszcza te ostatnie – wspomina pani Urszula. – Bardzo wesołe, barwne i pomysłowe. Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden, w oprawie starożytnej. Wszystkie uczestniczki przywdziały rzymskie stroje. A dyrektor Daniel Cyganowski, również w przebraniu z epoki, wcielił się w postać Nerona. Bawiliśmy się wspaniale. Dyrektor był jedynym mężczyzną na sali, bo wszystko oczywiście działo się na Combrze Babskim.

■ Coś świętego...

– Teraz jestem już na emeryturze. Udzielam się w Lubieńskim Stowarzyszeniu Twórców Kultury. Spotykamy się i robimy wiele ciekawych rzeczy – mówi Urszula Urbaniak.

Ciągłe pozostają w kręgu górniczym. Właśnie przygotowali wystawę na Festiwal Górniczy, który odbywał się w lubieńskim MDK.

– Od piętnastu lat organizujemy te wystawy – mówi pani Urszula. – Właściwie jest to konkurs



Ścinawa, 2015 rok. Wystawa związana ze św. Hubertem, patronem myśliwych.

tematycznie związany z górnictwem - obejmuje prace z różnych dziedzin sztuki i wykonane w do-



Urszula Urbaniak w swoim mieszkaniu w Lubinie.



Talerze malowane ręcznie przez Urszulę Urbaniak.

wolnych technikach, od rzeźby, fotografii po malarstwo i inne formy.

Ale to, co od pewnego czasu najważniejsze w twórczości pani Urszuli, nie jest malowaniem tylko... pisanie.

– Kiedyś z moim tatą pojechałam do jego kolegi, który mieszkał w Puszczy Białowieskiej – wspomina. – Spotkałam tam mnicha. Pokazał mi, jak przygotowuje deski. Opowiedział dużo, ale nie wszystko. Sama musiałam na przykład odkryć, jak osiągnąć określone kolory. Ważne jednak, że zaraził mnie tym pisanie ikon. To takie malarstwo, które pozwala wyjść poza sztukę i zagłębić

się gdzieś w sferę sacrum. Dlatego uprawiam je od wielkiego święta, żeby uniknąć w moich ikonach zwyczajnej codzienności. Mam wrażenie, że w tym tworzeniu jest coś niezwykłego, świętego.

W jej mieszkaniu na ścianach nie ma ikon. Nie brakuje za to zwyczajnych landszaftów, obrazków z widokiem krajobrazów, w większości z okolic rodzinnego Rawicza. Ale są i te z widokiem na bliższą okolicę - Lubina czy Polkowice: miejski krajobraz osiedlowy z parkami, ogrodami i ludźmi. Czasem zredukowany do samych twarzy, w których widać fragment miasta.

■ Miniatury dla króla

Urszula Urbaniak ma jeszcze jedną pasję malarską. W wiklinowym koszyku trzyma białe płytki



Ikonę na ceramicznej płytce, którą pani Urszula wypala w domowym piekarniku.



Sielski motyw na płytce malowanej na zlecenie króla Cyganów.

ceramiczne; są nieduże, okrągłe lub owalne, o średnicy zaledwie kilku centymetrów.

– Dawno temu – opowiada – kiedy pracowałam w ZG Polkowice, zgłosił się do mnie pewien bogaty człowiek, prawdziwy cygański król. Miał gest, muszę przyznać. Kupił od kogoś komplet zabytkowych mebli. Tamten człowiek trzymał je w stodole. Król zawiózł te meble do fabryki w Swarzędzu i tam zamówił dwie dokładne kopie, które chciał podarować dwójce swoich dzieci – córce i synowi. A ja byłam potrzebna do tego, żeby zrobić duplikaty płytek ceramicznych z różnymi widoczkami. Takie właśnie były przychepione do drzwiczek oryginalnych mebli. Same płytki zrobili mi w zakładach porcelany w Wałbrzychu. Potem przez dwa lata malowałam je według starych wzorów.

Każda z nich przedstawia inną scenkę rodzajową, takie miniaturowe sielskie obrazki. Urszula Urbaniak malowała je posługując się szkłem powiększającym. Ot, pani z panem siedzą na ławce, on gra na cytrze, ona śpiewa – w tle zielone drzewa. Albo: ona siedzi na ławce w parku, w ręce trzyma różę, którą właśnie dostała od niego. Na drugim planie odległa góra, częściowo zasłonięta przez gałęzie rozłożystej sosny.

– Te miniaturki jeszcze teraz czasem maluję, choć już tylko dla siebie – mówi Urszula Urbaniak. – Czasem pojawiają się na nich święte postaci – takie moje ikony na porcelanowych albo glinianych, wypalanych w piekarniku płytkach.

W domu pani Urszuli znajdują się pomalowane przez nią żyrandole, klosze stojących lamp, gliniane doniczki i talerze, często z motywem roślinnym lub zwierzęcym.

– Tworzą mój własny odmienny świat i dobrze się czuję w takim otoczeniu – mówi.

Raz w miesiącu spotyka się z lubińskimi plastykami w swoim Stowarzyszeniu. Zastanawiają się nad organizacją nowych wystaw.

– Każdy rok zamykają nasze „barbórki” i spotkania opłatkowe – mówi Urszula Urbaniak. Zdara się, że robią coś wspólnie. W lubińskim hotelu Skarbek w pokojach wiszą obrazy o tematyce górniczej. To ich dzieła. A ostatnio właściciel Hotelu Książęcego w Legnicy zaproponował im namalowanie w pokojach obrazów o tematyce bitwy legnickiej.

– Przystaliśmy na tę propozycję, każdy z nas (członków Lubińskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury) maluje obraz albo tworzy rzeźbę. Ważne, żeby przedstawić jakiś wątek związany z bitwą. Cieszę się bardzo z tej nowej artystycznej przygody. Już teraz szukam opisów rycerzy walczących w 1241 roku pod Legnicą – opowiada. – Dla mnie to coś zupełnie innego, odmiana od tego co robiłam do tej pory. Jak kiedyś całe to górnictwo, kiedy przejechałam tu z wielkopolskiego Rawicza. Czułam się wtedy, jakbym nagle znalazła się w zupełnie innym świecie. ■

Któregoś dnia doszło do oberwania chmury, padało tak intensywnie, że znaczna część legnickiej huty znalazła się pod wodą. Jeden piec szybowy ratowaliśmy, drugi sobie odpuściliśmy, skazując go - jak się nam zdawało - na pewny remont. Ku wielkiemu zaskoczeniu technologów właśnie ten, po ponad 24 godzinach postoju, wystartował bez problemu i potem jeszcze przez kilka miesięcy pracował sprawniej niż pozostałe piece.

*Jan Maślanka,
zastępca głównego
inżyniera ds. rozwoju.
Pracował w Hucie
Miedzi Legnica w latach
1971-2008*



Dozują szuflą Maślanki

Jan Maślanka specjalizował się w maszynach hutniczych, kierunek ten skończył na AGH w Krakowie. Zamierzał zatrudnić się w głogowskiej hucie, dlatego jeszcze jako student podpisał wstępną umowę o pracę z KGHM. Zaproponowano mu stanowisko zastępcy kierownika d/s utrzymania ruchu na Wydziale Przygotowania Wsadu. Ponieważ jednak w 1970 roku zakład był jeszcze w budowie, skierowano go na roczny staż do Legnicy. Zanim dobiegł końca, pan Jan zdecydował, że zostaje w tutejszej hucie - przepracował w niej 38 lat.

■ Po kostki w pyłe

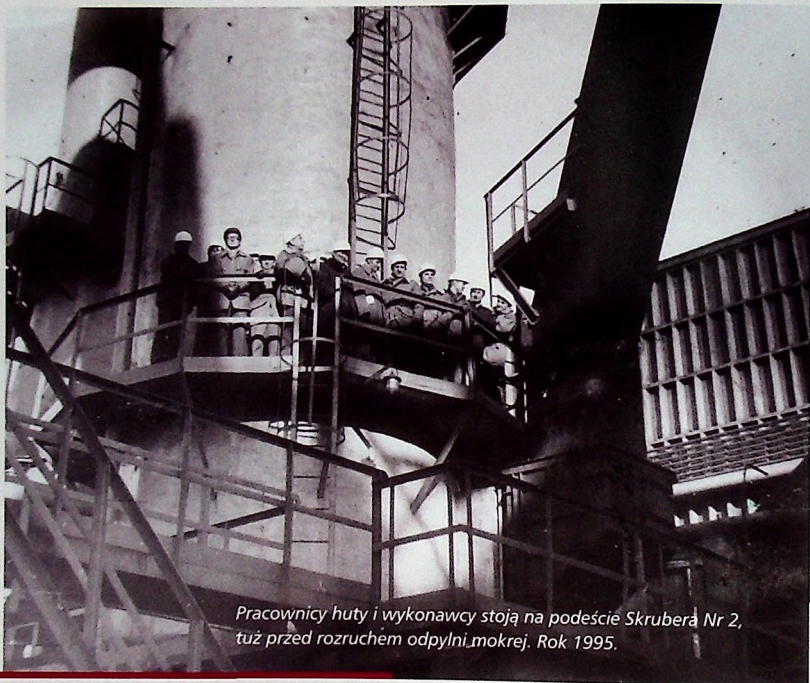
Początkowo ulokował się w wynajętym mieszkaniu, które opłacała firma. Krótko po ślubie dostał własne, jednopokojowe przy ul. Pancernej. W sąsiedztwie zamieszkało wielu kolegów z zakładu. Potem przeprowadził się do

większego, spółdzielczego, a dzisiaj mieszka na osiedlu domków jednorodzinnych, niedaleko swojego byłego szefa, pod kierownictwem którego zaczynał pracę jako stażysta na Wydziale Przygotowania Wsadu.

- Mieliliśmy początkowo cholerne problemy z odpylaniem. Oczyszczanie leżało na łopatkach, z powodu kiepskich rozwiązań technicznych. Chodziliśmy w pyłe niemal po kostki. Główna przyczyna problemów tkwiła jednak gdzie indziej. Dotychczas koncentrat do przeróbki przywożono z kopalń starego zagłębia: Leny i Konrada. Od 1969 roku huta Legnica zaczęła przerabiać również rudę z nowego zagłębia. Koncentrat z „Lubina” miał inne właściwości fizykochemiczne, bo zawierał dużo węgla bitumicznych. To niemal paraliżowało produkcję, ponieważ maszyny i agregaty nie chciały poprawnie pracować na nowym koncentracie.

Po zmieszaniu go z ługiem posulfitowym materiał oklejał się na mieszadłach i nie można go było transportować do brykietni. Pyły natomiast dostawały samozapłonu. Wtedy na gwałt szukaliśmy nowych technologii. Inżynierowie

montowano nowocześniejsze, mniej zawodne. W cyklonach małych (urządzeniach do odpylania) pyły mocno przylepiały się do ścian i wewnątrz tworzyły narośla. Z czasem całkiem zalepiały światła urządzeń i gazy nie mogły się przez



Pracownicy huty i wykonawcy stoją na podeście Skrubera Nr 2, tuż przed rozruchem odpylni mokrej. Rok 1995.

huty wspólnie z Instytutem Metali Nieżelaznych i Biurem Projektów Bipromet opracowali założenia projektowe nowych urządzeń do odpylania gazów. To w konsekwencji doprowadziło do wydzielenia z Wydziału Metalurgicznego odpylni i utworzenia z niej Wydziału Oczyszczania Gazów. Jego kierownikiem został Włodzimierz Babik, a ja zastępcą do spraw utrzymania ruchu – opowiada o trudnych początkach Jan Maślanka.

■ Burzyli do fundamentów

Niemal tuż po rozruchu Wydział Oczyszczania Gazów należało poddać gruntownej modernizacji, którą przeprowadzono w pierwszej połowie lat 70. Na odpylni prawie wszystko demontowano, burzono do fundamentów. W miejsce starych mechanizmów radzieckich

nie przedostać. Należało więc powiększać średnicę cyklonów i zmieniać kąty wejścia. Pierwsze urządzenia budowanej odpylni konwertorowej funkcjonowały od końca 72. roku, rok później pracowała już kompletna odpylnia.

Szybko okazało się też, że dotychczas stosowane elektrofiltry nie sprawdzały się w procesie oczyszczania gazów szybowych i należało zastosować inne rozwiązania. Starą odpylnię szybową sukcesywnie wyburzano, w jej miejsce w 1974 roku uruchomiono I linię odpylania suchego, a pod koniec 1975 rozpoczęto rozruch odpylni mokrej.

Jan Maślanka tak wspomina ten rozruch odpylni suchej: – Wystartowaliśmy z hukiem. W momencie skierowania gazów do 80-metrowego komina, nastąpił wybuch gazów gar-

dzielowych i rozerwał zbiorniki pod cyklonami. Musieliśmy zatrzymać uruchomiony piec szluby, zbudować nowe zbiorniki i ponownie wystartować. Po 10 dniach rozpoczęliśmy eksploatację. Wreszcie, po raz pierwszy w historii

bliskiej wsi Białka, a potem Pawłowic. Strefa ochronna huty wynosiła wtedy jakieś 1200 ha. Znajdowały się w niej rosyjskie bloki mieszkalne oraz wojskowe, w tym ich szpital leżący w Lasku Złotoryjskim.



Uczestnicy rajdu - przed startem do Ośrodka Wypoczynkowego BORNIT.

huty, można było zdalnie otwierać i zamykać zawory dzwonowe odcinające wylot gazów na kominki awaryjne i odpylnię.

■ Truliśmy towarzyszy

Hutnicy zawsze musieli mieć pod ręką maski gazowe. Pracowali w takich warunkach, w jakich dzisiaj nikt by nie chciał i na jakie nie pozwolili żaden inspektor PIP.

– Kiedy zatrudniłem się w hucie, czas funkcjonowania na kominkach awaryjnych, w które wyposażono konwertory i piece szluby, był dość długi. Jeśli założyć, że cykl pracy konwertora pod dmuchem wynosi sześć godzin, to przez cztery gazy przekazywano do Fabryki Kwasu Siarkowego, a przez dwie godziny wyrzucano w powietrze. Uzysk siarki odprażonej wynosił wówczas (1971 rok) niecałe 40 procent, ponad 60 natomiast szło do atmosfery. Czasem część rozlewała się po hali, która robiła się tak niebieska, że nie widzieliśmy jej końca – tłumaczy Jan Maślanka.

Wokół huty z czasem powstała pustynia. Teren ciągnący się od zakładu w kierunku autostrady został wypalony i dość często na drodze z Legnicy do Złotoryi panowała bładoniebieska gęsta mgła. W końcu doszło do wysiedlenia po-

– A to była już sprawa polityczna, bo truliśmy trochę towarzyszy. Dlatego na mapach granicę strefy korygowano tak, by te obiekty leżały poza nią. Musieliśmy też układać się z Rosjanami, wyświadczać im pewne przysługi. Jeśli „towarzyszom” coś się zepsuło, naprawiali to nasi fachowcy, bo zakład zawsze zatrudniał dobrych spawaczy i ślusarzy. Tuż po 2000 roku, kiedy hutę skreślono z listy największych trucicieli, strefa ochronna sięgała już tylko do skrzyżowania drogi nr 3 z ul. Złotoryjską. Dzisiaj huta pracuje na takiej technologii, że uzysk siarki jest prawie stu procentowy, a wokół jest zielono – pan Jan skreśla w dużym skrócie historię modernizacji zakładu.

■ Nie dopatrzone się sabotażu

Awarie w hucie były czymś normalnym, dlatego pan Jan często był w zakładzie także poza oficjalnymi godzinami pracy.

– Nikt nie żałował ani zdrowia, ani czasu. Jeśli trzeba było jechać do firmy, to się po prostu jechało. A pozostawało się w niej tak długo, jak długo wymagała tego sytuacja. Każdy telefon, mógł oznaczać, że w hucie coś się zdarzyło i zaraz zniknę z domu. Nierzadko wysyłali po mnie w nocy samochód dyspozytorski. Żona



Jan Maślanka odbiera odznaczenie
„Zasłużony dla KGHM”. Rok 1998.

przyzwyczaiła się do tego, a dzieci po prostu rosły w takiej atmosferze – wspomina Jan Maślanka.

– Któregoś dnia 1977 roku doszło do uszkodzenia wentylatora podającego gazy szybowe do odpylni mokrej. Oderwała się łopata z wirnika i przebiła jego obudowę, na szczęście wyładowała 50 m dalej, na ścianie hali pieców szybowych, nie czyniąc dalszych szkód. Wentylator natomiast dostał takich drgań, że trzytonowy silnik wyrwało z fundamentu. Zatrzymaliśmy od razu piece szybowe, bo zagazowanie było okropne. Nad hutą unosił się czarny groźnie wyglądający dym, stąd wieść o awarii rozeszła się błyskawicznie.

Mój przełożony Włodzimierz Babik przebywał akurat na urlopie, więc cała robota organizacyjno-polityczna spadła na mnie. Od razu zjawił się w firmie sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR Edward Nir i przyjechał człowiek z centrali kombinatu. Byłem zajęty usuwaniem awarii, kiedy przyszedł posłaniec z informacją, że od godziny wszyscy czekają na mnie w biurze. Gdy się tam zjawiłem, panowie mieli bardzo smętne miny. „Dlaczego siedzicie jak na pogrzebie” – zapytałem i dodałem: „Owszem, jest nieszczęście, są straty i będą koszty, ale nikogo nie zabiło i nikomu nie się nie stało”. To co powiedziałem, jakoś rozładowało napięcie, po czym usłyszałem: „Widzimy, że sobie radzicie inżynierze, nic tu po nas”. I panowie

odjechali. Potem trzeba było jeszcze zredagować rutynowy protokół, który od lat kończyliśmy takim samym zapisem, że w zdarzeniu nie dopatrzono się sabotażu. Z czasem klimat polityczny zmienił się na tyle, że wydano nam polecenie, abyśmy tego zwrotu więcej w protokole nie umieszczali.

■ Huta w wodzie

W sierpniu 1993 roku doszło do oberwania chmury, padał tak intensywny deszcz, że kanalizacja huty nie odbierała już wody i zatopiło znaczną część zakładu. Wtedy wezwano pilnie Jana Maślankę. Krótco po tym jak dotarł na miejsce, droga którą przybył, stała się nieprzejezdna. Okazało się, że załało między innymi pompownię wody obiegujowej. Brak wody chłodzącej uniemożliwiał pracę huty. Trzeba było szybko wypompować deszczówkę. Ludzie z kopalni Polkowice i Sieroszowice przywieźli wydajne pompy i wraz ze strażakami z Jawora opanowali sytuację.

– W czasie powodzi piece szybowe zostały zatrzymane nagle, bez wprowadzania procedury tak zwanych wśadów zjazdowych. Podjęliśmy wtedy decyzję, że jeden piec ratujemy, a drugi sobie odpuszczamy i nic przy nim nie robimy. Jak się nam wydawało, skazaliśmy go tym samym na remont. Gdy po ponad 24 godzinach mieliśmy już wodę do chłodzenia, mimo wszystko dmuchaliśmy w ten piec i ku wielkiemu zaskoczeniu technologów wystartował bez problemu. Potem jeszcze przez kilka miesięcy pracował lepiej niż pozostałe. Wyglądało na to, że się zregenerował, co było wyjątkiem niespodzianką w tym trudnym dla Wydziału Metalurgicznego czasie – śmieje się Jan Maślanka.

■ Zniknąć z „czarnej listy”

W połowie lat 70. w Polsce zaczęto zwracać większą uwagę na stan środowiska naturalnego. Już wtedy mieszkańcy Legnicy skarżyli się w Komitecie Wojewódzkim PZPR, że huta zanieczyszcza powietrze.

W 1980 roku wyszła ustawa, która wymusiła karami pewne działania na rzecz ochrony środowiska. Huta Miedzi Legnica znalazła się na liście największych trucicieli w Polsce.

Wówczas, aby sprostać ustawie i zniknąć z „czarnej listy”, ochrona środowiska stała się dla kadry inżynierskiej i kierownictwa zakładu nie mniej ważna niż produkcja.

– Pracownicy szybko to zrozumieli i nikogo nie trzeba było przekonywać o konieczności zastosowania proekologicznych, choć kosztownych instalacji. Pilnował nas wówczas również nasz własny wewnętrzny wydział ochrony środowiska. Ponadto ustawa zobowiązywała wojewodę do działań na jej rzecz, a ten ustalał między innymi dopuszczalne limity emisji zanieczyszczeń. W efekcie wyraźnie ograniczono pracę huty na kominkach awaryjnych. Gdy już widzieliśmy, że kończy się nam limit, jechaliśmy na jednym piecu szybowym. Nieraz zagrażało to ciągłości pracy, a nawet zdarzało się, że zatrzymywaliśmy proces produkcji, co wcześniej było nie do pomyślenia – wyjaśnia Jan Maślanka.

W połowie lat 80. huta otrzymywała mniej koncentratu, niż mogły przerobić duże piece szybowe. Skutkiem tego dość często je zatrzymywano, bo wówczas nie istniały techniczne możliwości załadowania mniejszej ilości wsadu. Mściło się to na urządzeniach i środowisku, bo oznaczało dodatkową emisję zanieczyszczeń do atmosfery. Hutnicy główkowali więc, jak rozwiązać te problemy.

– Choć miałem wielu oponentów wśród metalurgów i menadżerów wyższego szczebla, przekonałem kolegów, że będzie lepiej, jeśli zmniejszymy piece. Przerobiliśmy je z 4-zasypowych na 3-zasypowe, jeden zrobiliśmy nawet 2-zasypowy. Wydajność w nich była podobna jak w dużych piecach, a zapotrzebowanie na wsad mniejsze. Wtedy, stosownie do prognozowanych dostaw koncentratu, eksploatowaliśmy odpowiedniej wielkości piece i unikaliliśmy ich częstego zatrzymywania. W tamtych czasach to się sprawdziło, teraz powrócono do pieców 3-zasypowych – tłumaczy.

Nie był to jedyny wdrożony pomysł Jana Maślanki. Do dzisiaj pracownicy legnickiej huty posługują się określeniem „szufla dozująca Maślanki”. Zanim ją zastosowano, piasek do konwertorów sypano z olbrzymiej miedzianej kadzi, skutek był taki, że na halę leciały kłęby dymu. Gdy szufla Maślanki (konstrukcja o stożkowym wylocie średnicy zaledwie 20 cm), zastąpiła kładź, piasek dozowano wolniej, a wentylator nadadzał już z odbiorem gazów.

W słownictwie hutników do dzisiaj funkcjonuje też powiedzenie: „współczynnik Maślanki”.



Odchodząc na emeryturę pan Jan zorganizował, zgodnie z hutniczą tradycją, suty poczęstunek. Koledzy odwdzięczyli się oryginalnym upominkiem.

Określał on ilość gazów przekazywanych z mokrej odpylni do elektrociepłowni. Na jego podstawie pracownicy mogli szybko ocenić stan techniczny urządzeń. Jeśli współczynnik przekraczał wartość 1,5, oznaczało to, że gazy są ubogie w CO i trzeba szukać „dziury”, którą zasysane jest powietrze. Polecenie: „Podaj współczynnik Maślanki”, czyli szefa wydziału, często padało na posiedzeniach kierownictwa czy dyrekcji zakładu.

■ Jak u siebie i dla siebie

Początkowo nikt nie nalegał na pana Jana, by wstąpił do PZPR. Nie sprzeciwiał się specjalnie partii, ale nie palił się do członkostwa. Jednak już po dwóch latach „towarzysze” zaczęli nakłaniać go do przyjęcia legitymacji, a w 1975 roku, gdy awansował na technologa, jego bezpartyjność zaczęła kłuć w oczy niektórych przełożonych, a nawet podwładnych. Czuł się niekomfortowo, zwłaszcza gdy, jako zastępca kierownika wydziału, musiał brać udział w zebraniach partyjnych.

– Na jednym z nich, ku mojemu zaskoczeniu, dowiedziałem się, jaki to ze mnie kiepski

pracownik. Zdziwiłem się, tym bardziej że od początku byłem samodzielny, nikt nie musiał pokazywać mi palcem, co mam robić. Pracowałem w hucie jak u siebie i jak dla siebie.

Z czasem znalazłem dwóch „chrzestnych”, bo tak nazywano członków wprowadzających i zostałem przyjęty do PZPR. Wtedy stał się cud! Usłyszałem, że Maślanka jest bardzo dobrym fachowcem, którego kierują na Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu, gdzie jednak nadmiaru chętnych nie widziałem. Całe szczęście w 1990 roku partia się rozwiązała i o ideologii zapomnieliśmy – opowiada Jan Maślanka.

Z wyznawaną do tej pory ideologią, niekoniecznie łączyła się praktyka, bo kiedy przyszło usprawnić produkcję, współpraca z krajami zachodnimi okazała się konieczna. Wówczas hutnicy podróżowali służbowo do krajów zachodnich. Do Francji pan Jan wyjechał w sprawie wentylatorów odpylni konwertorowych, wraz z Mieczysławem Sztuką, kierownikiem warsztatów i projektantem z Bibrometu. Był też w Hiszpanii, tam w hucie Atlantic zapoznał się z nowymi technologiami. W Finlandii uczył się eksploatacji urządzeń filtracyjnych, w Niemczech natomiast zgłębiał funkcjonowanie pieców anodowych i Solinoksu.

■ Integrowało nas wszystko

Jan Maślanka chwali atmosferę pracy, jaka panowała w hucie:

– Nie było głupiej rywalizacji, o której dzisiaj słyszę. Przełożeni spotykali się po fajrancie z podwładnymi. W tamtych latach integrowało nas dosłownie wszystko – to, co działo się w firmie i to, co działo się po fajrancie.

Kiedy transmitowali olimpiadę z Montrealu, hutnicy mieli zwyczaj spotykać się w kawiarni „Hutnicza” i tam przy piwie gawędzić o sporcie. Robili też zakłady, kto w jakiej konkurencji wygra, a kto przegra. Czasem przesiadywali w nieistniejącym już barze Relaks. Nierzadko dołączali do nich licznie mieszkający w pobliżu Rosjanie, którzy Polakom utrzymującym z nimi bliższą znajomość załatwiali lubiane przez legniczan rosyjskie cukierki czekoladowe. Towar wśród hutników był chodliwy, zwłaszcza w czasach kryzysu, kiedy na polskim rynku dostępne były jedynie wyroby czekoladopodobne. Kontakty nie ograniczały się jednak do dostarczania słodyczy.

– Kiedy na polskich stacjach benzynowych dotkliwie brakowało paliwa, wielu z nas jeździło na rosyjskiej benzynie. Rosjanie dostarczali beczki po brzegi wypełnione paliwem. Mieli do

Czas na emeryturze Jan Maślanka spędza głównie na pielęgnowaniu ogrodu i grze w brydża. Na zdjęciu podczas jesiennych zbiorów.



nas takie zaufanie, że z niektórymi rozliczali się w cyklu miesięcznym – mówi rozbawiony pan Jan.

Sposobem na integrację pracowników były rajdy hutniczej sekcji Automobil Klubu. Zaczęły być organizowane pod koniec lat 70. i odbywają się nadal jako Rajdy Samochodowe Koła Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Metali Nieżelaznych przy hucie.

– W rajdach zwykle uczestniczyło 15 do 20 załóg – opowiada Jan Maślanka. – Jeździliśmy małymi i dużymi fiatami, syrenami, a pod koniec lat 80. niektórzy z uczestników przesiedli się na używane samochody sprowadzane z Zachodu. Wyrusaliśmy w kierunku Jeleniej Góry i Karpacza, do Międzygórza, za Kłodzko, czasem wypuszczaliśmy się do Sławy Śląskiej. Pod nasze wyprawy „podczepiali się” niekiedy ludzie z wrocławskiego Hutmenu. Ojcem chrzestnym naszego Automobilklubu był dyrektor Ryszard Mokanek, który do 1993 roku pełnił funkcję komandora, potem rolę tę powierzono również mnie. Teraz jestem komandorem-seniorem i czasami wspomagam kolegów organizacyjnie. Mam wtedy okazję spotkać się z dawnymi współpracownikami, bo w rajdach biorą udział nie tylko pracownicy, ale także wielu emerytów huty. Cieszę się, że jestem nadal zauważany i przydatny, wszak czas wolny mam, a o roboty nigdy nie stroniłem. ■

W końcu zauważyłem, że na skórze siedzi wiceminister Franciszek Waniółka. Jakis gorliwiec zrobił z niej „suvenir” i wręczył mu na pamiątkę. Wy tłumaczyłem ministrowi w czym problem i poprosiłem o jej zwrot. Waniółka okazał się sympatycznym i wyrozumiałym człowiekiem, bez oporów oddał skórę.

Marian Bochenek, główny inżynier ds. BHP w Biurze Zarządu KGHM, kierownik działu BHP w ZRG. Pracował w latach 1971-1990



Pierwszy Lis Major Lubina

Pochodzi z Dolnego Komarowa, wioski położonej koło Zamościa. Zimą 1942 r. rodzina Mariana Bochenka uciekła przed wysiedleniem do Krasnogródu. Komendantem policji granatowej był tu kuzyn ojca, który zapewnił im zakwaterowanie w leśnej Gajówce. Pod koniec wojny Teodor, ojciec pana Mariana oraz brat Ryszard zginęli od wybuchu miny (w 1944 roku, jeszcze w Krasnodarze, najechali zaprzęgiem konnym na minę). Gdy z mamą Cecylią wrócili do Komarowa, rodzinne gospodarstwo zastał w opłakanym stanie. Dom i budynki gospodarcze zostały zniszczone podczas niemieckiej okupacji i działań frontowych. Zamieszkali w uszkodzonym budynku, który pani Cecylia z mazołem remontowała.

– W tym czasie poważnie się rozchorowałem. Mama codziennie woziła mnie zaprzęgiem konnym na zastrzyki do odległego o 18 km Zamościa, ale mój stan zdrowia nie poprawiał się. Ostatecznie pomógł mi znachor, który zalecił kąpiele w liściach brzozy. Kuracja przy-

niosła doskonały efekt, chociaż w opinii lekarzy groziło mi nawet inwalidztwo.

■ Z seminarium do huty im. Lenina

Naukę w szkole średniej rozpoczął w Małym Seminarium Księży Misjonarzy w Krakowie. W 1948 r., pod zarzutem działalności we wrogiej organizacji, aresztowano księży prowadzących szkołę i seminarium rozwiązano. Marian Bochenek wrócił do Zamościa i dwie ostatnie klasy ukończył w państwowym liceum. Po zdaniu matury złożył dokumenty na Wydział Mierniczy Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

– Zdałem egzamin i zostałem przyjęty na uczelnię, ale nie dostałem stypendium, akademika, ani nawet bonów żywnościowych, jakie wówczas przydzielano. Wstydziłem się wrócić do domu i podjąłem pracę w Hucie im. Lenina, w czym pomógł mi kolega z wioski, który wcześniej się tam zatrudnił.

Trafił do Zarządu Budowy nr 3, a że miał średnie wykształcenie, od razu został brygadzi-

stą szklarzy. Później ukończył 6-miesięczny kurs elektromonterów i po egzaminie przeniósł się na Wydział Sieci Podstacji Elektrycznych. Mieszkał w Kolonii nr 15 na osiedlu Nowa Huta. W nowym miejscu pracy został przewodniczącym Zarządu Zakładowego Związku Młodzieży Polskiej.

się w brygadzie elektryków na innym wydziale. W marcu 1957 r. odwiedziła go mama w trakcie prac nad wymianą instalacji elektrycznej w Instytucie Jądrowym w Krakowie.

– Ciąłem rurki stalowe zaimpregnowane smołą. W kufajce i kaloszach, usmarowany wróciłem



Małe Seminarium Księża Misjonarzy w Krakowie. Rok 1947, orkiestra seminarium. Marian Bochenek pierwszy z lewej, w drugim rzędzie od dołu.

– Pamiętam, że na Oddziale Wielkich Pieców przewodniczącym ZZ ZMP był Stanisław Ciosek. Byliśmy pełni zapału i wiary w nowy system. Często po pracy, w sobotnie popołudnia, organizowaliśmy wyjazdy na wieś w ramach akcji „Młodzież miasta ze wsią”. W niedzielę od rana pracowaliśmy w polu, po południu występowaliśmy na scenie. W seminarium należałem do szkolnego chóru i orkiestry, więc i tutaj śpiewałem oraz tańczyłem. Wyjazdy kończyły się wieczorną potańcówką, po której wracaliśmy ciężarówkami do domu.

■ A jednak AGH

Po „odwilży” w 1956 r. rozwiązano ZMP, a Mariana Bochenka zwolniono z pracy. Ukrywając swoją wcześniejszą działalność, zatrudnił

do hotelu. Gdy mama mnie zobaczyła, oświadczyła stanowczo, że nie po to tak ciężko harowała w powojennych latach, abym ja teraz pracował fizycznie w takich warunkach. Kazała mi się spać i wróciłem do domu.

W gospodarstwie pomagał do lipca 1958 roku, po czym pojechał ponownie na egzamin do Krakowa. Tym razem zdawał na Wydział Górniczy. Mimo ogromnej konkurencji (na jedno miejsce przypadało 14 kandydatów) zdał egzamin i został przyjęty; otrzymał stypendium, akademik i mógł rozpocząć studia.

■ Odroczony debiut

Zapisał się do uczelnianego Zespołu Pieśni i Tańca, śpiewał w Chórze Akademickim Uni-



AGH, rok 1960. Lis Major Marian Bochenek wprowadza, przez pochylnię wykonaną z obudowy górniczej, młodych studentów na salę, gdzie odbywały się uroczystości barbórkowe.

wersytetu Jagiellońskiego. Pierwszym solistą był Wiesław Ochman, drugim Ryszard Słysz i właśnie ich pan Marian zastępował. W 1959 r. dostrzeżono jego talenty artystyczne i miał zadebiutować w roli Lis Majora podczas uczelnianych uroczystości barbórkowych.

– Mielśmy wszystko przygotowane do ceremonii, ale zmarł prof. Witold Budryk, rektor,

pierwszy w historii polski doktor górnictwa i światowej klasy naukowiec. Uroczystości odwołano, jednak po roku nie było już żadnych przeszkód i pierwszy raz w życiu zostałem Lis Majorem. Do 1963 r. pełniłem tę bardzo zaszczytną funkcję, we współpracy z uczelnianymi chórem i orkiestrą. Pochód zaczynał się na górnych piętrach budynku AGH. Na samym dole z obudowy górniczej skonstruowano pochylnię, przez którą wchodziło się do sali, gdzie odbywały się uroczystości. Po skoku przez skórę przekazywano sztandar uczelni wraz z pałeczkami pochodniami młodszemu rocznikowi. Pochodnie stanowiły symbol postępu, zapału i wiedzy. Nowo przyjęty student, zwany dotąd camelą (wielbłądem), mógł już usługiwać starszyźnie górniczej, podając lub rozlewając piwo podczas wspólnej uroczystej biesiady.

■ Barbórka w operze

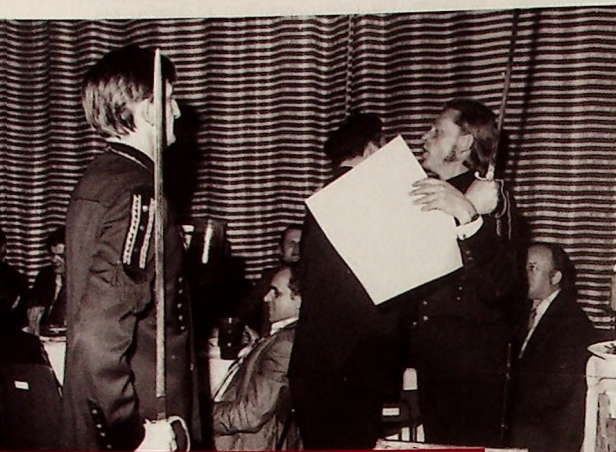
Na drugim roku otrzymał stypendium fundowane z Bolesławieckich Kopalni Surowców Mineralnych. Po ukończeniu studiów Marian Bochenek rozpoczął pracę w „Glinkach Ceramicznych” jak potocznie nazywano Bolesławieckie Kopalnie.

W 1964 roku we wrocławskiej operze odbywała się Centralna Barbórka górników rud, natomiast tradycyjne uroczystości barbórkowe w Lubinie.

– Organizatorem obchodów w Lubinie był Jan Sadecki, z którym dobrze się znałem z uczelni. Wiedział, że pracuję gdzieś na Dolnym Śląsku. Odnalazł mnie i zapytał czy zgodzę się zostać Lis Majorem na lubińskich uroczystościach, dodając że chór i orkiestra oraz wszystkie niezbędne akcesoria będą z AGH. Na mistrza ceremonii wytypowano prof. Witolda Żabickiego, człowieka który rozpowszechnił w górnictwym świecie ideę gwareckich spotkań. To według jego pomysłów kształtowała się forma górniczej obrzędowości. Mielśmy za sobą czteroletnie doświadczenia, więc nie obawiałem się problemów z organizacją. Zgodziłem się bez wahania, tym bardziej, że znałem już Lubin. Pierwszy raz byłem tu w 1963 r. Wiedziałem, że to małe i urokliwe miasteczko, w którym powstaje wielka Miedź. Z tego pobytu najbardziej jednak zapamiętałem to, że w rynku był sklep monopolowy, przed którym ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, stała niewyobrażalnie długa kolejka.

■ Pierwsza Barbórka w Lubinie

Wieczorem, uczestnicy uroczystości we wrocławskiej operze, przyjechali do Lubina. Byli wśród nich przedstawiciele rządu i partii, goście



Rok 1971. Skok przez skórę w ZBiPM „Cuprum” we Wrocławiu.
Z lewej z szablą stoi Marian Bochenek.

z krakowskiej uczelni oraz delegację górników ze starego i nowego zagłębia miedziowego.

– Pochód z Lis Majorem na czele przemaszewował spod budynku zarządu kombinatu, przez Rynek, na ulicę Składową, pod budynek zarządu PGR i z powrotem. Młode Lisy niosły lampki górnicze, inni pochodnie. Skok przez skórę odbywał się w hali, którą nazywaliśmy salą NOT, po przebudowie ulokowała się tam restauracja NOT, a na piętrze biblioteka oraz pomieszczenia biurowe. Wówczas był to oddzielny budynek, a w nim jedna duża hala. Właśnie tam odbyła się także pierwsza centralna Karczma Piwna. Później zbudowano łącznik między tym budynkiem a sąsiednim, gdzie mieściły się biura zarządu.

Skok przez skórę jest pięknym, starym obyczajem górniczo-hutniczym. Zrodził się w Styrii, górniczym okręgu Austrii i tam zapoznali się z nim polscy studenci kształcący się w Akademii Górniczej w Leoben. W okresie międzywojennym obchód ten był kultywowany w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, powstałej w 1919 roku. Obchodzono go w dzień św. Barbary. Po wojnie wznowiono jego tradycję.

Scenariusz skoku przez skórę: do sali wchodzi Lis Major a za nim gęsiego młode lisy (fuksy) to znaczy młodzi adepci sztuki górniczej. Młodzi stają kolejno na bryle rudy (soli) lub po prostu na beczie, przed którą dwaj ojcowie chrzestni trzymają rozłożoną skórę. Lis Major zadaje skaczącemu trzy pytania: nazwisko?, narodowość?, rodem (skąd)? po czym uderza młodego lisa końcem szpady w lewe ramię i lis przeskakuje trzymając przed nim skórę (łatę).

■ Zaginęła skóra

– Po powrocie z pochodu podszedł do mnie pan Białowas, kierownik Zespołu Pieśni i Tańca AGH, mocno zdenerwowany mówi: „Marian, ktoś zabrał skórę!”. Miał powody do zdenerwowania, bo była to bardzo ważna, historyczna skóra z podpisami Lis Majorów oraz rektorów uczelni. Zacząłem jej szukać między uczestnikami karczmy. W końcu zauważyłem, że na skó-

rze siedzi wiceminister Franciszek Waniółka. Jakis goriłwiec zrobił z niej „suvenir” i wręczył mu na pamiątkę. Wy tłumaczyłem ministrowi w czym problem i poprosiłem o jej zwrot. Waniółka okazał się sympatycznym, wyrozumiałym człowiekiem i bez oporów oddał skórę.

Skóra, zwana inaczej łatą, to ważna część ubioru roboczego zarówno górnika, jak i hutnika. Hutnicy zabezpieczali w ten sposób ciała przed urazami mechanicznymi, odpryskami węgla, isker czy żuźla, natomiast górnicy podkładali ją pod kolana, gdy przyszło im pracować w pozycji klęczącej, okrywali się nią, gdy ze stropu lała się woda, siedzieli na niej przy posiłku; również na niej dokonywana była wypłata.

Dlatego skóra stała się symboliczną przeszkodą, jaką należy pokonać, by zostać przyjętym do braci górniczo-hutniczej. Adepci doprowadzani są w śpiewnym korowodzie przez Lis Majora przed oblicze starych kopaczów (starych strzech). Po egzaminie kandydat wykonuje skok przez skórę, po czym następuje pasowanie na górnika. Uroczystość kończy odśpiewanie górniczego hymnu.

■ Zaczął na węglu

Po odpracowaniu stypendium Marian Bochenek przeniósł się na kopalnię „Ślupiec” koło Nowej Rudy. Tutaj odnalazł go prof. Żabicki i namówił do zorganizowania w 1967 r. pokazowej Karczmy Piwnej na kopalni „Thorez” w Wałbrzychu.

Po czterech latach M. Bochenek został przeniesiony służbowo (na własną prośbę) do Zakładów Badawczych i Projektowych Miedzi „Cuprum” we Wrocławiu. Został kierownikiem Zakładu Bezpie-

Harasimowiczem oraz Teresą Biegun, która zajmowała się sprawozdawczością. Ze względu na ludzkie błędy oraz fakt, że ustawicznie wdrażano nowe technologie, często dochodziło do różnych zdarzeń i wypadków mniej lub bardziej tragicznych. Mieliśmy przez to wiele kontroli z Komitetu Miejskiego PZPR w Lubinie, którego I sekretarzem był Antoni Malik, albo też z Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Legnicy. Bez przerwy musieliśmy jeździć do nich lub tzw. czynnik partyjny przyjeżdżał do nas na



Moskwa, rok 1989. Delegacja ZRG, pierwszy z prawej Marian Bochenek.

czeństwa Pracy w pionie naukowo-technicznym, który współpracował z kombinatem. Przez lata pracy w ZBiPM był Lis Majorem i prowadził uroczystości barbórkowe. W 1976 r. kolejny raz został przeniesiony służbowo (tym razem nie z własnej inicjatywy) do Biura Dyrekcji Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie, na stanowisko głównego inżyniera ds. bhp (funkcję powierzył mu dyr. Tadeusz Babisz, po odejściu na emeryturę inż. Tadeusza Markowskiego).

– W biurze dyrekcji pracowałem razem z inżynierami Michałem Oszczypiangiem i Andrzejem

swoje egzekutywy. Pojawiło się nawet zagrożenie, że Mirosław Pawlak (był wówczas dyrektorem technicznym KGHM) i ja wylecimy z pracy. Poszedłem do Mirka Pawlaka z propozycją napisania odpowiedzi na pismo, w którym wyrażali zaniepokojenie wypadkowością i trudnymi warunkami pracy oraz zapytaniem, jakie podejmujemy działania, aby temu zapobiec. Aby podkreślić osobiste zaangażowanie w likwidację zagrożeń towarzysza Antoniego Malika z KM PZPR w Lubinie i innych działaczy partyjnych, wymyśliłem by podać klucz doboru pracowników i wykazać wszystkie

innowacje i wdrażane nowe technologie. Wy-
szedł z tego kilkudziesięciostronicowy dokument,
podpisany przez M. Pawlaka, który wysłaliśmy



*Na dole w ZG Rudna. Torkretnica Zakładu Usług
i Wdrożeń Technologii Górniczych. Pierwszy
z lewej Marian Bochenek.*

W biurze dyrekcji kombinatu Marian Boche-
nek przepracował 16 lat. Zbliżał się do emerytury,
a zarobki w zarządzie, w porównaniu do osiąga-
nych w kopalniach, nie były imponujące. Ponadto
w górnictwie mieli różne inne przywileje, choćby
książeczki „G”.

– Pomyślałem, że nie ma co dłużej zwlekać.
W 1987 r. poszedłem do Mirosława Pawlaka, wte-
dy już dyrektora generalnego KGHM i Adama
Studniarka, dyrektora technicznego, z którymi
znałem się także z uczelni (byliśmy na jednym
roku) i poprosiłem o przeniesienie bliżej produk-
cji. Przeszedłem do Zakładu Robót Górniczych,
bo akurat na emeryturę odchodził pan Szotek,
kierownik działu bhp.

W 1990 r. pan Marian przeszedł na emeryturę,
już z Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń, w które
przekształcił się ZRG. Nie zakończył jednak dzia-
łalności zawodowej. Został zastępcą kierownika
ruchu w prywatnym Zakładzie Usług i Wdrożeń
Technologii Górniczych w Lubinie, a po pół roku
kierownikiem.

Gdy prywatyzował się Wydział Wiertniczy
PRG i powstało Przedsiębiorstwo Robót Górni-



*Skok przez skórę organizowany przez Przedsiębiorstwo Robót
Górnico-Wiertniczych. Od prawej: Marian Bochenek, Kazimierz Rot,
Wolański, Stanisławski.*

do komitetu wojewódzkiego partii w Legnicy. To
uspokoiło sytuację oraz zmniejszyło ich ingerencję
w sprawy produkcji i bezpieczeństwa pracy, a nam
dało trochę oddechu.

czo-Wiertniczych, przeszedł tam na stanowisko
głównego inżyniera bhp, gdzie nadal pracuje. ■

**Założono nowe polskie liny.
Niestety, na linach szybko
pojawiły się pojedyncze
spękania, a po pięciu miesiącach
dwie z nich na odcinku
kilkunastu metrów obrosły
„jeżem” - tak literatura fachowa
określa nadmierne spękania.
Rzeczoznawca jednoznacznie
stwierdził, że te liny mogą się
w każdej chwili zerwać, choć
miały dwuletnią gwarancję.**

*Jerzy Stępień, Główny
Inżynier Mechanik ds.
Szybów i Urządzeń
Głównych, zastępca
Głównego Inżyniera
Energomaszynowego
ZG Rudna. Pracował
w latach 1974-2010*



Cześć, specjalisto od lin!

– Dlaczego po studiach na Politechnice Wrocławskiej zamiast wrócić w rodzinne Lubelskie, pozostał pan na Dolnym Śląsku?

– Bo się zauroczyłem regionem i ...dziewczyną. Jeszcze w szkole średniej (kończyłem technikum chemiczne w Lublinie) chciałem zajmować się maszynami w przemyśle chemicznym, który powstawał w Puławach. Z tą myślą wybrałem Wydział Mechaniczno-Energetyczny na Politechnice Wrocławskiej. Do domu jeździło się przeważnie tylko na święta i wakacje, za to często wyruszałem z kolegami w góry, na studenckie rajdy. Na jednym z nich poznałem Aleksandrę, studentkę Akademii Ekonomicznej - rok później byliśmy małżeństwem. Kiedy pisałem pracę dyplomową, żona już pracowała w lubińskim magistracie, a ja rok wcześniej podpisałem z KGHM umowę o stypendium fundowanym.

Stąd siłą rzeczy po studiach również znalazłem się w Lubinie.

– Pana ścieżka awansu zawodowego na „Rudnej” była bardzo szybka, już po trzech miesiącach pracy został pan dozorcą, czyli w nomenklaturze formalnej - osobą dozoru niższego.

– Kopalnię oficjalnie oddano do użytku 22 lipca 1974 roku, lecz kiedy ja rozpoczynałem pracę 2 września, to rudę wciąż wyciągano przez sąsiednie szyby ZG Polkowice, bo szyb „Rudnej” nie był jeszcze gotowy. Należało go jak najszybciej uruchomić, a że w nowej kopalni brakowało kadry, mnie - inżyniera mechanika, od razu skierowano do Działu Szybów i Urządzeń Głównych w Wydziale Energomaszynowym. Moim pierwszym bezpośrednim szefem był inż.



Jerzy Stępień podczas prac związanych z wymianą skipu - szyb R-II.

Andrzej Raba - Główny Mechanik ds. Szybów i Urządzeń Głównych, a szefem wydziału - inż. Krzyżaniak. Pod nasz pion, poza szybami, podlegały również stacje wentylatorów, pomp a także dołowe maszyny ciężkie. W czasie stażu na M-1, oddziale szybowym na Rudnej Głównej, szybko stałem się pełnoprawnym inżynierem. Kopalnia rozbudowywała się w zawrotnym tempie, a niedostatek kadry kierowniczej sprawiał, że każdy kto się jakoś sprawdził i radził sobie w pracy, szybko awansował.

Pod koniec 1974 roku Zakłady Górnicze Rudna zaczęły wyciągać urobek własnym szybem R-I a w następnym roku ruszył Szyb Zachodni R-III. Tam, na oddziale M-3, pracowałem już jako sztygar zmianowy, a wkrótce awansowałem na zastępcę kierownika oddziału - inż. Kazimierza Kosteckiego. Gdy mój szef dwa lata później został nadsztygarem, mnie przypadło kierowanie oddziałem.

- A jak został pan „dobrym” kierownikiem?

- To cała historia z zaskakującym finałem, a przydarzyła się pod koniec lat 70. Na balu barbórkowym w „Lutni” do naszego stolika

prysiadł się dyrektor techniczny „Rudnej” Jan Sadecki i naczelny - Zenon Słowiński; jako radny znał się z moją żoną, która pracowała w urzędzie miejskim. Oczywiście rozmawialiśmy m.in. o pracy, Jan Sadecki zwracając się do mojej żony, powiedział wówczas, że dobrym kierownikiem będę dopiero wtedy, gdy szyb R-III osiągnie zdolność wydobywczą 10 tys. ton rudy na dobę. Szyb w tym czasie pracował na maksymalnych obrotach, wyciągając ok. 8,5-9 tys. ton. Zwiększenie wydajności wydawało się niemożliwe, mimo to tę uwagę dyrektora Sadeckiego potraktowałem jako wyzwanie. Aby dojść do zdolności 10 tys. ton, szyb musiałby pracować ok. 2 godz. dłużej. Akurat mniej więcej tyle czasu podczas zmiany remontowej zajmowały przeglądy (sprawdzenie maszyny wyciągowej, naczyń skipowych, lin, zawieszń, a także drobne naprawy). Zaproponowałem, aby skrócić o te dwie godziny zmianę remontową i część rewizji przeprowadzać podczas jazdy ludzi przedziałem klatkowym. Bo i tak w tym czasie, zgodnie z przepisami górniczymi, nie wolno wyciągać rudy, więc skip nie pracuje. Wierzyłem, że przy bardzo dobrej organizacji, ale i przy zachowaniu reżimu górniczego, uda się wydobyć więcej rudy. I choć nie było to łatwe - 10 tys. ton stało się faktem, dzięki ludziom (moim podwładnym, współpracownikom i przełożonym), którzy uwierzyli, że ta zmiana organizacji przyniesie oczekiwany efekt.

- Poszły za tym jakieś specjalne premie, nagrody?

- Nie przypominam sobie żadnej euforii z tego powodu. Ale zauważyłem, że ten sukces scementował załogę oddziału. Mieliśmy satysfakcję, że pomysł wypalił, że organizacja nam nie szwankowała, że szyb działał ściśle według rygorystycznego harmonogramu, określającego co do minuty czas na jazdę ludzi, na opuszczanie materiałów, na rewizję. A największą nagrodą jest dla mnie to, że wprowadzona 40 lat temu zmiana organizacji pracy w oddziale szybowym, w pewnym zakresie funkcjonuje do dzisiaj. Mimo wszystko kierownictwo kopalni chyba też mnie doceniło, bo jakiś czas później, 1 czerwca 1980 roku, zaledwie po sześciu latach pracy, awansowałem na nadsztygara szybów i urządzeń głównych. Kopalnia rozwijała się w takim tempie, że nie dało się dłużej zasiedzieć na jednym stanowisku. Wciąż powstawały nowe



Modernizacja szybu R-1. Jerzy Stępień na pierwszym planie (odwrócony).

obiekty i kolejne szyby, m.in. R-IV i R-X, przy którym zbudowano potężną stację wentylatorów, a na Rudnej Zachodniej - stację kompresorów; kiedyś sprężone powietrze było używane do pracy maszyn ciężkich. Nasz oddział bezpośrednio uczestniczył w tych inwestycjach.

Praca w pionie szybowym była ciekawa, mieliśmy do czynienia z najnowocześniejszą techniką, ponieważ w okresie gierkowskim pojawiła się możliwość kupowania zachodnich technologii. W pełni zautomatyzowane szwedzkie maszyny wyciągowe ASEA mogły pracować bez udziału człowieka - nasze przepisy górnicze wówczas nawet nie uwzględniały takiej możliwości. Jednak w tutejszych specyficznych warunkach górniczych maszynista pozostał, ale tylko jako nadzorujący automatykę. Oczywiście cały czas coś się poprawiało w działaniu urządzeń, dostosowywało do naszych potrzeb.

- Wspominał pan o nowoczesności kopalni, czy poza kupowaniem zachodnich technologii, składała się na nią również własna myśl techniczna? Jak to wyglądało w pana pionie?

- Wprowadzaliśmy wiele własnych rozwiązań, współpracując z krajowymi uczelniami. Jednym z nich był komputerowy system pomiaru i korekcji sił w linach nośnych wyciągów wieloliniowych. Zauważyliśmy bowiem, że nie wszystkie cztery liny zużywają się w jednakowym tempie; zdarzało się, że trzy były dobre a jedna nadawała się do wymiany. Wspólnie z naukowcami z AGH w Krakowie doszliśmy do wniosku, że przyczyna może tkwić w tym, że podczas pracy urządzeń, liny nie zawsze są obciążone w takim samym stopniu. Trzeba było zatem znaleźć metodę wyrównywania ich długości i obciążenia. Wiedzieliśmy, że Niemcy opanowali ten problem, konstruując urządzenie na bazie układów hydraulicznych wbudowanych w naczynia skipowe - kopalnia „Bogdanka” nawet je zakupiła. Ich cena okazała się dla nas zbyt wysoka, dlatego jedynym wyjściem było wdrożenie własnego pomysłu. W efekcie opracowaliśmy urządzenie kontrolujące obciążenia poszczególnych lin, działające na zupełnie innej, nowatorskiej metodzie. Jego głównym elementem są czujniki zabudowane w zawieszaniach oraz skrzynka z elektroniką i pamięcią rejestrującą

poszczególne cykle przejazdów naczyń skipowych. Szytar zmianowy zdalnie odczytuje dane i w komputerze śledzi wykres obciążeń, co pozwala na bieżąco korygować długość lin. Urządzenie zostało opatentowane, a jego produkcji podjęła się jedna ze śląskich firm. Mieliśmy dużą satysfakcję, bo o naszej metodzie głośno było na sympozjach. Szybko też rozpowszechniła się w całym górnictwie, ponieważ przynosi znaczące oszczędności.



Jerzy Stępień dogląda wymiany skipu o udźwigu 33 ton w szybie R-II.

Wylicza się je przy pomocy wskaźnika (tonokilometrów na kilogram liny), który mówi ile ton rudy wyciągnięto na kilogram liny. Dobre liny mają ten wskaźnik na poziomie 500 tonokm na kg liny, myśmy osiągnęli - 800 a nawet powyżej 1000 tonokm/kg liny. Zależało to zarówno od jakości lin, jak i sposobu ich eksploatacji.

– Został pan nadsztygarem w szczególnym, 1980 roku. W sierpniu kopalnia stanęła, jak zareagował na tę sytuację dozór wyższy?

– Muszę zacząć od tego, że miałem dobre relacje z ludźmi nie tylko ze swego oddziału, ale także z całego Rejonu Zachodniego. Szyb jest jakby sercem kopalni. Tam spotykają się wszyscy do zjazdu, wyjazdu, tam się opuszcza różne materiały i maszyny ciężkie. Współpracuje się także z firmami zewnętrznymi, podwykonawcami. Wspólnie wykonuje się różne operacje, np. niektóre maszyny ciężkie nie mieszczące się w klatce, trzeba było opuszczać pod nią. A to wymagało współdziałania; opracowania odpowiedniej technologii; doboru liny, sposobu opuszczania pod klatką, potem wyciągania na dole itd. Miałem szerokie kontakty i byłem osobą dość popularną na Rejonie Zachodnim.

Początek Sierpnia dla wszystkich był wielką niewiadomą. Zadawaliśmy sobie pytania: co robić, co dalej się będzie działo? Gdy zaczęły się niepokoje, dyrektor Słowiński spotkał się z dozorem i zalecił współdziałanie ze strajkującymi. Kiedy więc zaproponowano mi wejście w skład komitetu strajkowego, nie odmówiłem. Pamiętam, że w tym pierwszym okresie spotykaliśmy się w domu przewodniczącego komitetu strajkowego Ryśka Sawickiego, który mieszkał w Ścinawie, również u Henryka Karasia. Potem ktoś mnie ostrzegł, że mogę mieć problemy, dlatego się wycofałem, bojąc się o bezpieczeństwo moich małych dzieci. Jednak żadnych kłopotów nie miałem, nikt mnie nie nachodził.

– Dyrektor Słowiński zalecając dozorowi współdziałanie z ruchem solidarnościowym, zapewne chciał za waszym pośrednictwem mieć kontrolę nad sytuacją w kopalni, nad jej stanem technicznym.

– To było mądre posunięcie dyrektora naczelnego. Wszyscy dopiero uczyliśmy się, co to jest strajk. Wiedzieliśmy jednak, że kopalnia to żywy organizm, jak się nie prowadzi eksploatacji, naprężenia w górotworze mogą spowodować tąpnięcia, zawały. Trzeba ponadto sprawdzać wyrobiska i je odwadniać, by nie dopuścić do zalania maszyn i urządzeń. Strajkujących przekonywaliśmy, że nie można tego wszystkiego zostawić bez nadzoru, że kopalnia musi być w stanie gotowości, bo kiedyś trzeba będzie

powrócić na swoje stanowiska. Podczas kolejnych strajków te reguły stały się oczywiste - ludzie mieli świadomość, że trzeba chronić swoje miejsca pracy.

Nie unikaliśmy jednak podejrzeń o sabotaż, kiedy w stanie wojennym, w styczniu 82. roku, przydarzyła się duża awaria w przedziale skopowym szybu R-II. Jedno z naczyń skopowych wypadło z prowadzenia w szybie i zaczęło o drugie podczas mijania się z prędkością 20 m/sek. Zniszczenia były bardzo poważne - przez dwa miesiące skip nie pracował. Zaczęło się dochodzenie, przesłuchania. Zarówno dyrektor, jak i komisarz wojskowy zachowali się nadzwyczaj rozsądnie - sprawa nie nabrała rozgłosu i skończyło się na niewielkich sankcjach służbowych.

– Czyli zawiedli ludzie, nie technika?

– Kiedy zostałem nadsztygarem, główny mechanik inżynier Szupina powiedział mi: „Skontroluj wszystkie urządzenia na RG i przyjdź na rozmowę”. Po inspekcji oświadczyłem mu, że stan urządzeń szybowych, szczególnie na szybie R-II jest nieciekawym, wręcz złym. „Co proponujesz?” - zapytał. Odpowiedziałem, że moim zdaniem należy zmienić kierownika. Szef się zgodził i pod koniec 1981 roku na oddział M-1 przyszedł kierownik Burzyński. Ale to nie on ponosił winę za awarię, był tam za krótko i nie zdążył wszystkiego uporządkować. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli szybko nie uporamy się z tymi zaszczościami, podobnych zdarzeń może być więcej. Wzięliśmy się ostro do roboty i zaczęliśmy pracować nad poprawą stanu technicznego szybów, nad ich modernizacją. Pn. na R-II mieliśmy kłopoty z pękaniem spawów na ważących po kilkadziesiąt ton bębnach maszyn wyciągowych. Kiedy pierwszy raz podczas rewizji zauważyliśmy pęknięcia, z Politechniki Wrocławskiej wezwaliśmy specjalistę dr. Sozańskiego - przyjechał od razu. Spotkaliśmy się ok. godz. 23 u głównego mechanika, rozmawialiśmy, gdy któryś z pracowników zakomunikował, że winda kursująca na wieżę szybu R-II stoi zepsuta, a bęben maszyny wyciągowej znajdował się na wysokości 65 m. Znany z żartobliwego usposobienia i dość obszernej postury dr Sozański rozsiadł się wygodnie i mówi: „Wiecie co, nie wejdę tak wysoko, jak znieściecie mi tu bęben, to go obejrzę...”. Co jakiś czas naprawialiśmy bębny, Urząd Górniczy dopuszczał je do



Jerzy Stępień nadzoruje modernizację maszyny skopowej na szybie R-I.

ruchu, aż w końcu tak się wyeksplataowały, że trzeba było zamówić nowe. Urządzenia szybowe pracowały pod bardzo dużym obciążeniem. Trzeba pamiętać, że w latach dziewięćdziesiątych kopalnia wydobywała 46-48 tys. ton rudy na dobę.

– Presja, by wyciągnąć jak największą ilość rudy, musiała odbijać się na stanie technicznym szybów.

– Szczególnie obciążony był szyb R-III, tam wydobywie odbywało się na okrągło. Mieliśmy dyktando, jak zapewnić sprawność szybu w sytuacji,

gdy ciągle brakowało czasu na remonty. Należało coś wymyślić. Po przeanalizowaniu drogi odstawy urobku od przodka do ZWR, stwierdziliśmy, że na dole trzeba zwiększyć retencję zbiorników, służących do magazynowania urobionej rudy. Wtedy górnicy będą mogli odstawiać z przodków urobek, niezależnie od tego czy szyb pracuje, czy stoi. Bo jak dochodziło do awarii na szybie czy w ZWR, to i dół miał kłopoty z fedrunkiem, gdyż nie było gdzie przechować urobku. W związku z tym przy szybie R-I wykonano nowy zbiornik i powiększono istniejący przy szybie R-II, dobudowano dwa nowe i dwa powiększono. W efekcie retencja wzrosła z 10800 ton do 37800 ton. To rozwiązanie pozwoliło uniezależnić tempo fedrunku od bieżących możliwości wydobywczych szybów i racjonalnie gospodarować czasem



Na imprezie barbórkowej brygady remontowej na R-I.

przeznaczonym na remonty, zarówno w naszym szybowym pionie, jak i w ZWR. Ale samo powiększenie retencji (wybudowanie zbiorników, przenośników) było zadaniem dość skomplikowanym, bo odbywało się podczas normalnego wydobywania. Jednocześnie trwała, rozłożona na wiele lat, modernizacja maszyn wyciągowych, zapoczątkowana w roku 80., kiedy objąłem funkcję nadzistygara.

– Od marca 1997 roku to pan, już jako szef ds. szybów i urządzeń głównych, odpowiadał za cały proces modernizacji.

– Na takim stanowisku miałem już dużą swobodę działania, m.in. bezpośredni wpływ na planowanie modernizacji. Jedną z poważniejszych spraw do rozwiązania były kłopoty z linami; ich jakość wpływa nie tylko na bezpieczeństwo ale i na płynność pracy szybu. Jednym słowem: liny - to podstawa! Tymczasem podczas kontroli coraz częściej stwierdzaliśmy pękanie drutów w splotach lin. Kłopoty nasilały się zwłaszcza w szybach głębokich, powyżej tysiąca metrów, gdzie obciążenia lin są większe. Poprosiliśmy o opinię naukowców z AGH i rzeczoznawców, m.in. inż. Tobysa z firmy „Autorytet”, jednego z najlepszych ekspertów w tej dziedzinie. Badania wykazały, że kupowane przez kopalnię liny wykonywano z nieodpowiedniego, przehartowanego materiału. Poza tym konstrukcje polskich lin nie były dostosowane do szybów głębokich i tak dużych prędkości oraz obciążeń. Przeważnie po pół roku trzeba było wymieniać je na nowe, co znacznie podnosiło koszty. Tym bardziej, że wymiana kompletu czterech lin trwała zazwyczaj dwie-trzy doby. W okresie gierkowskim pojawiła się - co prawda dość ograniczona - możliwość kupowania lin za granicą. Początkowo sprowadzaliśmy je z Niemiec, głównie do szybów o intensywnej eksploatacji. Jednak o wiele lepsze okazały się liny francuskie - ich żywotność sięgała 24. a niekiedy nawet 36. miesięcy.

– A jak się zakończyła próba powrotu do polskich lin?

– Kiedy ZG Rudna szefował dyrektor Wiktor Błądek, nośne były hasła o preferowaniu polskich produktów. Niestety ideologia przysłoniła rachunek ekonomiczny, zarzucano nam, że kupując za granicą, wyprowadzamy pieniądze. Tak się zdarzyło, że w przetargu na liny dla szybu R-II, w którym startowali również Francuzi, wygrała polska firma Linodrut ze Śląska, oferując niesprawdzony produkt za najniższą cenę. Pośrednikiem w tej transakcji była pewna fundacja, która z uzyskanych środków finansowała klub Górnika Zabrze. Linodrut miał wyprodukować liny na wzór francuskich, ale przecież samo odwzorowanie konstrukcji to za mało, ważna jest technologia wykonania, materiał itp. Nie zgodziłem się z takim rozstrzygnięciem przetargu, co zostało odnotowane w protokole, tym samym podpadłem kierownictwu kopalni.



Pan Jerzy Stępień (pierwszy od lewej) wśród Starych Strzech ZG Rudna. Obok: Ryszard Łuczak, dyrektor Leszek Rzepnicki, Ryszard Miłoszewski i dyrektor Stanisław Lembas.

Od tego czasu na cotygodniowych dyspecerkach musiałem znosić kąśliwe uwagi dyrektora Błądka. Nowe polskie liny założono, wydobyć szło pełną parą, gdyż wyciągaliśmy także rudę z „Polkowic-Sieroszowic” - nasza kopalnia fedrowała wtedy ponad 50 tys. ton na dobę. Niestety, na linach szybko pojawiły się pojedyncze spękania a po pięciu miesiącach dwie z nich na odcinku kilkunastu metrów obrosły „jeżem” - tak literatura fachowa określa nadmierne spękania.

Rzeczoznawca jednoznacznie stwierdził, że te liny mogą się w każdej chwili zerwać, choć

miały dwuletnią gwarancję. Szyb stoi - wydobyć nie ma. Wzywa mnie dyrektor Błądek: „To co k... my teraz zrobimy?” - zapytał w typowy dla siebie sposób. Odpowiedziałem, że wymienimy na nowe. „A masz jakieś w zapasie?” - zapytał. Ja na to z satysfakcją: „Za stary lis jestem, żebym nie miał czegoś w rezerwie”. Oczywiście były to liny francuskie.

Na tej transakcji z Linodrutem kopalnia straciła około 300 tys. zł, udało się jedynie odzyskać 100 tys., nie płacąc za dostawę liny wyrównawczej. Sprawą zajął się dział kontroli z KGHM: „Panie inżynierze, co za liny pan ku-

pił?” - zaatakowano mnie pytaniem. Odesłałem rewidentów do protokołu przetargowego - i dali mi spokój. Od tamtej pory ustały złośliwości na dyspecerkach, a jak spotykaliśmy się na kopalni, dyrektor Błdek po przyjacielsku witał mnie słowami: „Cześć, specjalisto od lin”. W gruncie rzeczy był niezłym szefem, potrafił się przyznać do pomyłki.

Z Wiktorem Błdkiem, już jako prezesem KGHM Polska Miedź S.A. współpracowała również moja żona, wówczas - dyrektorka działu budżetowania i kontrolingu. „Stępniowa, musisz mnie trochę podszkolić z finansów” - poprosił żonę, kiedy zasiadł w fotelu prezesa, gdyż jako inżynier górnik nie czuł się zbyt pewnie w tej dziedzinie.

– Sprawia pan wrażenie człowieka nadzwyczaj spokojnego. Jak dawał sobie pan radę jako szef w tym twardym, górniczym środowisku?

– Nie nalezę do ludzi, którzy na co dzień posługują się „łaciną”, ale niekiedy wzięcie się puszczalo, gdy nie skutkowały inne argumenty. Z różnymi ludźmi pracowałem, niektórzy próbowali wykorzystywać sytuację, widząc, że staram się iść pracownikom na rękę. Ale oczekiwałem również tego samego od nich. Gdy któryś chciał, żeby się zwolnić dwie godziny wcześniej, w miarę możliwości zgadzałem się, trochę ryzykując, bo było to działanie nieformalne. Ale też skrupulatnie odnotowywałem w swoim kalendarzu: tego i tego dnia Kowalski opuścił pracę o tej i tej godzinie. Dochodzi do awarii, proszę Kowalskiego, by został dłużej w pracy. Słyszę odmowę. No trudno, zostanie Nowak. Po jakimś czasie Kowalski chce szybciej pojechać do domu. To ja wydaję swój notes i pokazuję kiedy, ile razy się zwalniał i przypominam, że jak potrzebowałem jego pomocy - odmówił, tym samym wyczerpał limit zaufania.

Na ogół z podwładnymi miałem pozytywne relacje, ale też bywały trudne chwile. Zyskiwałem jednak uznanie, ludzie wiedzieli, że nie odpuszczam w robocie, dbam o nich, ale jednocześnie wymagam. Wychowałem się na gospodarstwie, dlatego nigdy nie bałem się pracy fizycznej. Przychodzi pracownik i mówi: „Panie sztygarze, taśma zasypiana, nic się nie da z tym zrobić”. „Jak to się nie da?” - wtedy razem z ludź-

mi brałem się do roboty. To cementowało załogę. Na początku ruch kadrowy był bardzo duży. Wielu przyjmowało się do kopalni na okres jesienno-zimowy, potem znikali - na wiosnę i lato szli do budowlanki. Jednak z każdym rokiem trzon stałych pracowników powiększał się.

Pamiętam też, że w pierwszych latach w kopalni zaskoczyła mnie tzw. wielokulturowość. Wywodzę się z rodziny katolickiej i w takim otoczeniu wychowałem się, wśród ludzi, którzy na tamtym terenie żyli od pokoleń. A tutaj zetknąłem się z mieszkanką z całej Polski, m.in. z Łemkami i z autochtonami, którzy przyszli ze starego zagłębia. Mieli inne tradycje i zwyczaje, inaczej obchodzili święta religijne i w innym okresie. Co ciekawe, różniliśmy się, jednak nie dochodziło do żadnych konfliktów na tym tle, czasem jedynie padały drobne docinki i żarty. Atmosfera była dobra, może dlatego, że spotykaliśmy się również po pracy na różnych imprezach integracyjnych, sportowych, rekreacyjnych, także z rodzinami. Rozgrywaliśmy mecze i zawody, mnie najbardziej pasjonowały narty i łyżwy - nawet niezłe wyniki osiągałem. Również dzieci polubiły te dyscypliny.

– Jak odnalazł się pan na emeryturze po 36 latach intensywnej pracy, czym wypełnia pan wolny czas?

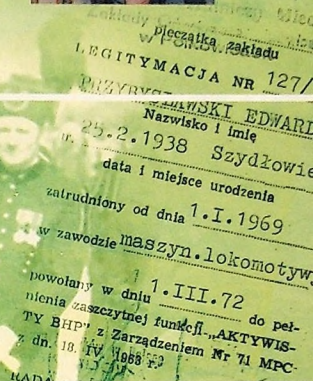
– Niestety wolnego czasu wciąż mi brakuje. Mój pierwszy dzień emerytury był wyjątkowy, bo właśnie wtedy, 27 marca 2010 roku, zostałem po raz drugi dziadkiem - urodziła się moja pierwsza wnuczka. A teraz mam ich już czworo (jeden wnuczek i trzy wnuczki). Dzieci mieszkają z dala od Lubina, ale zawsze mieliśmy z nimi świetne relacje i tak jest do dziś. Cieszę się, że pomyślnie ułożyły sobie życie rodzinne. Kursujemy z żoną pomiędzy Poznaniem, gdzie osiedlił się syn Jarosław (ukończył handel zagraniczny) a Wiedniem, bo tam mieszka córka, Anna, absolwentka prawa. Na Uniwersytecie Wiedeńskim, gdzie jako stypendystka studiowała prawo międzynarodowe, poznała Austriaka i tam wyszła za mąż. Trochę podróżujemy (ostatnio do Emiratów Arabskich), w lecie odwiedzamy nasz ulubiony Kołobrzeg, a zimą wciąż nie odpuszczam wypadów na narty - na deskach jeżdżę już od sześćdziesięciu lat. ■

Podczas drążenia chodnika transportowego, łączącego Szyb Główny z Zachodnim, utworzyliśmy młodzieżowe brygady pracy. W ramach współzawodnictwa biliśmy rekordy w ilości ściągniętych na skip wozów z urobkiem. W nagrodę otrzymywaliśmy premie po 200-300 złotych. Może to nie były duże pieniądze, ale za to satysfakcję mieliśmy ogromną, pisano o nas w Gazecie Robotniczej i Konkretach.

Edward Przybysławski,
maszynista elektrowozu
w ZG Polkowice,
Pracował w latach
1968-1988



nielzy Miedzi



Żona zachęciła: „Idź i ty do kopalni...”

Urodził się w Szydłowcu, w dawnym woj. kieleckim, na rok przed wybuchem II wojny światowej. Tato Józef został wywieziony na roboty do Niemiec i słuch po nim zaginął. Nie powiodły się poszukiwania przez Czerwony Krzyż, który w końcu uznał go za zaginionego. W sierpniu 1945 r. przyjechał z mamą do Grębocic. Tu ukończył szkołę podstawową. O wyborze dalszej drogi zdecydował mundur. Pewnego dnia starszy kolega, który uczył się w szkole górniczej w Wałbrzychu, przyjechał do Grębocic w galowym uniformie.

– Gdy go zobaczyłem, przeżyłem szok, po prostu zakochałem się w górniczym mundurze. Od razu postanowiłem, że po podstawówce pójdę do szkoły górniczej – wspomina Edward Przybysławski. – Dostałem się do zawodówki w Sobieńcinie,

najbardziej przemysłowej dzielnicy Wałbrzycha. Pobył w szkole, poza domem, rodziną i kolegami oraz praktyki szkolne w węglowych kopalniach zweryfikowały moje wyobrażenia o pracy górnika. Po trzech latach nauki wróciłem do Głogowa i znalazłem robotę jako pomocnik cieśli budowlanego. Remontowałem dom przy ulicy Obrońców Pokoju w Głogowie, w którym w trakcie działań wojennych w gruzach leżała jedna ściana (budynek stoi do dziś). Praca była ciężka, a zarobki ledwo wystarczały na miesięczne utrzymanie.

■ Cegły dla Warszawy

Pół roku później, porwany hasłami ogólnopolskiej akcji „Cały naród odbudowuje stolicę”, przeszedł do firmy rozbierającej głogowskie Stare

Miasto. A ruin było morze, bo Głogów, w wyniku trwającego prawie siedem tygodni oblężenia w roku 1945, został w 95 procentach zniszczony. Wiele ruin rozebrano w ramach tej propagandowej akcji, a cegły przeznaczano nie tylko na odbudowę Warszawy. Po oczyszczeniu terenu z gruzów, Stare Miasto pozostało niezagospodarowane, gdyż nie ocalały tu żadne budynki mieszkalne.

– Spodobały mi się plakaty reklamujące akcję „Cały naród odbudowuje stolicę” – przyznaje pan Edward. – Zwolniłem się z Miejskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego i poszedłem na Stare Miasto. Trafiłem do ekipy kierownika Lesia.

■ Z niejednego pieca...

Niestety i w nowym miejscu pracy zarobki miał mizerne, więc w 1956 roku wrócił do Wałbrzycha. Podjął pracę w Kopalni Węgla Kamiennego „Mieszko”, potem KWK „Chrobry”. Ukończył kilka specjalistycznych kursów, m.in. elektryków i maszynistów elektrowozów. Wydawało się, że znalazł wreszcie swoje miejsce.

– Poznałem dziewczynę, zakochałem się, wzięliśmy ślub cywilny. Mieliśmy 2 synów: Piotra i Roberta. Okazało się jednak, że bardzo różnymi się charakterami. Zaczęły się niesnaski, kłótnie, w końcu rozwiedliśmy się. Miałem dosyć wszystkim, dlatego w 1963 r. wróciłem w rodzinne strony.

O pracę w Głogowie, liczącym niespełna 10 tysięcy mieszkańców, nie było łatwo. Zatrudniłem się w kampanii cukrowniczej, potem jeszcze w kilku innych miejscach. Po raz wtóry ożeniłem się, zamieszkaliśmy na sublokatorze i wiodło nam się dosyć marnie. Ale powstawało nowe zagłębie miedziowe, krążyły różne opowieści o zarobkach w kopalni. W końcu żona powiedziała do mnie: „Idź i ty do tej kopalni, bo tam na dodatek szybko dają mieszkania”. Poszedłem za jej radą – przyznaje pan Edward.

■ Uczciliśmy 22 lipca

W 1968 r. rozpoczął pracę w Samodzielnym Oddziale Wykonawstwa Inwestycyjnego, które prowadziło roboty przygotowawcze w rejonie Szybu Głównego kopalni Polkowice.

Został elektrykiem w ładowni akumulatorów na dole. Wozy do transportu ludzi i urobku nie były wtedy zasilane energią elektryczną z trakcji, tylko z akumulatorów. Gdy 31 grudnia 1968 r. oficjalnie zakończono I etap budowy Zakładów Górniczych Polkowice, który osiągnął 25 proc. planowanej zdolności produkcyjnej, część załogi przeniosła się na inny plac budowy, ale sporo pracowników SOWI zostało na Szybie Głównym i z dniem 1 stycznia 1969 r. oficjalnie przeszło do kopalni Polkowice. W grupie tej był



W 1975 r. górnicy ZG Polkowice wyjechali pociągami do ZSRR. Zwieźdzali Mińsk, Moskwę i Leningrad. Zdjęcie z Mińska, trzeci z lewej, w pierwszym rzędzie stojących, Edward Przybysławski.

Rozbieraliśmy wszystko po kolei. Dzisiaj wiem, że to była głupota, przynajmniej część zabytkowych kamieniczek można było odbudować. Były i takie, w których np. przez ściany przeleciała bomba. Nie wybuchła, ale wyrwała, czasami sporych rozmiarów dziury, jednak konstrukcja budynku nie ucierpiała. Cegły czyściliśmy i układaliśmy na wagonach. Wybieraliśmy także złom, a przede wszystkim belki stropowe, tzw. tregle. Większość cegieł i tregli trafiała do Warszawy, a mniejsze ilości do Poznania.

również Edward Przybysławski, który trafił do Działu Elektrycznego, gdzie kierownikiem był pan Oziom.

– Do dziś pamiętam historyczne chwile w życiu kopalni, np. przesunięcie na właściwe miejsce potężnej konstrukcji nadszymbia dla szybu P-II – wspomina skomplikowaną operację. – Później oddano do ruchu urządzenie wydobywcze szybu P-I oraz podszybie na poziomach 810 i 850 w polu głównym. Zgodnie z panującym wówczas propagandowym zwyczajem, obchodzone 22 lipca Święto Odrodzenia Polski należało uczcić jakimś czynem. Na trzy dni przed świętem przekazano uroczyscie ZG Polkowice do wstępnej eksploatacji, chociaż tak naprawdę zakładaną zdolność produkcyjną w wysokości 25 proc. docelowej, kopalnia osiągnęła w grudniu.

■ Pisali o nas w gazetach

W ładowni przepracował dwa lata. Gdy na dole zakończono montaż traktacji elektrycznej, przesiadł się na elektrowóz. Uprawnienia maszynisty zdobył jeszcze w wałbrzyskiej kopalni.

– Jeździłem na oddziale G-17, na tzw. przewozach. Pamiętam, że w trakcie drażnienia chodnika transportowego łączącego Szyb Główny z Zachodnim utworzyliśmy młodzieżowe brygady pracy. W ramach współzawodnictwa biliśmy rekordy w ilości ściągniętych na skip wozów z urobkiem. W nagrodę otrzymywaliśmy premie po 200-300 złotych. Może to nie były duże pieniądze, ale za to satysfakcję mieliśmy ogromną, pisało o nas w Gazecie Robotniczej i Konkretach – opowiada pan Edward. – W głównych przekopach, gdzie była traktacja, jeździliśmy elektrowozami typu Ld-1, o masie 7 ton i mocy 34 kW dla torów o prześwicie poniżej 600 mm oraz typu Ld-2, o masie 10 ton i mocy 46 kW dla torów o prześwicie 600 mm. W przekopach dostawczych bez traktacji, materiały transportowały lokomotywy napędzane prądem z akumulatorów, które również poruszały się po torach. Pracowaliśmy

w czteroosobowych brygadach, w ruchu cztero-brygadowym. W mojej pierwszej brygadzie jeździli: Stanisław Żelazny, Jan Długosz i Stanisław Graczyk. Naszym kierownikiem był Edward Olko a nadsztygarem Bronisław Zabielski. Praca była organizowana w następujący sposób: z Polkowic Zachodnich i Wschodnich brygady dowoziły urobek do granicy swojego rejonu, a my odbieraliśmy



Uczestnicy wycieczki z 1980 r. do Huty „Warszawa” maszerowali w stolicy, w 1-majowym pochodzie. W pierwszym szeregu, drugi z prawej Edward Przybysławski.

skład i dowoziliśmy go do skipu. Po wyspaniu urobku odstawialiśmy skład na granicę rejonu głównego. Wozami osobowymi transportowało się górników spod szybu na oddziały i po pracy z powrotem pod szyb.

■ Mietek nie staranował tamy...

Górnice szczęści dopisywało panu Edwardowi. Przez dwadzieścia lat pracy przytrafił mu się tylko jeden wypadek.

– Właściwie to sam sobie byłem winien – przyznaje pan Edward. – Jeżeli przy spuszczeniu urobku z szybiku do wozów jakieś większe głazy wystawały poza burtę lub wóz uspany był zbyt wysoko, należało to wyrównać. Wykorzystywaliśmy do tego brechy zwane też łomami. Chciałem taki glaz przesunąć, ale źle stanąłem, podparłem się ręką o burtę wozu i glaz przycisnął mi dłoń.



Głogów, marzec 1980 r., Edward Przybysławski wśród piękniejszej części zakładowej orkiestry ZG Polkowice.

doszło, gdy jechał, niestety wbrew przepisom, bez konwojenta. Przewoził urobek z Polkowic Wschodnich składem z 15 wagonami. Zależało mu, żeby oddział nie miał przestojów, więc aby nie czekać na zwrot pustych wagonów, odstawił skład nie do granicy rejonu, ale do nas, pod sam skip na Szybie Głównym. Zabrał puste wagony i wracał na Wschodni. Wzdłuż torowiska robiono wtedy przebierkę, a ponieważ było to w przekopie wentylacyjnym, strasznie wiało. Górnicy pozamykali tamy i po skończeniu pracy już ich nie otworzyli. Nie musieli, bo praktycznie otwierały się automatycznie - na trakcji były tzw. saneczki i gdy pantograf lokomotywy

Chorowałem pół roku, wszystko dobrze się skończyło i dzisiaj po kontuzji pozostał tylko niewielki ślad.

Nie znaczy to jednak, że wypadki należały do rzadkości. Zdarzały się nagminnie, najczęściej przez nieuwagę albo bezmyślność. W pamięci utkwiło mu kilka najtragiczniejszych zdarzeń. - Pamiętam, na lokomotywie pracowało dwóch ludzi. Maszynista miał siedzisko po jednej stronie, a konwojent po drugiej - jego zadaniem było doczepianie i rozłączanie wagonów. Operacja niby nieskomplikowana, ale zaczepy przy wagonach były dosyć ciężkie - wspomina. - Przy doczepianiu konwojent musiał podnieść taki zaczep w kształcie ósemki i włożyć bolec, aby wozy sprzęgnąć. Nie wolno było wchodzić między wozy, tylko wykonać tę czynność, stojąc bokiem. Niestety czasami konwojenci stawali przy zaczepie lub wkładali głowę między wagony i dochodziło do dramatu. W ten sposób w okresie 20 lat mojej pracy, zginęło kilku konwojentów. Bardzo mocno przeżyłem śmierć mojego przyjaciela Mieczysława Żelaznego. Do wypadku



Rok 1986, uroczystości 1-majowe w Głogowie. Od lewej stoją: pan Rybicki, Edward Przybysławski i pan Juraszczyk z wnuczką.

LEGITYMACJA AKTYWISTY BHP



ombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi
w Lublinie

KOMBINAT
Górnictwo - Hutnictwo Miedzi
Zakłady Górniczo-Hutnicze
w Polkowicach

LEGITYMACJA NR 127/72

PRZYBYŚLAWSKI EDWARD
Nazwisko i imię

ur. 25.2.1938 Szydłowiec
data i miejsce urodzenia

zatrudniony od dnia 1.I.1969

w zawodzie maszyn. lokomotyw

powołany w dniu 1.III.72 do peł-
nienia czasowej funkcji „AKTYWIS-
TY BHP” z Zarządzeniem Nr 71 MPC
z dn. 18.IV.1988 r.

OWI GÓRNICZO-HUTNICZY MIEDZI
RADA ZAKŁADOWA DYREKTOR
POLKOWICACH

Wśród przechowywanych pamiątek, oprócz medali i dyplomów, jest także legitymacja aktywisty bhp.

najechał na nie, tama się otwierała. Z jakiś powodów tym razem pozostała zamknięta. Mietek zobaczył to w ostatniej chwili. Zaciągnął hamulec elektryczny i mechaniczny, ale było bardzo mokro i skład toczył się bezwładnie. Wyskoczył z lokomotywy. Nie mógł biec obok torów, gdyż czyszczono kanał ściekowy i przykrywające go płytki pościągano. Stanął więc na zderzaku elektrowozu, by w odpowiednim miejscu zeskokczyć i przyciskiem na ociosie ręcznie otworzyć tamę. Niestety gdy skoczył, podwinęła mu się noga, skład najechał na niego i strasznie go zmasakrował. Myślałem wtedy: „Mieciu, przecież nie musiałeś tego robić, mogłeś rozwalić tamę i nic by ci się nie stało. Tamę przecież można naprawić”. Długo nie mogłem dojść do siebie po tym wypadku.

Zdarzenie to pociągnęło zresztą za sobą kolejną tragedię. Szytgar zmianowy, który wówczas pracował, bardzo mocno przejął się faktem, że nie powiadomił maszynisty o zamkniętych tamach i trudnych warunkach. Dręczyło go tak duże poczucie winy, że kilka dni później pojechał swoim samochodem na działkę, zamknął kluczyki w altanie i wyjechał pociągiem w Kiełkie, skąd pochodził. Odwiedził rodzinę, po-

tem poszedł do lasu i targnął się na życie...

■ Najmilsza pamiątka

Po zatrudnieniu się w ZG Polkowice, już po roku otrzymał w Głogowie mieszkanie, w którym do dziś zamieszkuje z żoną. Przyszłą małżonkę, panią Teresę, poznał w Boże Narodzenie 1963 r., na wiejskiej zabawie w Nosolicach. Wychowali trójkę dzieci: dwóch synów - Piotra i Mirosława oraz córkę Wioletę. Piotr od 1988 r. mieszka w Austrii, ma swój zakład i chwali sobie życie poza granicami kraju.

- Mirek zaczął pracę ze mną w mojej

kopalni, na dole, na komorze wozów remontowych - opowiada pan Edward. - Gdy odszedłem na emeryturę, zwolnił się i wyjechał do pracy w NRD. Wrócił po roku, zatrudnił się w firmie pracującej na terenie Huty Miedzi Głogów. Dziś jest bezrobotny. Jeździłem do dyrekcji, związków zawodowych i prosiłem, aby go przyjęli, jednak nic nie wskórałem. Córka natomiast mieszka w Serbach, jej mąż pracuje w HM Głogów.

Państwo Przybyśławscy z dużą satysfakcją mówią o tym, że doczekali się siedmiorga wnucząt. Są to: Nela, Mateusz, Maja, Michał, Paulina, Wojtek i Patrycja oraz pięcioro prawnucząt. Pan Edward w listopadzie 2014 roku miał zawał serca, w wrocławskiej klinice wszczepiono mu by-passy, ale nie narzeka na zdrowie.

- Mam 77 lat. Spośród ludzi, z którymi pracowałem na kopalni, większość z nich nie ma już na tym świecie. Mogę więc powiedzieć, że i tak mam szczęście. Trzymam w domu wiele pamiątek z pracy, najmilszą sercu jest mundur galowy - lubię go założyć na górnicze święto. Obecnie razem z żoną z pasją uprawiamy działkę - dodaje na zakończenie. ■

W urobku trafiały się tak duże kęsy, że trzeba było je rozbijać na drobniejsze kawałki, by przeszły przez oczka kraty. To była ciężka ręczna robota. Kiedy sztygar widział, że dwóch młodych nie daje sobie rady, przysyłał starszego, doświadczonego górnika. Ten przyglądał się chwilę odłamkowi rudy, po czym precyzyjnie uderzał młotkiem w odpowiednie miejsce i kęs rozlatywał się na kawałki.

Stanisław Jarzębski,
ślusarz-mechanik,
operator maszyn
górnich. Pracował
w ZG Rudna w latach
1975-2003



Nieraz słyszałem: „Ja, albo kopalnia!”

Z Lwówka Śląskiego do „Rudnej” dojeżdżał kombinackim autobusem, tak zwanym ogórkiem. Codziennie pokonywał niemal 180 km w obie strony. Zrywał się o trzeciej nad ranem i godzinę później już był w autobusie. Po dniu wracał do domu i dopiero około 17 zasiadał do posiłku.

– Nie mogłem obejrzeć żadnego filmu, bo musiałem wcześniej kłaść się spać, żeby w jako takiej formie wstać rano i znowu jechać do kopalni. A jeśli sobie pozwoliłem na oglądanie telewizji, to ostatnim sygnałem, że trzeba iść do łóżka, był widok żony przygotowującej mi kanapki do pracy. Autobus podjeżdżał na przystanek wychłodzony i zanim się w środku nagrzało, cały zappełniał się dymem. Po dwóch latach podróży w niskiej

temperaturze, zaczęły dokuczać mi stawy. Dopiero gdy KGHM zakupił ikarusy, dojazdy do kopalni odbywały się już w cywilizowanych warunkach – tak Stanisław Jarzębski wspomina początkowe lata na Miedzi.

■ Z torbą pod głową

Z czasem dostał kawalerkę na osiedlu Przyleś, w Lubinie. Przydział przyszedł w samą porę, bo krótko przedtem KGHM przestał dowozić do kopalni górników z odległego Żmigrodu, Wolsztyna i Lwówka Śląskiego. Dlatego na pewien czas musiał przenieść się do hotelu.

Któregoś dnia wrócił po drugiej zmianie do hotelu pracowniczego i zobaczył, że jego torba

podróżna leżała spakowana koło recepcji. Usłyszał, że nie ma już dla niego miejsca w hotelu i - ku jego zdziwieniu - wręczono mu klucz do własnego mieszkania.

Nie miał się na czym położyć, więc pierwszą noc przespał na podłodze przy kaloryferze, z torbą pod głową. Na szczęście następnego dnia zobaczył na śmietniku starą wersalkę. Założył ją sobie na plecy i z pomocą przypadkowego przechodnia zaniósł do domu. Jeszcze przez jakiś czas koczował w pustym mieszkaniu, w oczekiwaniu na pierwszą wypłatę. Przeprowadzka do niewielkiego mieszkania z centralnym ogrzewaniem i ciepłą wodą była dla jego rodziny skokiem cywilizacyjnym. Stanisław Jarzębski dostał je po kilku latach pracy. Gdyby zatrudnił się nieco wcześniej, nie musiałby tak długo czekać. Jego kolega, który przyszedł do ZG Polkowice na początku lat 70., na przydział czekał zaledwie dwa tygodnie.

■ Kopalnia jak sito

Do kopalni trafił dzięki szwagrowi, który pracował w KGHM, w zaopatrzeniu. Początkowo chciał zostać na flotacji, ale po namyśle zdecydował się zatrudnić pod ziemią, bo górnicy mieli większe szanse na przydział mieszkania. Poza tym w 1975 roku uruchamiali na „Rudnej” system cztero-brygadowy i szukali ludzi do kopalni. Właśnie wtedy przeszło tu wielu górników z wygaszanej wówczas „Leny”.

– Jak każdy nowo zatrudniony, dostałem się na dwa tygodnie pod skrzydła doświadczonego górnika-brygadzysty, który wywodził się z „Leny”. Świetnie pamiętam swój pierwszy dzień w kopalni. Zjeżdżałem pod ziemię z tłumem ludzi, podenerwowany, a nawet powiedziałbym „zakrecony”. Po kilku godzinach wdychania smrodu z przepalonego oleju i pracy w hałasie, z ulgą usiadłem do śniadania. Po chwili brygadzysta zapytał mnie: „A ty dlaczego nie pijesz?”. Tego dnia byłem tak zaaferowany, że zapomniałem o wodzie. Szef podzielił się ze mną tym, co miał. Tak bardzo mnie wtedy suszyło, że chciałem połknąć wodę z butelki – wspomina z rozbawieniem pan Stanisław.

Po przeszkoleniu został na taśmowym oddziale T-1, któremu szefował Leon Kasperek. Na początku posyłano go do najcięższych i najbrudniejszych prac. Najgorsze okazało się czyszczenie przenośnika za taśmami z zalegających tam śmieci. Potem kazano mu wrzucać na taśmę spadający z niej urobek, bo liny, na których chodziła, choć



Stanisław Jarzębski na galowo.

zabezpieczone, rdzewiały, rozciągały się i przenośnik robił się niestabilny.

– W urobku trafiały się tak duże kęsy, że musieliśmy je rozbijać na drobniejsze kawałki, aby przeszły przez oczka kraty. To była ciężka ręczna robota. Kiedy sztygar widział, że dwóch młodych nie daje sobie rady, przysyłał starszego, doświadczonego górnika. Ten przyglądał się chwilę odłamykowi, po czym precyzyjnie uderzał młotkiem w odpowiednie miejsce i kęs rozlatywał się w kawałki – opowiada pan Stanisław.



Po jednym z rajdów uczestniczący w nim górnicy zostali przyjęci do grona Walończyków. Od lewej Stanisław Jarzębski, Wiktor Błądek i Krzysztof Bursa.

- Ale bywało odwrotnie - starzy czasem długo główkowali nad tym, jak uporać się z awarią, a przychodził młody, ze świeżym spojrzeniem i rzucał świetny pomysł. Potem śmialiśmy się z siebie, że nie wpadliśmy na tak proste rozwiązanie - mówi Stanisław Jarzębski.

Pierwszy raz w życiu wycisk dostał w armii, a drugi raz na „Rudnej”. Razem z nim pracę na oddziale zaczynało 12 mężczyzn, zostało tylko trzech, reszta złożyła wypowiedzenia. Właśnie dlatego kopalnię nazywa sitem, przez które przeszedł.

■ Poniosło mnie

Któregoś dnia, gdy Stanisław Jarzębski po wycie u lekarza wrócił do domu, żona powitała go w progu słowami: „Masz, czytaj! Zobacz, jak podziękowali ci za robotę w nadgodzinach i w dni świąteczne”.

Dostał pocztą upomnienie, bo miał wypadek w pracy. Przełożeni stwierdzili, że do zdarzenia doszło z jego winy. Zdenerwował się, bo to nie była cała prawda. Szef tylko mu „kibicował”, kiedy usiłował poradzić sobie z awarią, a potem dał upomnienie. Nie pomogło nawet to, że udzielał się w radzie oddziałowej związków. Poniosło go i poszedł ze skargą do dyrektora. Upomnienie anulowano.

- A było tak: Pękł przenośnik taśmowy i za wszelką cenę chcieliśmy go szybko naprawić, bo z przodka szło dużo urobku. Oberwało mi wówczas jeden palec, a drugi połamało. Cudem udało się mi wyrwać rękę z maszyny. Chciałem zatamować krew i poprosiłem kolegę, żeby otworzył moją szafkę, w której miałam apteczkę. Ten na widok krwi tak się zdenerwował, że nie mógł trafić kluczem do zamka. Zabrałem mu klucz, przycisnąłem

ranną rękę lampą, żeby zatamować krwotok i sam otworzyłem szafkę. Przydały się mi wówczas wyniesione z wojska umiejętności sanitariusza – wspomina Stanisław Jarzębski.

Jakiś czas po tym zająciu szef powiedział mu: „Niektórzy pracują 25 lat w kopalni i nie mieli żadnego wypadku, a pan już po sześciu latach zaliczył nieszczęście”. Zdenerwowany odparował: „Tacy jak pan nigdy nie będą mieli wypadku!”. Wtedy usłyszał stanowcze polecenie: „Wyjdź!”... i znowu przypomniał mu się wojskowy dryl.

■ Nie dostał talonu

– Kiedy przeniosłem się na oddział taśmowy T-5, miałem wówczas chore dziecko, z którym musiałem często dojeżdżać do wrocławskiej kliniki. W tej sytuacji bardzo zależało mi, żeby otrzymać talon na małego fiata. Jako przewodniczący rady oddziałowej, brałem udział w ich przydzielaniu. Kiedy już uznałem, że z czystym sumieniem mogę wpisać się na listę, umieściłem swoje nazwisko na drugim miejscu, za kolegą z dłuższym stażem. Gdy przyszło do przyznawania talonów, szef nieoczekiwanie powiedział: „Muszę zabrać panu, bo obiecałem jednemu gościowi. Gdy będą następne, na pewno pan dostanie...”. Następnym talonów nie było, a zadra została mi do dzisiaj, zwłaszcza że w pracy nie oszczędzałem się; w kopalni spędziłem na remontach maszyn niejedną sobotę i niedzielę. Do tego dochodziły nadgodziny w tygodniu. Byłem stale zmęczony, kładłem się spać nawet wtedy, gdy odwiedzali nas goście. Żona często robiła mi z tego powodu wyrzuty, nieraz usłyszałem: „Dość tego, ja albo kopalnia!”.

Z czasem sytuacja zaczęła się normować. Gdy na oddziale T-5 wprowadzono przenośniki o doskonalszej konstrukcji i napędzie, rzadziej dochodziło do awarii, które paraliżowały odstawę urobku. Stało się to szczególnie ważne, gdy wprowadzono podziemny transport urobku z Rudnej Zachodniej na Główną, rezygnując z powierzchniowego. Na T-5 przetestowano też pierwszy Roxon – mechaniczny młot do rozdrab-



Górnicy licznie uczestniczyli w biegu narciarskim Istebna-Kubalonka w 2005 roku. Od lewej: Krzysztof Bursa, Teofil Zieliński i Stanisław Jarzębski.

niania urobku; wreszcie skończyła się ręczna robota.

– Wielu zatrudnionych, realizując swoje pomysły, usprawniało funkcjonowanie oddziału. Głowę do wynalazków miał zwłaszcza Aleksander Truchan, dawny pracownik Turowszowa. Również rozwój elektroniki sprawił, że praca stała się dużo lepsza. Z czasem zrobiłem uprawienia na elkę i już nie tylko „mechanikowałem”, ale obsługiwałem maszyny górnicze – wspomina Stanisław Jarzębski.

■ Uniknął armii

– Zanim przyjąłem się do kopalni, dwa lata spędziłem w jednostkach specjalnych. Cieszyłem się bardzo dobrym zdrowiem i byłem nieźle wyszkolony. Wojsko we mnie zainwestowało, dlatego takim jak ja armia nie dawała spokoju. Co rusz wzywano mnie na szkolenia, od których nie mogłem się wykręcić.

Tuż przed stanem wojennym zostałem skoszarowany w jednostce wojskowej w Bolesławcu. Wiedzieliśmy, że święci się coś szczególnego,



Na emeryturze Stanisław Jarzębski pilnie pracuje nad kondycją. Na zdjęciu z synem Tomaszem wracają do domu po pokonaniu dłuższej trasy.

bo jak nigdy dotąd, ściągnięto do koszar kilkuset mężczyzn, a po placu przechadzali się generałowie różnych formacji w towarzystwie oficerów armii radzieckiej. Na początek każdy z nas odpowiadał na pytanie, czy należy do „Solidarności”, a potem zostaliśmy skierowani na badania lekarskie. Lekarz stwierdził, że mam przepuklinę i zwolnił mnie do domu ze skierowaniem na natychmiastową operację. Po powrocie do Lubina, zgłosiłem się do szpitala na Bema, gdzie zajęli się mną chirurdzy.

Pamiętam, że na oddziale panowało zamieszanie, jakby przygotowywano miejsca dla ewentualnych poszkodowanych. Jedna z pielęgniarek, której mąż pracował w kombinacie, codziennie informowała mnie, co się dzieje w firmie; były to dla mnie chwile pełne niepokoju.

■ Z beczką pod górę

Jak to w kopalni, na oddziale dochodziło nieraz do spięć i nieporozumień między pracownikami. Stanisław Jarzębski, jako prowadzący zmianę, starał się te napięcia łagodzić, co jakiś czas organizując spotkania integracyjne. Skrzykiwali się wtedy i piekli kielbaski w plenerze. W pamięci zapadło mu pierwsze spotkanie w Polkowicach, na terenie

osiedla Polanka, gdzie w tym czasie stało zaledwie kilka domów.

– Kupilem w rozlewni beczkę piwa, co w tamtych czasach nie było takie proste. Żeby je skosztować, zainstalowaliśmy pipetę i przy pomocy pompki samochodowej wypychaliśmy z niej napój. Pamiętam, że więcej się napompowaliśmy, niż się napił. Przy kolejnej beczce zastosowaliśmy lepsze rozwiązanie – podłączyliśmy do niej gaśni-



Stanisław Jarzębski po zakończeniu Biegu Piastów na 50 km. 2011 rok.

cę, i gaz wypychał piwo do kufła. Czasem z taką siłą, że zostawała w nim tylko piana. Pamiętam, że po pierwszym spotkaniu koledzy się rozeszli i zostawili mnie samego z pustą beczką, którą musiałem oddać do rozlewni. Nie miałem wyjścia, założyłem ją sobie na głowę i tak niosłem, a pod koniec miałem już dość dźwigania i toczyłem ją pod górę – wspomina Stanisław Jarzębski.

■ Rower, ogród, narty

W wieku 50 lat przeszedł na emeryturę. Dzisiaj przez większość czasu kursuje między Lubinem a Twardocicami, gdzie ma niewielki dom z ogrodem, który z upodobaniem uprawia.

– W kopalni zostawiłem trochę zdrowia, ale teraz mam czas, by dbać o kondycję. Ulubionym moim zajęciem są jesienno-zimowe rajdy w góry. Jeżdżę na rowerze, biorę też udział w biegach narciarskich. Już kolejny rok z rzędu startuję w Biegu Piastów, którego sponsorem jest KGHM. Spotykam wtedy kolegów z kopalni i mam okazję do odświeżenia znajomości. ■

Przede wszystkim zwalniano rolników, którzy posiadali minimum pięć ha ziemi; co sprytniejsi szybko przepisywali wtedy hektary na kogoś z rodziny. Kto sam odchodził z zakładu, otrzymywał odpłatę, było to ok. 22 tys zł na rękę.

Związkowcy wywalczyli odpłatę, jak i przyjmowanie do pracy w nowym zagłębiu na dotychczasowych konradowskich warunkach. Ale nie każdemu chętnemu udało się tam przenieść, ponieważ sito wymagań lekarskich było dość gęste.

Stanisław Olechowski, brygadzysta, mechanik urządzeń dolowych Zakładów Górniczych Konrad i Kopalni Gipsu i Anhydrytu Nowy Łąd (DSI), gdzie pracował w latach 1975-98. Później, do 2002 roku, w Wytwórni Zapraw i Klejów Budowlanych ATLAS, która zakupiła „Nowy Łąd”.



Wiecowaliśmy po pierwszej zmianie

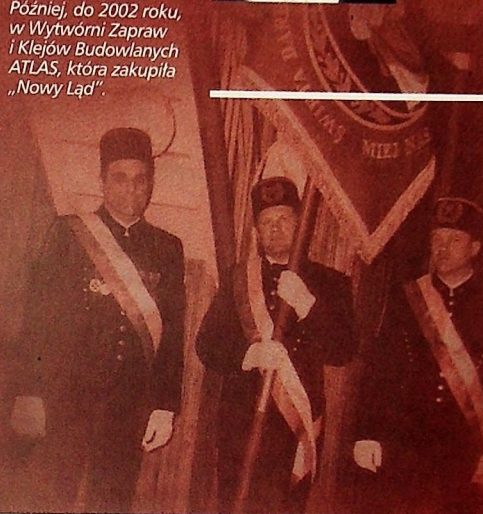
Kiedy w 2003 roku chodziliśmy po domach, zbierając datki na górniczy sztandar, ludzie dawali po 10-20 zł. Nikt nie odmówił, bo w Olszanicach w każdej zagrodzie był ktoś związany z kopalnią. Nawet rolnicy zatrudniali się w ZG Konrad, gdyż z samej ziemi trudno było utrzymać rodzinę. Ojciec miał 14 hektarów, mimo to pracował jako flotator przy pompach flotacyjnych.

W domu było nas siedmioro: trzy dziewczyny i czterech chłopaków. Trzech z nas poszło do

górnictwa, bo dużego wyboru pracy nie mieliśmy. Gdy w 1975 roku kończyłem w Złotorzy zawodówkę, jako ślusarz mechanik mogłem iść do pegeerulu lub na „Konrad” - wolałem to drugie. Już w drugiej klasie zdecydowałem, że będę pracował pod ziemią, a przyjmowali każdego, jeśli tylko był zdrowy.

■ Upadową „na koniku”

Dostałem angaż ślusarza mechanika urządzeń dolowych. Pierwszy zjazd nie zrobił na mnie spe-



cialnego wrażenia, bo na K-II byłem wśród swoich, cała Olszanica tam pracowała - szyb znajdował się nieopodal wioski. W kopalni spotkałem wielu starszych kolegów, m.in. Jasia Czerwińskiego, Mariana Stockiego, Franciszka Wójcickiego - razem kopaliśmy piłkę w klubie Olimpia Olszanica.



Państwo Olechowscy pobrali się w 1980 roku - ślub w USC w Bolesławcu.

Przydzielili mnie na oddział M-1, którego kierownikiem był Józef Przyłucki, a opiekował się mną pan Marian Wolski - komórkarz (pracował na komorze), po tygodniu trafiłem do brygady oddziałowej Józefa Paszkowskiego.

Do 1977 roku na szyb dowoziła nas „stonka”, później już autobus. Szybem zjeżdżaliśmy na poziom 180 m, a na komorę, która znajdowała się niżej - na 240 m, schodziliśmy upadową. Z powrotem „jechało się na koniku”, bo po szybcie zmęczonym ludziom ciężko się było wspiąć po stromym i śliskim wyrobisku. Urządzenie działało na zasadzie prymitywnych wyciągów narciańskich, zwanych wyręczkami. Do pasa od lampy mocowało się drugi pasek, długi na jakieś 1,2 m i zakończony haczykiem, którym trzeba było podczepić się do liny - obracała się ona na dwóch

bębnach (jeden na dole, drugi na górze upadowej). Lina miała około 140 m długości. Drugi „konik” łączył poziomy 315 i 365.

Dotarcie do miejsca pracy zajmowało nieraz około dwóch godzin, podobnie z powrotem; w sumie efektywnie pracowaliśmy zaledwie 4,5 godziny. Dwa lata „jeździłem na konikach”, do czasu pójścia do wojska. Z czasem w ich miejsce zamontowano taśmociągi przystosowane do jazdy ludzi - szybszy i wygodniejszy środek transportu. Ale początkowo nawet do poziomu 550 schodziło się upadowymi na piechotę.

W komorze mieliśmy tylko podstawowe narzędzia, jak: wiertarka, kowadło, imadło, pilniki, spawarka. Wykonywaliśmy jedynie drobne roboty (np. dorabiało się do kołowrotu dźwignie, stopki, z taśmociągu wykrawało się gumy do sprzęgieł). Większość prac odbywała się na oddziale, w wyrobiskach głównych, gdzie naprawialiśmy taśmociągi, ładowarki zgarniakowe: przodkowe, ścianowe, łańcuchowe - trzy rodzaje ich było. Dopiero jak szyb K-II zlikwidowano, na K-I powstały na dole warsztaty centralne, na poziomie 550 m.

■ Tylko głowa wystawała

Po powrocie z wojska przerzucili mnie na szyb K-I, na oddział mechaniczny, którym kierował pan Stanisław Derek. Był nadzwyczaj sprawiedliwy dla pracowników, do tej pory bardzo go szanuję i cenię. Tam awansowałem, zostałem najmłodszym brygadzystą na kopalni i dalej zajmowałem się remontami urządzeń: taśmociągów, skreperów, zgarniaków. Awarie zdarzały się bardzo często, ułożenie złoża powodowało, że uszko-ki były duże i wszystkie urządzenia pracowały na upadzie.

Z pewnością kopalnie starego zagłębia były bezpieczniejsze niż te w nowym, ale wypadki też się u nas zdarzały. W listopadzie 88. roku, na ścianie upadowej 720s, montowaliśmy z górnikiem i elektrykiem silnik do skrepera przy pomocy wyciągarki łańcuchowej. Już z kluczem w ręku schylony szykowałem się, żeby osadzić silnik, gdy niespodziewanie przegniotła mnie bodaj tona urobku, który odspoił się od stropu - tylko głowa mi wystawała. Na szczęście częściowo, od pasa



1980 rok. Grupa pracowników ZG Konrad na wycieczce w Krakowie. W ostatnim rzędzie, siódmy od lewej, na tle filara - Stanisław Olechowski, przed nim - żona.

w dół, osłoniła mnie większa płyta; opadając jedną stroną zatrzymała się na ociosie, dzięki temu uniknąłem połamania nóg. Byłem tylko mocno potłuczony, a że pracowałem bez koszuli, plecy miałem sine, posiekane urobkiem. Po miesięcznym chorobowym wróciłem pod ziemię, ale skutki tego urazu odczuwam do dziś, stale muszę się rehabilitować.

Mniej szczęścia miał mój kolega z Olszanicy, który zmarł po wypadku na Lubichowie. Przygnoił go ważący ok 1,5-2 ton zgarniak podczas uwalniania zapętlonej na rolce liny. Akurat w tym czasie moja żona, która jest pielęgniarką w bolesławieckim szpitalu, miała dyżur i asystowała przy jego operacji. Niestety, po paru dniach zmarł, z powodu poważnych obrażeń wewnętrznych.

■ Tyrałem na okrągło

W 1980 roku byłem już żonaty z Barbarą z sąsiedniego Jurkowa. Miałem, co prawda, kupione jeszcze za kawalera niewielkie mieszkanie w Olszanicy, ale chcieliśmy większych wygod. Mogliśmy zamieszkać w Złotorii, gdzie ZG Konrad wspomagał budownictwo wielorodzinne; na budowach pracowali nasi ludzie. Nawet zna-

lałem się na liście spółdzielni mieszkaniowej, wpłacając 35 tys. zł przyznane z puli związkowej. Wpierw jednak musiałem stać się członkiem Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Miedziowego - taki był warunek przyznania pożyczki. Zapisalem się i nigdy nie żałowałem tej decyzji, z czasem zostałem nawet działaczem, wchodząc w skład zarządu zakładowego.

Mnie i dwóm innym młodym pracownikom proponowano szybsze przydziały za członkostwo w partii. Koledzy przystali na tę propozycję, być może dlatego, że nie mieli gdzie mieszkać, a mnie ani do partii, ani do mieszkania w bloku się nie śpieszyło. Woleliśmy z żoną wieś. Trzy lata po ślubie rozpoczęliśmy budowę domu na ojcowiznie. Budowaliśmy przez pięć lat, niemal wyłącznie własnymi rękoma, sami z Barbarą robiliśmy pustaki, tynkowaliśmy, układaliśmy podłogi. Jedynie przy dużych robotach, takich jak np. wylewanie stropów pomagała rodzina.

Żeby na bieżąco mieć pieniądze na budowę, tyrałem w kopalni na okrągło. Chwytałem się wszelkich robót. Kierownik widział że się nie objam, więc mnie obkładał w soboty i w niedziele, a za te dni w latach 80. płacono ekstra - po 300 procent czarnej dniówki. Ponadto



*Stanisław Olechowski
pracuje przy budowie
wentylatora w szybie
Lubichów-II.*

z kombinatu dostałem te słynne 400 tys zł bez-zwrotnej pożyczki, podpisując jednocześnie zobowiązanie, że przez najbliższe 10 lat nie zwolnię się z zakładu. Wziąłem też 1,4 mln zł kredytu z PKO.

Tuż przed wielką inflacją udało się nam skończyć budowę i w ostatniej chwili, za radą koleżanki-księgowej, postanowiłem jak najszybciej spłacić kredyt. Wszystkie pieniądze, jakie tylko udało się mi zebrać (pod koniec roku było trochę dodatkowych wypłat), w reklamówce zanieśłem do banku. Zdziwiona kasjerka nie chciała wziąć gotówki. „Co pan? Tak się nie oddaje kredytu!”, usłyszałem przy bankowym okienku. Dopiero dyrektor zdecydował o przyjęciu pieniędzy, no i dzięki temu nie dopadły mnie skutki inflacji.

■ Z miedzi na anhydryt

Gdy w 1988 roku kończyliśmy budowę domu, było już pewne, że dni „Konrada” są policzone. Oczywiście wszyscy niepokoił się: co z nami będzie? W 1989 roku kopalnia zatrudniała jeszcze blisko 1800 osób (na początku lat 70. prawie 3000). Ludzie obawiali się, że zostaną bez pracy. Nie dowierzając obietnicom, wiecowaliśmy, gromadząc się na terenie kopalni po pierwszej zmianie. Na wiece przyjeżdżali dyrektorzy z kombinatu i przekonywali, że nikt nie znajdzie się na bruku, m.in. był dyrektor Stanisław Lembas a także Janusz Maciejewicz, chyba już jako były minister. Dopiero po jego zapewnieniach, że na likwidacji nie stracimy, nastroje się poprawiły.

Niestety, nie każdemu zapewniono pracę. Przede wszystkim zwalniano rolników, którzy posiadali minimum pięć ha ziemi; co sprytniejsi szybko przepisywali wtedy hektary na kogoś z rodziny. Kto sam odchodził z zakładu, otrzymywał odpłatę, było to ok. 22 tys zł na rękę. O ile dobrze pamiętam, to właśnie związkowcy wywalczyli odpłatę oraz przyjęcia do pracy w nowym zagłębiu na dotychczasowych, konradowskich warunkach. Ale nie każdemu chętnemu udało się tam przenieść, ponieważ sito wymagań lekarskich było dość gęste. Mnie się nie powiodło - lekarz miał zastrzeżenia do mojego kręgosłupa, po wypadku wciąż szwankował. Nie przeszkodziło to jednak, bym nadal pracował (od 1 lutego 89 r.) jako brygadzysta pod ziemią w Kopalni Anhydrytu Lubichów, która od paru lat już działała jako oddział „Konrada”.

Eksploatacja anhydrytu odbywała się systemem komorowym, jak w nowym zagłębiu, ale pod względem technicznym praca nie różniła się od tej na „Konradzie”, a więc nadal: skrepery, stoły, kołowroty, zgarniaki, taśmociągi i kraty. Obsługiwaliśmy te urządzenia i zabudowywaliśmy upadłe taśmociągami, którymi transportowano gips i anhydryt na powierzchnię. Ale na warunki pracy nie mogliśmy narzekać, komory miały po 30-40 m wysokości, a temperatura nie przekraczała 10 stopni. Do tego system przewietrzania był bardzo dobry, do tąpnięć nie dochodziło, zdarzały się tylko oberwania skalne.

Kopalnie, zwłaszcza te węglowe, używały anhydrytu do torkietowania (tynkowania) ociosów w głównych przekopach, celem ich wzmocnienia i schładzania. Służyła do tego specjalna maszyna, w której anhydryt mieszaný był z wodą i pod ciśnieniem wylewany na ociosy. Poza tym suchy anhydryt, w workach, układano w kopalniach węgla na tzw. pułkach zaporowych. W razie wybuchu metanu rozpylony anhydryt gasił w zarodku pożar. Taką maszynę do torkietowania, wyprodukowaną przez poznańską firmę, testowałem na Lubichowie, później zgłoszone uwagi posłużyły do usprawnienia jej konstrukcji. Nawet jakąś niewielką premię za to dostałem, ważniejsza była jednak dla mnie satysfakcja i uścisk ręki dyrektora Kazimierza Plewy.

■ Straciliśmy przywileje

Ale widać było, że wcale nie idzie na lepsze. W 1997 roku Dolnośląska Spółka Inwestycyjna,

do której należał „Lubichów”, zakupiła pobliską kopalnię „Nowy Łąd” w Niwnicach. Powstała jedna firma pod nazwą Kopalnia Gipsu i Anhydrytu



Sztandar ze św. Barbarą - Opiekunką Górników ufundowali mieszkańcy Olszanicy, został poświęcony w 2003 roku.

Nowy Łąd. Rok później DSI odsprzedała naszą firmę Wytwórni Klejów i Zapraw Budowlanych ATLAS. Dla nas ta transakcja niestety nie była korzystna. Zachowaliśmy co prawda miejsca pracy, ale na gorszych warunkach, ponieważ straciliśmy część górniczych przywilejów, takich jak: węgiel, trzynastą i czternastą pensję.

Kto mógł i miał uprawnienia (operatorzy, mechanicy, strzałowci, szybowi), szukał zatrudnienia w nowym zagłębiu. Ja spokojnie w Atlasie doczekałem emerytury, na moje miejsce zatrudnił się syn Piotr, później, po zdobyciu uprawnień, trafił do ZG Rudna - pracuje jako mechanik na oddziale mechanicznym MT-6.

Na „Rudnej” sztygarem na oddziale mechanicznym był mój brat Eugeniusz, drugi brat - Emil zaczynał jako strzałowy na „Konradzie” a zakończył pracę w PeBeKa, również w dozorze. Mimo emerytury, nadal są aktywni zawodowo.

■ Samorząd i piłka

Nie lubię bezczynności, dlatego na emeryturze od razu włączyłem się w działalność społeczną. Bardzo pociąga mnie praca w samorządzie. Przez dwie kadencje przewodniczyłem naszej Radzie Gminy w Zagrodnie, ubiegałem się nawet o stanowisko wójta, ale otrzymałem za mało głosów; część wyborców nie mogła mi wybaczyć restrukturyzacji oświaty, którą forсоваłem jako przewodniczący - teraz jestem radnym.

Drugą moją społeczną pasją jest piłka nożna, obecnie działam w OZPN w Legnicy - szefuję komisji licencyjnej, wcześniej, przez 12 lat, byłem prezesem klubu sportowego w Olszanicy - trzej moi synowie też grali w nogę. Jak tylko przeszedłem na emeryturę, wziąłem się za porządkowanie boiska. Zmobilizowałem całą wioskę, karczowaliśmy, chaszczę, równaliśmy murawę, zbudowaliśmy trybuny.

Pomagał nam, ucząc nas maszyn, dyrektor KGiA Nowy Łąd Kazimierz Plewa. Wspierał nas Ryszard Zbrzyzny, dostarczając potrzebne materiały budowlane i sponsorując turnieje piłkarskie „O puchar posła”. Przeprowadziliśmy w sumie 12 takich turniejów. Sami również zdobywaliśmy fundusze z programów unijnych i z Euroregionu Nysa, wyposażając klub w sprzęt piłkarski i stroje dla zawodników. Niestety, boisko jest coraz rzadziej wykorzystywane, bo wieś się starzeje.

■ Zwany „kufajką”

Z „Konradem” związanych było wiele legendarnych postaci. Ot, choćby dyrektor ds. ekonomicznych Jan Gancarczyk, zwany „kufajką”. Ubrany w taki robotniczy uniform nie zwracał niczyjej uwagi, gdy pojawiał się np. o godz. 6 rano w łaźni. Były to ciasne pomieszczenia, ciuchy trzymało się w szafkach, a nie na hakach, jak w nowszych kopalniach. Zdarzało się, że ktoś chciał sobie zakurzyć przed zjazdem, a tam nie wolno było palić. Jak miał pecha, to go ta zachcianka drogo kosztowała, bo przylapany przez dyrektora „kufajkę”, tracił np. premię. Przy poważniejszych przewinieniach, odsyłano do kadr, do zwolnienia, ale że ludzi stale brakowało, zazwyczaj przyjmowano z powrotem, tyle że już na gorszych warunkach finansowych.

Bardzo lubiany był Adolf Chyra, ostatni dyrektor likwidowanego „Konrada”. Ludzie cenili go za bezpośredniość, za to, że nie zamykał się w gabinecie, dla każdego był dostępny. Pamiętam, jak się pierwszy raz pojawił w kopalni na spotkaniu

załogi z dotychczasowym dyrektorem Edwardem Poznarem. Nikt go nie przedstawił, siedział na sali wśród innych pracowników. Myśleliśmy, że to szef jednej ze spółek, które powstały na majątku „Konrada”. Ludzie zgłaszali jakieś postulaty, a dyrektor Poznań nie bardzo wiedział, co ma na nie odpowiedzieć, ponieważ był poinformowany, że odchodzi. W pewnym momencie wstaje Adolf Chyra i mówi, że teraz on jest tutaj dyrektorem. Sala w śmiech - ludzie sądzili, że to jakiś żart. Pan Chyra bardzo dobrze zapisał się w pamięci byłych pracowników kopalni i wciąż utrzymuje z nami kontakt.

■ Przepiliście „Konrad”!

Najwięcej anegdot wiąże się z Kazimierzem Ziają - po raz drugi został on dyrektorem ZG Konrad jako emeryt, w 1991 roku, gdy kopalnia była już w likwidacji. Na jednej z centralnych Karczm Piwnych w Lubinie, w której brała udział również delegacja z naszej kopalni, odbywał się konkurs picia piwa. Najpierw startowali przedstawiciele załogi; jeden z naszych, potężny chłop, wlał niemal prosto do gardła zawartość wielkiego kufła i wygrał. Potem w szranki stanęli dyrektorzy oddziałów KGHM - pamiętam, że było ich siedemnastu. Nas reprezentował Kazimierz Ziaja - zapowiadało się cienko, bo jak wiadomo, dyrektor nigdy nie był zwolennikiem procentowych trunków. Pił strasznie wolno z takiego ogromnego kufła, a nasza rozemocjonowana poprzednim zwycięstwem ekipa dopingowała go, krzycząc z całych sił: „Szybciej panie dyrektorze! Szybciej! Pij pan! Jeszcze trochę!”. I śpiewaliśmy, zagrzewając go do rywalizacji. O dziwo, jako pierwszy uniósł - zgodnie z tradycją - pusty kufel nad głowę. Prezes Karczm wołał go do prezydium: „Skąd jesteście dyrektorze?”. „Załłady Górnicze Konrad”. „No to już teraz wiemy, dlaczego likwidujemy Konrad! Przepiliście go!” - skomentował zwycięstwo prezes Karczm.

■ Perfumy i woń czosnku

Dyrektor opowiedział mi kiedyś o swoich sposobach troczenia trunkowych pracowników. Kiedy wchodził do biurowca i wyczuł gdzieś intensywny zapach perfum, natychmiast ruszał w obchód po pokojach, potrafił nawet zaglądać do szaf i biurek. I zwykle nos go nie zawodził. Tego samego mógł się spodziewać, gdy na hali lub w innym pomieszczeniu produkcyjnym rozchodziła się woń czosnku lub cebuli - dyrektor od razu stawał się czujny; wiedział, że ktoś się napił albo jest na niezłym kacu.

Dla zwolenników alkoholu w pracy nie miało to znaczenia. Przekonali się o tym strażnicy, którzy nudząc się w niedzielę na wartowni przy bramie, na szybko w lwinach, opróżniali butelkę wódki. Ale jednocześnie obserwowali drogę w kierunku Bolesławca, bo stamtąd można się było spodziewać nadjeżdżającego na rowerze dyrektora; Kazimierz Ziaja mieszkał w tym czasie właśnie w Bolesławcu. Gdy tak sobie popijali, nagle zobaczyli w oknie twarz dyrektora Ziai - zaskoczeni, nie zdążyli ukryć dowodów swego uczynku. A dyrektor postanowił tego dnia zmienić trasę przejażdżki; z Bolesławca wyruszył na Lwówek Śl., potem w kierunku Grodzka i przez Bielankę zajeżdżał od Olszanicy, z przeciwnej niż zakładali strony. Strażnicy oczywiście musieli pożegnać się z pracą.

■ Wiejskie barbórki

Na biesiadę barbórkową zawsze zapraszały dyrektora Ziaję i innych byłych dyrektorów „Konrada” do naszej Izby Pamięci w lwinach. Ostatnio Kazimierz Ziaja piwa nie pił, za to chętnie raczył się jabłkami, wychwalając ich zdrowotne walory.

Tradycją, od lat 80., stały się również nasze wiejskie Barbórki w Olszanicy. Rano, 4 grudnia, spotykamy się w szkole, oglądamy występy dzieci i częstujemy je słodyczami. Później w kościele odbywa się górnicza msza, a po południu mieszkańcy wioski spotykają się w świetlicy na biesiadzie. Od 2003 roku mamy własny sztandar ze św. Barbarą, który nam towarzyszy podczas górniczych i kościelnych uroczystości.

W budowanym z tak dużym trudem domu, mieszkamy obecnie we dwoje z żoną. W najbliższej okolicy nie było dla dzieci pracy. Mamy jednak nadzieję, że w nieodległej przyszłości, będzie inaczej. Mieszkańcy Olszanicy i całego starego zagłębia oczekują - mówię to również jako radny - szybkich decyzji w sprawie budowy kopalni rudy miedzi w rejonie Wartowic.

Syn Piotr zadomowił się w Polkowicach, Krzysztof wyjechał do Wrocławia, gdzie jest menedżerem w sieci gastronomicznej, a najstarszy Andrzej mieszka i pracuje w Niemczech, w branży motoryzacyjnej. Cieszymy się z żoną, że rodzi na się nam powiększa - w jednym roku pojawiła się na świecie trójka wnucząt, po jednym od każdego syna, ale na tym nie koniec - wkrótce przybędzie nam jeszcze jedno. ■

- **aparat oddechowy** – aparat przy użyciu którego można oddychać niezależnie od atmosfery otoczenia
- **chodnik** – w górnictwie podziemnym wyrobisko korytarzowe prowadzone poziomo lub prawie poziomo (do 5° nachylenia), niemające bezpośredniego wyjścia na powierzchnię ziemi. Drażony w złożu daje urobek – kopalinę użyteczną
- **czerpnia powietrza** – miejsce czerpania zewnętrznego powietrza dla urządzeń wentylacyjnych lub klimatyzacyjnych
- **diagonala** – wyrobisko podziemne drażone w kierunku pośrednim między rozciągłością a nachyleniem pokładu
- **elektrofiltr** (odpylacz elektrostatyczny) – rodzaj odpylacza, w którym usuwanie pyłu z gazu następuje poprzez wykorzystanie siły elektrostatycznej, działającej na cząstki tego pyłu
- **flotacja** – wzbogacanie rozdrobnionych ziaren rudy lub węgla w ośrodku wodnym przy użyciu odczynników flotacyjnych i wytworzeniu pęcherzyków gazu (powietrza)
- **gaz gardzielowy** – gaz wyprodukowany w piecach szybowych, niebezpieczny dla ludzi i środowiska ze względu na toksyczne właściwości głównego składnika – tlenku węgla oraz siarkowodoru i dwusiarczku węgla. W odróżnieniu od czystego tlenku węgla jest gazem o specyficznym ostrym, łatwo wyczuwalnym zapachu i o charakterystycznym mlecznym zabarwieniu
- **kasza** – podpora stropu wyrobiska wykonana z okrągłaków, kantówek lub szyn, układanych krzyżowo na sobie na kształt studni lub klatki
- **kawerna** – pusta przestrzeń w skałach, powstała w wyniku naturalnych procesów ługowania, czyli rozpuszczania składników skalnych
- **kominek awaryjny** – kominek technologiczny, który posiada każdy z pieców szybowych. W sytuacji zagrożenia można odprowadzać nim do atmosfery gazy powstałe w procesie technologicznym
- **koncentrat** – produkt wzbogacania niskoprocenowych rud metali (np. cynku, miedzi) lub innych kopalin (np. fosforytów, rud siarki). Uzyskuje się go najczęściej przez hydrauliczne

lub pneumatyczne oddzielenie z rozdrobnionego urobku skały płonnej lub przez flotację

- **kotew** – ściąg stalowy umieszczony w otworze wywierconym w stropie, w którym się go zaklinowuje, a pod wystającą część daje podkładkę i przykręca nakrętką
- **ładowarka** – maszyna do ładowania rozkruszonego urobku do naczyń transportowych. Rozróżniamy m.in. ładowarki chodnikowe, ścianowe, szybowe oraz do pracy na powierzchni
- **ług posulfitowy** – produkt uboczny w procesie produkcji celulozy na bazie drzew iglastych, powstający podczas procesu roztwarzania drewna na celulozę metodą siarczkową. Stosowany jako lepsze koncentratu miedzi w technologii pieców szybowych
- **łupek** – skała osadowa lub przeobrażona charakteryzująca się tym, że daje się łatwo łupać w drobne płytki
- **markownia** – naziemna część kopalni, gdzie przechowywano tzw. marki, indywidualne znaczki górników (przypominające np. numery z szatni)
- **miąższość** – grubość warstwy (np. skalnej), kompleksu warstw lub innych struktur geologicznych, mierzona pomiędzy stropem a spągciem
- **nadawa** – określona ilość jakiegoś surowca, którą jednorazowo wkłada się do maszyny w celu przeróbki
- **normowszczyk** – (chronometrażysta), pot. określenie pracownika zajmującego się pomiarem czasu trwania poszczególnych czynności w procesie produkcji
- **obudowa kotwiona** – obudowa stropu, której zasadniczą częścią są kotwie, czyli stalowe sworznie umocowywane w otworach wywierconych w stropie.
- **ocios** – boczna ściana wyrobiska górniczego w skale płonnej lub w kopalinie użytkowej
- **odprężenie górotworu** – zjawisko podobne do tąpnięcia, lecz o słabszym natężeniu i mniejszych skutkach. Między odprężeniem górotworu i tąpnięciem nie ma wyraźnej granicy, a ich rozgraniczenie zostało przyjęte w sposób umowny
- **opróbkowanie** – zbadanie zasobności złoża

na podstawie próbek pobranych z naturalnych bądź sztucznych odsłoneń złożeń

- **osnowa geodezyjna** – zbiór punktów mających położenie wyznaczone w systemie odniesień przestrzennych, na których wyznaczono wielkości fizyczne charakterystyczne dla danego jej rodzaju. Realizują fizycznie przyjęty układ współrzędnych, tworząc układ odniesienia dla prac geodezyjnych i kartograficznych

- **piec anodowy** – piec do ogniowej (wstępnej) rafinacji miedzi, współpracujący z urządzeniami do odlewania anod kierowanych do rafinacji elektrolitycznej

- **piec szybowy** – klasyczny typ pieca hutniczego do wytopu metali, ma kształt szybu (stąd nazwa), zaopatrzonego od góry w urządzenia zasypowe i odprowadzające gazy, a od dołu w system doprowadzania powietrza technologicznego (dmuch) i wyprowadzania skondensowanych produktów

- **piaskowiec** – ziwiła, zwykle drobnziarnista skała osadowa

- **pochylnia** – nachylone pod kątem do 45° wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki, drążone od dołu do góry, z transportem realizowanym z poziomu górnego na dolny

- **przecinka** – krótki chodnik poprzeczny łączący dwa sąsiednie wyrobiska

- **Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud w Bolesławcu** (PBK, PBKR, PRG, ZBK, ZRG) – powołano w 1951 r. celem budowy kopalń w starym zagłębiu miedziowym. Wielokrotnie zmieniało swoją nazwę i status organizacyjny. W 1960 w miejsce PBKR w Bolesławcu, powołano Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie, które zostało generalnym wykonawcą robót górniczych w LGOM. W 1991 r. przedsiębiorstwo przekształcono w oddział KGHM pod nazwą Zakład Budowy Kopalń (ZBK). Dwa lata później powołana została spółka prawa handlowego pod nazwą PeBeKa Sp. z o.o. W styczniu 1997 r. połączono ją z Przedsiębiorstwem Robót Górniczych w Lubinie (PRG), a od 1 stycznia 1999 r., po przekształceniu w spółkę akcyjną, firma funkcjonuje jako Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.

- **przeróbka** – podnoszenie wartości surowego materiału przez poddawanie go odpowiednim zabiegom

- **przesiewacz vibracyjny** – urządzenie służące

do wstępnej, mechanicznej separacji poszczególnych frakcji ze strumienia odpadów

- **przodek** – końcowa część wyrobiska, w którym odbywa się eksploatacja złożeń

- **rewersja wentylacji kopalni** – zamierzona zmiana kierunku wszystkich prądów powietrznych w kopalni

- **rewizja szybu** – oględziny urządzeń wyciągowych

- **rozcinka** – prowadzenie wyrobisk korytarzowych przygotowujących pole do wybierania kopaliny

- **rząp** (rząpie) – dolna część szybu, położona poniżej ostatniego poziomu

- **skip** – skrzyniowe naczynie wyciągowe dużej pojemności, prowadzone w szybie podobnie jak klatka

- **skreper** – maszyna do odpajania gruntu, przewozi i wyładowania urobku w określonym miejscu, zgarniarka

- **SOLINOX** – instalacja uruchomiona w 1994 roku do oczyszczania z dwutlenku siarki gazów powstających w procesie produkcji miedzi. Dzięki niej Huta Miedzi Legnica została w 2001 roku skreślona z listy 80 największych trucielei środowiska

- **SOWI** – Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego utworzony na podstawie zarządzenia dyrektora naczelnego KGHM z 17 maja 1966 r. Nazwę zakładu zmieniono na podstawie zarządzenia dyrektora z 19 grudnia 1974 r. na Zakład Robót Górniczych, a następnie Przedsiębiorstwo Robót Górniczych, które zostało wchłonięte przez Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.

- **spąg** – dolna powierzchnia warstwy skalnej, pokładu lub wyrobiska

- **spągowanie** (in. pobierka) – wgłębianie się w spąg lub wybieranie skał ze spągu

- **sztolnia** – wyrobisko korytarzowe o małym przekroju poprzecznym, drążone w górotworze ze zbocza góry, poziomo lub pod niewielkim wzniosem w głąb góry do złóż kopaliny użytecznej

- **szytygar** – pracownik sprawujący dozór techniczny i częściowo administracyjny nad określonym działem kopalni

- **szytygar objazdowy** – pracownik nadzorujący kilka oddziałów lub taki, który ma powierzony dozór techniczny nad określonym zagadnieniem technicznym

- **sztygar oddziałowy** – kierownik oddziału
- **szyb** – wyrobisko górnicze pionowe lub pochyłe o nachyleniu powyżej 45° o przekroju poprzecznym powyżej 4 m kw. i znacznej głębokości, prowadzące z powierzchni terenu do położonego w głębi ziemi złoża kopaliny użytecznej lub łączące wyrobiska poziome pod ziemią i nie mające ujścia na powierzchnię (szyb ślepy)
- **szybik** – rodzaj wyrobiska górniczego, swoją budową przypomina szyb, jednak nie łączy wyrobisk podziemnych z powierzchnią, lecz poszczególne poziomy kopalni ze sobą
- **szycha** – zmiana robocza
- **system komorowo-filarowy** – sposób wybierania złoża jednym frontem eksploatacyjnym, składającym się z szeregu równoległych przodków komorowych łączonych pasami, między którymi pozostawiane są filary technologiczne dla zapewnienia stateczności stropu w przestrzeni roboczej
- **upadowa** – wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, nachylone do 45°, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki – drążone po upadzie (od góry do dołu), z transportem realizowanym z poziomu dolnego na górny
- **Upadowa Grodziec** – kopalnia położona w starym zagłębiu miedziowym, w 1958 roku włączona do ZG Konrad
- **uskok** – struktura tektoniczna powstała w wyniku rozerwania mas skalnych i przemieszczenia ich wzdłuż powstałej powierzchni (lub wąskiej strefy zniszczenia), zwanej powierzchnią uskoku (lub strefą uskokuwą)
- **wychodnia** – miejsce podchodzenia złoża ku powierzchni ziemi
- **wyrobisko** – przestrzeń powstała w wyniku robót górniczych. Wyrobiska można podzielić na: wyrobiska pionowe (szyby, szybiki), poziome (chodniki, upadowe, ściany, komory, zabierki) oraz wyrobisko korytarzowe – wyrobisko o dużej długości
- **wyrzut** – gwałtowne wydostanie się znacznych ilości gazów z calizny z równoczesnym wyrzuceniem rozkruszonych odłamków skalnych
- **zagęszczacz** – urządzenie do zgęszczania w wodzie bardzo drobnych ziaren
- **Zakład Przeróbki Mechanicznej** – pierwszy zakład ZG Lubin do wzbogacania rudy, uru-

chomiony w 1968 r., przekształcony później w Zakłady Wzbogacania Rud (ZWR)

Zakłady Wzbogacania Rud (ZWR) – Oddział KGHM Polska Miedź S.A., którego zadaniem jest wzbogacanie rud wydobywanych w oddziałach górniczych. ZWR składa się z trzech rejonów zlokalizowanych przy szybach wydobywczych kopalń: Lubin, Polkowice-Sieroszowice i Rudna

• **ZG Konrad w Iwinach** – Składały się z trzech rejonów eksploatacyjnych: „Konrad”, „Upadowa Grodziec” i „Lubichów”. Działalność górniczą zakończyły w 1989 r.

• **ZG Lena w Wilkowie** – znajdowały się w synklinie złotoryjskiej na południowy wschód od Złotoryi. Pod koniec II wojny światowej kopalnia uległa zatopieniu. W 1948 roku rozpoczęto prace nad jej odwodnieniem i uruchomieniem. Eksploatację rozpoczęto w 1950 r., a zakończono w grudniu 1973 r. z powodu wyczerpania złóż

• **zabiór** – ilość urobku, która zostaje oddzielona od calizny przy zastosowaniu określonego sposobu urabiania

• **Zakład Badań i Doświadczeń KGHM** – jednostka Kombinatu Górniczo-Hutniczego utworzona w 1965 r., przekształcona w Zakład Doświadczalny

• **Zakład Remontowo-Montażowy** – jednostka Kombinatu Górniczo-Hutniczego utworzona na podstawie zarządzenia Ministra Przemysłu Ciężkiego z dnia 16 kwietnia 1971 roku

• **zawał** – niezamierzone, grawitacyjne przemieszczenie się mas skalnych lub kopaliny ze stropu albo ociosu w stopniu powodującym niemożność przywrócenia pierwotnej funkcji wyrobiska w czasie krótszym niż 8 godzin

• **zbiornik Gilów** – sztuczny zbiornik nieopodal Lubina, wykorzystywany przed laty do składowania odpadów pośladowczych ZWR Lubin. Teren został poddany rekultywacji

• **zgarniak** – część robocza zgarniarek do przyciągania urobku, ciągniona kołowrotem na linach

• **zrąb** – część skał otoczona zapadlinami lub podniesiona ponad sąsiednie obszary i odgraniczona od nich zwykle zbiegającymi się uskokami

• **zrąb szybu** – przypowierzchniowa krawędź obudowy szybu

• **zrobry** – wyeksploatowana część złoża

Leszczyna. Monografia ośrodka górnictwa i metalurgii rud miedzi

Leszczyna (niem. *Haasel*), malowniczo położona wieś na Pogórzu Kaczawskim, słynie przede wszystkim ze swej górniczej przeszłości i związków z eksploatacją rud miedzi. Od lat kopalnie znajdujące się w dolinie Prusickiego Potoku są już nieczynne, a pamięć o nich utrwalaona jest poprzez ścieżkę dydaktyczną Synklina Leszczyny, skansen górniczo-hutniczy oraz cykliczną imprezę Dymarki Kaczawskie. Pamięć o górnictwie żyje również w ludziach, którzy jeszcze przed kilkudziesięcioma laty pracowali w Zakładach Górniczych „Lena” w Wilkowie.

Dzięki wsparciu ze strony Fundacji KGHM Polska Miedź w latach 2014-2015 Fundacja Archeologiczna Archeo z Radziechowa podjęła prace badawcze, których celem było rozpoznanie dawnych wyrobisk kopalni Ciche Szczęście (projekt

Dzięki temu możliwe było przywołanie pamięci o wielu ludziach i wydarzeniach istotnych dla historii miejscowości.

- Prezentowana publikacja stanowi podsumowanie wieloletnich prac prowadzonych w Leszczynie przez archeologów, historyków oraz geologów zainteresowanych materialnymi pozostałościami i dziedzictwem dawnego górnictwa rud miedzi. Opisując zmienne losy tutejszych kopalni - jak to zwykle bywa po okresach prosperity przychodziły „lata chude” - staraliśmy się również przedstawić historię samej miejscowości i jej mieszkańców. W publikacji zawarliśmy wiele dotąd niepublikowanych materiałów archiwalnych, kartograficznych, kart pocztowych, fotografii prezentujących życie i dzieje miejscowości na przestrzeni wieków. Na kartach publikacji



pn. *Rozpoznanie i ocena stanu wyrobisk kopalni Ciche Szczęście w Leszczynie w aspekcie ich udostępnienia turystycznego.*

Zgromadzony w czasie projektu materiał źródłowy, jak również dotychczasowa wiedza pozwoliły na przygotowanie publikacji będącej monografią tutejszego wielowiekowego górnictwa i metalurgii rud miedzi, ale również historii samej miejscowości oraz ludzi tę historię budujących.

przywołujemy również pamięć o Starym Zagłębiu Miedziowym i Zakładzie Górniczym „Lena”, a także o górnikach budujących polskie górnictwo miedziowe. To właśnie z Leny pochodziła pierwsza tona miedzi wydobyta w powojennej Polsce – wyjaśnia Tomasz Stolarczyk, autor publikacji, którą napisał wspólnie z Malwiną Kobylańską, Jakubem Kierczakiem, Maciejem Madziarzem oraz Aldoną Garbacz-Klempką.

FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ

WSPIERAMY POŻYTECZNE INICJATYWY SPOŁECZNE



Jesteśmy przekonani,
że w społecznościach lokalnych
drzeźnią ogromne pokłady
możliwości. **Wspólnie
wydobywamy to co najlepsze.**

Powstała w 2003 roku korporacyjna Fundacja KGHM Polska Miedź jest ważnym filarem strategii CSR w KGHM. Jako organizacja pożytku publicznego realizujemy politykę społecznej odpowiedzialności biznesu wspierając ważne inicjatywy lokalne i regionalne, a także angażuje się w projekty o skali ogólnopolskiej.

Fundacja KGHM Polska Miedź / 59-301 Lubin, ul. M. Skłodowskiej-Curie 48
telefon: +48 (76) 747 81 32 / mail: fundacja@kghm.com

www.fundajakghm.pl